AFERA TAŚMOWA

Droga ks. Kazimierza Sowy według Piotra Semki

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 25/227 19–25 CZERWCA 2017

Prezydent Duda zacieśnia sojusz z Kukizem

KS. PROF. BORTKIEWICZ: HEREZJA GENERAŁA JEZUITÓW

UJAWNIAMY

Kariera mordercy „Inki" w komunistycznej Polsce

HEJTER WAŁĘSA

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 108 tys. egzemplarzy

REDUTA PWPW
FUNDACJA NA RZECZ OBRONY PAMIĘCI HISTORII POLSKI

PAMIĘTAMY 1944

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

eprasa.pl d2fc640a08

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Bruksela niczego się nie uczy

Tuż po tym, jak Ewa Kopacz złamała zasadę solidarności państw Grupy Wyszehradzkiej i w 2014 r. zgodziła się w imieniu polskiego rządu na przyjęcie kilku tysięcy uchodźców, rozmawiałem z pewnym publicystą z Pragi, który powiedział mi, że Czesi czują się, jakby przejechał po nich walec.
– U nas to jak drugie Monachium – dodał. Podobne pewnie były nastroje na Węgrzech. Jakie były w Polsce, jest oczywiste – m.in. właśnie za to głosowanie wyborcy ukarali PO.

Bruksela sama doprowadza do sytuacji, w której z roku na rok spada poparcie dla Unii i dla idei Wspólnoty Europejskiej

Zdecydowana większość obywateli tych państw uważała i uważa, że Bruksela, wprowadzając zasadę przymusowej relokacji uchodźców, łamie zasadę suwerenności i przerzuca swoje błędy na pozostałych. Niestety, wygląda na to, że Komisja Europejska nic z tego nie zrozumiała. Ogłaszając we wtorek wszczęcie procedury skierowanej przeciw Polsce, Węgrom i Czechom, popełniła ogromny błąd. Być może Brukseli wydaje się, że toczy spór z rządami tych krajów, jednak jest to starcie z ogromną większością Polaków, Czechów i Węgrów.

Oczywista jest hipokryzja urzędników komisji. Jak wiadomo, żadne z państw Unii nie wypełniło – co się tyczy przyjmowania uchodźców – swoich zobowiązań. Dlaczego zatem akurat napiętnowano Warszawę, Budapeszt i Pragę? Dlaczego pozostawiono w spokoju Wiedeń, który raptem niedawno zadeklarował chęć przyjęcia… 50 uchodźców? Nie chodzi o rozwiązanie prawdziwego problemu, ale o pokazanie, kto tu rządzi. Państwa Europy Środkowej mają zostać ukarane, bo zamiast bawić się jak Austria w ciuciubabkę, otwarcie zadeklarowały, że uchodźców przyjmować nie będą.

Trudno nie zauważyć, że pomysł Unii na rozwiązanie kwestii uchodźców nie wypalił. W normalnej sytuacji odpowiedzialni politycy powinni się z niego wycofać. Komisarze unijni zamiast próbować zmuszać niepokornych, powinni znaleźć inny sposób rozwiązania kryzysu. Inny to znaczy także bardziej ryzykowny i mniej akceptowany przez potężne organizacje obrońców praw człowieka oraz różnej maści ideologów lewicowych, śniących o wielokulturowych społeczeństwach. Należałoby raczej znaleźć pieniądze na obronę granic i pokazać zdecydowanie w walce z zagrożeniem terroryzmem. Zamiast przymusowej relokacji znacznie surowsze powinny być reguły deportacji.

Narzucanie woli innym to najgorszy możliwy pomysł jeszcze z innego powodu. Bruksela wzmacnia nastroje eurosceptyczne. Sama dolewa oliwy do ognia. Doprowadza do sytuacji, w której z roku na rok spada poparcie dla Unii i dla idei Wspólnoty Europejskiej. To dodatkowy, uboczny efekt chorej sytuacji, w której komisarze unijni praktycznie nie ponoszą demokratycznej odpowiedzialności. Historia pokazała jednak wiele razy, że uszczęśliwianie innych na siłę – a w takiej roli występują komisarze – przynosi opłakane skutki. Dlaczego zawsze wszystko musi się powtarzać? I dlaczego ludzie nie uczą się na własnych błędach?

Być może jedyną pociechą jest to, że wszczęta przez KE procedura nie stanowi realnego zagrożenia. Proces może trwać latami, a narastający opór społeczny może doprowadzić do zmiany atmosfery politycznej wokół uchodźców. Na szczelnym dotąd murze politycznej poprawności pojawia się coraz więcej rys. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl d2fc640a08

TEMAT TYGODNIA

16 MACIEJ PIECZYŃSKI
HEJTER WAŁĘSA
Laureat Pokojowej Nagrody Nobla w natarciu

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SEKTA TRZYMAJĄCA OPOZYCJĘ

KRAJ

24 PIOTR SEMKA
DWIE DEKADY DOLCE VITA
Jak Kazimierz Sowa z księdza zmienił się w polityczno-medialnego celebrytę

28 ROZMOWA Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ
TRZEBA EUROPĘ BRAĆ ZA SŁOWO

30 WOJCIECH WYBRANOWSKI
PREZYDENCKI ROCK AND ROLL

34 ŁUKASZ WARZECHA
DAGNA, CO DO NIEMIEC CHCIAŁA

36 WOJCIECH WYBRANOWSKI
EKOATAK NA POLSKĘ

38 MICHAŁ MACKIEWICZ
ŁUP Z POTOPU

RAPORT „DO RZECZY"

42 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
CHOROBA KOŚCIOŁA
Kryzys jezuitów

46 ROZMOWA Z KS. PROF. PAWŁEM BORTKIEWICZEM
GENERAŁ JEZUITÓW DOPUSZCZA SIĘ HEREZJI

KULTURA

48 PIOTR GOCIEK
RUCH GENERAŁA
„War Machine" – produkcja Netflixa z Bradem Pittem

50 ROZMOWA Z AUTORKĄ BIOGRAFII TADEUSZA KONWICKIEGO
OUTSIDER Z PRL

52 ANDRZEJ HORUBAŁA
MAPKA IDEOLO

NIE PRZEGAP

54 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

60 PIOTR GOCIEK
PRZYSTAWKA ALBO NIEBYT
Czarna przyszłość Nowoczesnej

64 MIKOŁAJ DROZDOWICZ
BŁĄD SYSTEMU

67 SZEWACH WEISS
ENERGIA NIEZADOWOLENIA

HISTORIA

68 MACIEJ BARTKÓW
MORDERCA „INKI"
Kat żołnierzy wyklętych

ŚWIAT

74 JACEK PRZYBYLSKI
DONALD, ALE NASZ
Polska doktryna Trumpa

78 ROZMOWA Z JOHNEM SMEATONEM
TANIEJ ZABIĆ, NIŻ POMÓC

EKONOMIA

80 MACIEJ KRASUSKI
WOLNY NAJMITA
Dokąd prowadzą Ukrainę?

82 ŁUKASZ ZBORALSKI
GDAŃSK NA FALI

84 STEFAN SĘKOWSKI
UNIA NA RZECZ BOGATYCH

86 AGNIESZKA ŁAKOMA
GORĄCY CZAS DLA ENERGETYKI

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
SPACERKIEM PRZEZ ULICĘ
Modowe trendy bez kreatorów?

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (58), ZALEWSKI, WOLSKI (66), ZYCHOWICZ, KOPER (71), GABRYEL, RYBIŃSKI (88), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl d2fc640a08

Obniżony wiek emerytalny:

Co się zmieni i kto będzie mógł skorzystać z emerytury

1 października wchodzi w życie ustawa obniżająca wiek emerytalny. Jednak im dłużej będziesz pracował, tym więcej odłożysz składek i dzięki temu dostaniesz wyższą emeryturę

Nowe regulacje przewidują, że kobieta, która ukończy 60 lat, a mężczyzna – 65 lat, może złożyć wniosek o emeryturę. Formularz wniosku jest na stronie internetowej: www.zus.pl oraz w każdej placówce ZUS.

KIEDY MOŻNA ZŁOŻYĆ WNIOSEK?

Wniosek o emeryturę można złożyć na 30 dni przed osiągnięciem wieku emerytalnego. Jeśli między 1 stycznia 2013 r. a 1 października 2017 r. kobieta ukończyła 60 lat, a mężczyzna 65 lat i chce otrzymywać emeryturę od 1 października 2017 r., to może złożyć wniosek już we wrześniu (najwcześniej 1 września) lub w październiku. Jeśli wniosek wpłynie później, to ZUS przyzna emeryturę od pierwszego dnia miesiąca, w którym wniosek trafi do Zakładu.

Warto podkreślić, że nie jest uzasadnione składanie wniosku przed 1 września br. Nowe przepisy zaczną bowiem obowiązywać dopiero od 1 października 2017 r. Trzeba też pamiętać, że wypłata emerytury zależy od rozwiązania stosunku pracy ze swoim pracodawcą. Trzeba więc dołączyć świadectwo pracy, które to potwierdza.

JAKIE DOKUMENTY NALEŻY PRZYGOTOWAĆ?

Jeśli osoba ma ustalony kapitał początkowy niezbędny do wyliczenia emerytury, to wówczas może złożyć tylko wniosek o emeryturę i świadectwo pracy, które potwierdza, że rozwiązano stosunek pracy.

Jeśli ZUS nie ustalił kapitału początkowego, to należy jak najszybciej złożyć wniosek w tej sprawie. Więcej informacji na ten temat znajduje się m.in. na stronie internetowej: www.zus.pl.

ZUS przygotowuje się do zmian przepisów

1 października wchodzą w życie przepisy obniżające wiek emerytalny. Oznacza to, że w ostatnim kwartale 2017 r. ok. 331 tys. osób może wystąpić o emeryturę. ZUS przygotowuje się do wejścia w życie nowych przepisów. Trwają prace nad systemem IT, obejmujące zmiany algorytmów wyliczania świadczeń w systemie informatycznym ZUS. Zakład przygotowuje się też do wzmożonej obsługi klientów i chce udzielać im wyczerpujących informacji o ich uprawnieniach emerytalnych. Od lipca br. we wszystkich oddziałach ZUS w kraju będzie 595 doradców emerytalnych. Będą oni wyjaśniali, od czego zależy wysokość emerytury, a także wyliczą w kalkulatorze emerytalnym wysokość prognozowanego świadczenia. Podczas pilotażu projektu usługi doradcy udzielili ponad 6 tys. porad i wyliczyli w kalkulatorze emerytalnym świadczenia dla ponad 2,6 tys. osób. Przeprowadzone przy okazji badania ankietowe wykazały, że dla 23 proc. przyszłych emerytów wcześniejsze wyliczenie prognozowanej kwoty świadczenia wpłynie na ich decyzję o terminie przejścia na emeryturę. Aż 97 proc. pytanych pozytywnie oceniło pomoc doradcy i sposób przekazywania przez niego informacji.

W JAKI SPOSÓB OBLICZANA BĘDZIE EMERYTURA?

Zebrane przez cały okres aktywności zawodowej składki zapisane na koncie w ZUS i kapitał początkowy trzeba podzielić przez tzw. średnie dalsze trwanie życia przyszłego emeryta. Jeśli dana osoba zdecyduje się przejść na emeryturę wcześniej, oznacza to, że będzie krócej pracować. Odłoży zatem mniej składek i dłużej będzie otrzymywała emeryturę, czyli zgromadzony kapitał rozłoży się na większą liczbę miesięcy (wyższe będzie średnie dalsze trwanie życia). Wcześniejsze przejście na emeryturę oznacza więc otrzymanie niższego świadczenia.

Nabycie prawa do emerytury nie zależy od udowodnienia ściśle określonego stażu pracy. Wystarczy udokumentowanie jakiegokolwiek okresu. Staż (okresy składkowe i nieskładkowe) ma jednak wpływ na wysokość emerytury. Zależy od niego gwarancja wypłaty emerytury w wysokości nie niższej niż 1000 zł. Jeśli kobieta będzie miała 20 lat okresów składkowych i nieskładkowych, a mężczyzna 25 lat takich okresów, to mają gwarancję, że ich świadczenie wyniesie co najmniej 1000 zł.

Dariusz Styczek

eprasa.pl d2fc640a08

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu rozstrzelone tematy od spraw ducha do spraw ciała. Wszystko inspirowane naszym ostatnim numerem.

„Amoris Ecclesia"

Z zainteresowaniem przeczytałem recenzję Waldemara Łysiaka najnowszej książki Pawła Lisickiego „Poza polityczną poprawnością". [...] w sprawie abdykacji Benedykta XVI w pełni popieram stanowisko Pawła Lisickiego. Uważam tę decyzję papieża za wielki błąd, który może także w przyszłości rodzić negatywne skutki w postaci choćby zakulisowego wymuszania rezygnacji na kolejnych suwerenach Watykanu. Także z punktu widzenia teologicznego decyzja Ojca Świętego jest trudna do obrony. Wszak pontifex maximus to nie urzędnik świecki, ale wikariusz Chrystusa, co oznacza, że najważniejsze powinno być w jego posłudze świadectwo trwania w pełnym zaufaniu przy boku Mistrza (tego zaufania chyba niestety zabrakło Benedyktowi), a nie ziemskie zarządzanie instytucją Kościoła.

W tym kontekście absolutnie nie zgadzam się ze stanowiskiem Waldemara Łysiaka, który krytykuje św. Jana Pawła II za to właśnie, że nie abdykował. [...] trwanie w wierności swemu powołaniu aż do śmierci było rodzajem ostatniej, bodaj najważniejszej katechezy, jakiej udzielił światu papież Polak. Bo dzisiejsza cywilizacja usuwa na margines starość, cierpienie i związane z nim „nieestetyczne" zjawiska, zamykając ludzi pod koniec ich życia albo w domach opieki, albo wręcz proponując im eutanazję jako rozwiązanie jakoby najlepsze dla ich „bezsensownego" trwania. Liczy się tylko młodość, uroda, przebojowość i skuteczność, a ludzie niepełnosprawni są obciążeniem społeczeństwa i dlatego w najlepszym wypadku powinni zniknąć, usunąć się, odejść na zasłużoną emeryturę. Powinni dać o sobie zapomnieć i nie stanowić dla innych problemu. [...] Widok gasnącego Jana Pawła II był dla wielu nie do zniesienia, ranił ich estetyczne odczucia, tak jak nie do zniesienia dla wielu jest widok męki Jezusa Chrystusa na krzyżu. W mojej pamięci – ale myślę także, że w pamięci milionów ludzi – na zawsze pozostanie obraz z drogi krzyżowej roku 2005, podczas której niemal już konający i mocno cierpiący Ojciec Święty obejmuje krzyż i jednoczy się w pełni przez to cierpienie z Ukrzyżowanym. Ta scena mówi więcej o tym, czym jest wiara, niż wielostronicowe traktaty teologiczne i długie kazania.

Wojciech Zajączkowski, Łódź

„Męski rak czeka na męską decyzję"

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł o raku prostaty. Nie ma w nim niestety żadnej wzmianki o kontrowersjach związanych z przesiewowymi badaniami tego raka, w szczególności z badaniem PSA. Nie spotkałem jeszcze artykułu w prasie polskiej, gdzie takie wątpliwości byłyby chociaż zauważone. W poważnej prasie amerykańskiej sytuacja jest inna.

Maciej P. Wojtkowski

Od autorki:

W Polsce też się o tym mówi, jednak obecnie nie ma lepszego markera dla skriningu raka prostaty. Rekomendacje są więc takie, że mężczyźni, u których w rodzinie (ojciec, brat) wystąpił rak prostaty, powinni ok. 40. roku życia iść do urologa i oznaczyć poziom PSA. Pozostali – bliżej ok. 50. roku. To tylko badanie skriningowe: nie zawsze niskie PSA świadczy o braku komórek nowotworowych. I odwrotnie – wysokie PSA nie musi świadczyć o raku. Dlatego wynik musi zawsze zinterpretować doświadczony urolog. W razie wątpliwości zaleca dodatkowe badania.

Katarzyna Pinkosz

Adamowi Pawłowiczowi

wyrazy współczucia
z powodu śmierci Ojca

ŚP.

Jana Janusza Pawłowicza

składają przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy"

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści: **Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hołdyńska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje
Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem:
Zofia Magdziak (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **MIDAS**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro: **Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY:
Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży)reklama@dorzeczy.pl; tel. + 48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS:
Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA: **Adam Borzęcki** (kolportaż); **Karolina Olchowik** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 108 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl d2fc640a08

TYGODNIK LISCKIEGO DO RZECZY

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY” + DWIE KSIĄŻKI KENA LIU: „KRÓLOWIE DARY” I „ŚCIANA BURZ”

145 zł

oszczędzasz 134 zł

PRENUMERATA DWULETNIA TYGODNIKA „DO RZECZY” + YANOSIK GTR WRAZ Z ROCZNĄ TRANSMISJĄ DANYCH

Yanosik GTR

Najskuteczniejszy komunikator dla kierowców.
Ponad 1,5 mln unikalnych użytkowników miesięcznie.
Bądź informowany o aktualnej sytuacji na drodze!

- **ostrzeżenia** m.in. o kontrolach prędkości, fotoradarach i wypadkach
- wygodna funkcja **mobilnego parkomatu**
- wskaźnik **EKOjazdy** dla obniżenia kosztów paliwa i napraw
- specjalny tryb dla **motocyklistów**
- **automatyczne** uruchamianie bez konieczności montażu

490 zł oszczędzasz 775 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl d2fc640a08

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pełną parą na oślep

Jakubie de Molay, zostałeś pomszczony" – te słowa miał wykrzyknąć jeden z obserwujących egzekucję Ludwika XVI w czasie rewolucji francuskiej. Nazwisko wielkiego mistrza templariuszy nie padło wtedy ponoć przypadkiem. Templariuszy za swoich ideowych antenatów mieli uważać wolnomyśliciele i masoni, a Jakuba de Molay kazał zgładzić król Francji Filip Piękny, więc dekapitacja Ludwika miała być odpłatą za mord sprzed wieków.

Teraz we Francji nastąpiło inne wyrównanie rachunków. W 2011 r. amerykańska policja zatrzymała Dominique'a Straussa-Kahna, szefa Międzynarodowego Funduszu Walutowego, za napastowanie pokojówki. We francuskiej prasie pisano wówczas, że nagłośnienie jednego z wielu ekscesów lubieżnego bankiera mogło być dziełem ówczesnego republikańskiego prezydenta Nicolasa Sarkozy'ego, który widział w Straussie-Kahnie groźnego rywala w wyborach prezydenckich w 2012 r.

Teraz Strauss-Kahn wymieniany był wśród osób z grupy szarych eminencji francuskiej lewicy, która wykreowała Emmanuela Macrona.

Gdy będą państwo czytać ten felieton, będzie już po II turze wyborów parlamentarnych we Francji i wszystko wskazuje na to, że partia Macrona zdobyła większość, rozbijając republikanów w proch i pył. Wcześniej, w I turze wyborów prezydenckich, poległ republikański kandydat François Fillon.

Nie wiem, czy w noc kolejnego triumfu Macron wystąpi na tle tak lubianej przez wolnomyślicieli piramidy przed Luwrem, ale okrzyk: „Dominique'u Straussie-Kahnie, zostałeś pomszczony" będzie jak najbardziej na miejscu.

Pytanie, co z tym triumfem zrobi Emmanuel Macron. Na razie epatuje młodzieńczym wdziękiem, a tygodnik „L'Express" nazywa go „Le Kid", czyli dzieciak. Dla Polski jest to złośliwy i mściwy dzieciak. Uosabia arogancję starych państw unijnych, które nie mają ochoty pozwolić, by kraje zza dawnej żelaznej kurtyny mogły zagrozić „Wielkiej Francji w konkurencji gospodarczej". Trójkąt Macron-Merkel-Juncker zdaje się szykować kary dla wszystkich nieposłusznych i krnąbrnych uczniów w unijnej szkółce. Czy to w sprawie kwot uchodźców, czy takich zbrodni jak wzgardzenie caracalami. Szczególnie gdy wewnętrzne zawirowania w Wielkiej Brytanii mogą służyć eurodogmatykom jako przykład tego, co czeka tych, którzy ośmielili się opuścić unijny obóz.

Wraca też poczucie mocarstwowości, która pozwala liderom unijnych instytucji szydzić z USA, dyżurnego obecnie chłopca do bicia.

– Europa nie potrzebuje więcej Wuja Sama w sprawach klimatu, a także polityki zagranicznej i bezpieczeństwa – powiedział przewodniczący Parlamentu Europejskiego Antonio Tajani. – Wysoko będziemy nieść sztandar z hasłami obrony klimatu – zapewnił.

Jak długo potrwa ten rausz ponownego poczucia pewności siebie? Odpowiedź jest prosta: do kolejnego kryzysu Unii. I wtedy liczne nierozwiązane problemy znów dadzą o sobie znać. Przeczekajmy więc cierpliwie fazę zachwytów nad Macronem i kolejnej erupcji aktywizmu Junckera. Jeśli chcemy sami decydować o swoim losie, to nie mamy innego wyjścia. ©℗

FOT. CURBUZ BINIO/GETTY IMAGES

TRAGICZNY POŻAR W LONDYNIE

Co najmniej 17 osób zginęło, a kilkadziesiąt trafiło do szpitali w wyniku pożaru apartamentowca Grenfell Tower w zachodnim Londynie. Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", kolejne kilkadziesiąt osób uważano za zaginione. Pożar, który wybuchł w nocy z wtorku na środę, błyskawicznie objął wszystkie 24 piętra. Policja wykluczyła, by tragedia była wynikiem ataku terrorystycznego. Tak tragicznego pożaru nie było w Wielkiej Brytanii od wielu lat. Premier Theresa May zarządziła w tej sprawie śledztwo. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl d2fc640a08

TYLKO U NAS!

WYWIAD Z EGZEKUTOREM AK, UCZESTNIKIEM AKCJI PRZECIWKO KOPPEMU

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA DO RZECZY

NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Tomasz Konopka – Badałem szczątki Sikorskiego / **Piotr Zychowicz** – **Co się stało z córką generała?** / Krzysztof Jasiewicz – Sowiecki raj dla Żydów / **Eleanor Hancock** – **Tajemnica nocy długich noży** / Sławomir Cenckiewicz – Donosy Kiszczaka / **Marcin Bartnicki** – **Polak, który chciał zabić Chruszczowa** / Mikołaj Iwanow – Jak własowcy wyzwolili Pragę

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl d2fc640a08

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Rulewski i obrzydzenie

Muszę się przyznać do błędu. Od czasu gdy przeczytałem rozmowę z Janem Rulewskim w książce Teresy Torańskiej „My", w której zupełnie bezwiednie, przez nadmierną szczerość, obnażył on całą miałkość środowiska politycznego dawnego Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, miałem go za człowieka porządnego, ale niezbyt… no, powiedzmy, niezbyt lotnego. Myliłem się i co do pierwszego, i co do drugiego.

Takimi przewrotkami bawił się, na służbie Jaruzelskiego, Urban

Uświadomiła mi to telewizyjna wypowiedź senatora PO, w której w sposób bardzo ekspresyjny – mówiąc, że odczuwa do nich „obrzydzenie" – oskarżył on rodziny ofiar Smoleńska o to, że swoimi zmarłymi i sobą nawzajem gardzą. Przejawem tej pogardy, która tak zbrzydziła pana senatora, ma być ich dążenie do prawdy o miejscu pochówku swych najbliższych i o tym, jak ich zwłoki zostały potraktowane. Jak to ujął Rulewski – ci ludzie, to znaczy krewni zmarłych, mają tak gardzić innymi, że przeszkadza im (delikatnie mówiąc), iż w „ich" trumnie znalazł się jakiś „cudzy" fragment zwłok. I o to, jak oznajmił, cała napawająca go „obrzydzeniem" awantura.

To, co Rulewski powiedział, było bez wątpienia nieopisanie podłe, ale bardziej jeszcze – iście po szatańsku przebiegłe. W podobny sposób potrafią odwracać kota ogonem i grać na emocjach tylko najcwańsi i najbardziej pozbawieni skrupułów propagandyści. Takimi przewrotkami bawił się w swych najlepszych czasach, na służbie Jaruzelskiego, Urban (np. pisząc o mszach za ojczyznę ks. Jerzego jako o „seansach nienawiści" i „wypuszczaniu spod ornatu demonów politycznej wścieklizny"), kilka podobnych osiągnięć odnotował w służbie Tuska Igor Ostachowicz, z rzadka udawało się to Palikotowi – Michnikowi już nie, choć się bardzo starał.

Może Rulewski nie wpadł na to sam? Nie był to na pewno SMS z „przekazem dnia", bo wtedy ten sam mem (w nauce mem to odpowiednik atomu w komunikacji, a nie obrazek z podpisem) kolportowaliby inni. Może podsłuchał to w jakiejś rozmowie platformersów o fascynującej ich ostatnio idei wrzucania ludzkich szczątków do zbiorowych grobów, przez Sowietów po orwellowsku nazywanych „bratnimi mogiłami"?

Tak czy owak Rulewski dołączył brawurowo do najlepszych. To znaczy do najgorszych. I najobrzydliwszych. ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O wędrówce ludów

Zawsze uważałem, że wyznawcom teorii spiskowych potrzebny jest lekarz od głowy. Teraz sam się rozglądam za wygodną kozetką u dobrego fachowca, bo zaczynam obsesyjnie wierzyć, że za forsowaną przez postępowych i światłych Europejczyków polityką imigracyjną stoją jakieś potężne moce tajemne.

Gdy z Afryki ruszyły łódki do Europy, mowa była wyłącznie o uchodźcach uciekających przed wojną i prześladowaniami. Teraz, gdy stało się jasne, że takich jest może 20–30 proc., termin „uchodźcy" zastąpił inny: „migranci". Sprytnej grze semantycznej towarzyszy wylew teorii o nieuchronności wędrówki ludów, której należy pomagać pod groźbą sankcji, moralnego szantażu i linczu w mediach. Też dlatego, że to rzekomo ofiary zmian klimatycznych, zawinionych przez chciwego białego człowieka. Słowem – odnoszę wrażenie, że w jakimś tajemnym Ministerstwie Prawdy „zniknęli" konwencję genewską i podmieniają ją na inną.

W Italii ofiarą seansów nienawiści padł prok. Carmelo Zuccaro, który popełnił ciężki grzech myślą. Rozpoczął dochodzenie w sprawie współpracy statków organizacji pozarządowych, czekających na łódki z migrantami u wybrzeży Libii, z gangsterami przemycającymi ludzi. Sugerował, że chodzi nie tyle o ratowanie tonących, ile o przeładunek żywego towaru, i to nie za darmo.

Siedmiokrotny premier Włoch Giulio Andreotti mawiał: „Wiem, że źle mówić o innych to grzech. Niestety, prawie zawsze człowiek ma rację". Zuccaro też miał rację. Jego rewelacje o współpracy organizacji pozarządowych z gangsterami potwierdziła libijska straż przybrzeżna. Włoskie postępowe media, które uczyniły z prokuratora demona, tę informację przemilczały. I jak tu nie popaść w paranoję? ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl d2fc640a08

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Samobójcze zagranie Schnepfa

Po tych Twoich wypowiedziach głęboko żałuję, że nie wywaliłem Cię z ambasady rok temu razem z Arabskim. To jeden z wielkich błędów mojej polityki w MSZ" – napisał do Ryszarda Schnepfa szef MSZ Witold Waszczykowski po tym, jak były polski ambasador w USA krytykował po raz kolejny polski rząd w magazynie „Horyzont". Schnepf ujawnił właśnie swoją prywatną korespondencję z ministrem.

Trzeba przyznać Waszczykowskiemu rację: pozostawienie Schnepfa na stanowisku, mimo jego kuriozalnych wynurzeń sprzed ponad roku o tym, że pada ofiarą antysemityzmu, było błędem. Widać to szczególnie właśnie teraz, gdy dyplomata udostępnia prywatne wiadomości. Robi to w odwecie za oskarżenie go o to, że będąc ambasadorem, pobierał bezprawnie dodatek na niepracującą żonę, która jednak w tym czasie jak najbardziej pracowała. Jak było, tego nie wiemy. Sam Schnepf wprost tych informacji, podanych przez „Super Express", nie zdementował, ale za to twierdzi, że inspirował je Waszczykowski. Dbałość o publiczną kasę nakazuje sprawę wyjaśnić, a sam Schnepf, zamiast się oburzać, powinien jasno postawić sprawę: tak, brałem pieniądze; albo: nie, nie brałem.

Twierdzi Schnepf, że spotykają go ataki za krytykę poczynań szefa MSZ. Nawet jeśli tak jest, to zadziwiającym sposobem walki o własne dobre imię jest sięganie po prywatną korespondencję. To pokazuje rozmiar szaleństwa, jakie ogarnęło część elit. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach już nigdy nie prześle Schnepfowi żadnej poufnej, osobistej informacji, uwagi, sugestii, bo ryzykuje, że gdy ten się na niego obrazi, wszystko to ujrzy światło dzienne. Ta konsekwencja jego własnego działania jednak najwyraźniej Schnepfowi umyka w jego antypisowskim amoku. Podobnie jak to, że ujawnianie prywatnej korespondencji to działanie fundamentalnie niezgodne z zasadami, którymi powinien się kierować zawodowy dyplomata – obojętnie, czy czynny, czy nie i jak nastawiony do obecnej władzy. Miejmy nadzieję, że ten wybryk ostatecznie kończy Schnepfową karierę w tej dziedzinie. ©℗

JAK WYWOŁAĆ BURZĘ

Premier Beata Szydło podczas uroczystości w Auschwitz powiedziała: „To w dzisiejszych, niespokojnych czasach wielka lekcja tego, że trzeba czynić wszystko, by chronić bezpieczeństwo i życie swoich obywateli". Trudno w tych słowach doszukać się niestosowności. To znaczące podkreślenie, że dzisiejsza Polska, inaczej niż II Rzeczpospolita, musi umieć stawiać opór wrogom.

Część polityków i dziennikarzy wykorzystała wyrwane z kontekstu zdanie premier, by uruchomić falę hejtu w Europie – zrobili to m.in. Donald Tusk, Grzegorz Schetyna czy szef polskiej edycji portalu Politico Michał Broniatowski. Taka narracja przebiła się w europejskich serwisach. Tusk i spółka uderzyli w Szydło? Nie, przede wszystkim zaszkodzili Polsce. ©℗

Wojciech Wybranowski

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 25 czerwca 2017 r.

1.

~~39,90 zł~~ 29,90 zł

2.

~~49,00 zł~~ 32,50 zł

3.

~~39,90 zł~~ 31,90 zł

4.

~~59,00 zł~~ 39,50 zł

5.

~~39,90 zł~~ 26,50 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl d2fc640a08

EDZIA CZY MARYLA

Edyta Górniak podobno nie będzie jednak jurorką w programie poszukującym talentów wokalnych „The Voice of Poland". Brała już udział w poprzednich edycjach, ale tym razem jej obecność w show stanęła pod znakiem zapytania. Plotkarskie media uważają, że poszło o Dodę. Górniak dowiedziawszy się, że producenci show rozmawiają też z Dodą, miała się śmiertelnie obrazić. Zanim to jednak zrobiła, miała ich przekonywać, by zamiast Dody zatrudnili Marylę Rodowicz. – Zgodziłabym się być jurorem, ale mam trasę koncertową. Wszystkie weekendy mam zajęte, nie zobaczycie mnie w „The Voice", życzę Edycie sukcesów i powodzenia w jurorowaniu – odpowiedziała od razu w jednym z wywiadów Rodowicz. I dodała, że do Edzi osobiście nic nie ma. – Nie było między nami żadnego konfliktu, bardzo ją cenię i lubię, konflikty są wymyślane przez media – stwierdziła. – Ale to prawda, ma najlepszy głos w Polsce, ale nie ma dobrego repertuaru – dodała. Znając Edzię, po tych słowach Maryli konflikt obu pań z pewnością przestanie być wyłącznie wymysłem mediów.

KOMEDIODRAMAT

Skoro jesteśmy już przy ego Edyty. Otóż podobno Edzia planuje właśnie film fabularny o swoim życiu. Wie już nawet, kto powinien ją zagrać! – Mam na uwadze swoją ukochaną aktorkę. To Maja Ostaszewska – ujawniła w „Fakcie". – Marzę, by to ona mnie zagrała, bo moim zdaniem świetnie by sobie poradziła. Ona jest bardzo kreatywną i plastyczną aktorką, która potrafi wydobyć z siebie wszystkie emocje. Edyta w jej wykonaniu na pewno byłaby mi bardzo bliska. Maja i ja mamy podobną fizyczność, urodę i rysy twarzy – uważa Edzia. Piosenkarka podchodzi do pomysłu poważnie, ale narzeka, że nie ma czasu, by zająć się produkcją. – Na razie jednak nie mam czasu na realizację takiej produkcji. Może ktoś inny się tym zajmie – zastanawia się. Oby. Kiepskich polskich komedii nigdy dość!

KARIERA WEDŁUG MAŚLAKA

Były mister Polski, obecny celebryta Rafał Maślak, opowiada, jak z sentymentem przymierza czasami swój mundur strażacki z czasów, gdy nie był jeszcze znany z tego, że jest znany. – Każdy miesiąc w moim życiu jest wielkim przełomem – wyznaje z nieskrywaną dumą. – Szkoda, że nie jestem już czynnym strażakiem. Przymierzam zawsze mundur z moim nazwiskiem, wisi jeszcze i pasuje. Dla moich kolegów strażaków moja kariera w Warszawie, otwarcie biznesu w centrum miasta, to duża rzecz – mówi. Serio koledzy strażacy podziwiają Maślaka za ścianki, głupkowate wywiady i półnagie zdjęcia na Instagramie? To niemożliwe! Strażacy to na ogół rozsądne chłopaki, a Maślak jest najlepszym przykładem wyjątku potwierdzającego tę regułę.

FOT. PAWEŁ GROMADA

CO JEŚĆ WIDELCEM

Małgorzata Rozenek vel Majdan nie może wyjść z zachwytu nad drugą edycją „Projektu Lady", czyli programu, w którym uczy młode dziewczęta dobrych manier. W jednym z wywiadów wyznała, że przy okazji programu sama wiele się uczy. – Uczę się w tym programie każdego dnia. To wspaniały program dla nas, wiele uczestniczek mnie zaskakuje. Dowiaduję się wiele o ludziach. Dowiedziałam się, że foie gras nie można jeść nożem, tylko widelcem, to mnie zszokowało. To coś w stylu „jak jeść bezę" – powiedziała Lady Rozenek. Cieszymy się, że Małgorzata jest bogatsza o tę wiedzę. Teraz pozując do kolejnych zdjęć w samych majtkach, będzie wiedziała, jak jeść foie gras. I kto jej wtedy zarzuci, że nie jest prawdziwą damą?

NATURALNY JAK CELEBRYTA

Krzysztof Gojdź, czyli chirurg gwiazd, który stał się celebrytą (dzięki własnym wysiłkom autopromocyjnym), właśnie otworzył kolejną klinikę urody. Przy okazji otwarcia udzielił wywiadu, w którym mówi, że jest wielkim zwolennikiem naturalnej urody. – Zmarszczki są fajne, mówią o historii naszego życia. Nie zamrażajmy twarzy – apeluje. – Mam nadzieję, że świat zmierza w stronę naturalności, którą od wielu lat promuję – dodaje. W sumie, jak się popatrzy na koszmarne twarze naszych celebrytek, czyli na efekty pracy Gojdzia i jemu podobnych, to rzeczywiście można uznać, że nie ma lepszego sposobu promocji naturalności.

DODA CHCE KRĘCIĆ FILMY

Uwaga, proszę usiąść. „Fakt" donosi, że Doda, która próbuje na serio zająć się produkcją filmową, chce nakręcić film o Smoleńsku. – Jestem na etapie dopinania projektów – zapowiadała niedawno. Założyłam firmę produkującą filmy. Za miesiąc zapraszam na konferencję prasową. Zdradzę, że zaprezentujemy nową, międzynarodową produkcję – dodawała. Wówczas pisano, że chodziło o film poświęcony biografii Czesława Niemena. Ostatecznie jednak nic z tego nie wyszło, więc Doda wpadła na inny pomysł. – Stwierdziła, że zrobi swój „Smoleńsk" – mówi informator tabloidu. – Oczywiście nie będzie to jeden do jednego historia prezydenckiego Tu-154, bo pojawią się tam fikcyjni bohaterowie. Fabuła będzie tylko luźno inspirowana autentycznymi wydarzeniami. Doda jest przekonana, że zapewni produkcji wielki rozgłos – relacjonuje. Widzimy, że Doda usiłuje zrobić konkurencję filmowi Edzi Górniak o niej samej. Trudno ocenić, który pomysł jest gorszy, więc walka będzie bardzo wyrównana. I tylko polskiej kinematografii trochę żal. ©℗

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/EAST NEWS

eprasa.pl d2fc640a08

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nie podoba nam się pomysł, iżby w tym kraju za przyjęcie osobouchodźców (których z tego miejsca serdecznie welcome) odpowiadały katolickie parafie, co postulują niektórzy politycy i działacze społeczni.

Może się to bowiem skończyć źle – jeśli przyjęlibyśmy mniejszość islamododatnią, bezradnych dwudziestokilkuletnich uciekinierów z problemami, zagubionych i ufnych, a do tego jeszcze ulokowalibyśmy ich w parafiach, to pewnie od razu osoboksięża zaczęliby akcje ewangelizacyjne i istnieje ryzyko, iż w ten sposób z 10 tys. osobouchodźców zrobi się nagle 10 tys. katofashystów albo nawet księży (z wyjątkiem kobiet z dziećmi, iż one są „niegodne" :/).

Duma jest uczuciem bezpiecznym wyłącznie wtedy, kiedy ma dotyczyć nieheteronormatywnej orientacji seksualnej. Tylko wtedy jest dumą radosną, tęczową, kolorową i europejską, a nie brunatną, smutną i wąsatą

Bezpieczniejszym rozwiązaniem byłoby jednak lokowanie osobouchodźców w skłotach w wielkich ośrodkach miejskich. W tym kraju istnieje prawie 40 miast większych niż 100 tys. mieszkańców, w każdym pewnie istnieje po kilka skłotów, więc skłotersi tych osobouchodźców nawet by nie zauważyli ani nie poczuli ich obecności. Ewentualnie można byłoby ich ulokować w mieszkaniach działaczy Razem lub w lokalnych redakcjach „Gazety Wyborczej"... oh, wait.

Tak w ogóle to bardzo dobrze, iż fejsik zaproponował, aby reakcja „Duma" była zilustrowana tęczową flagą. Jak bowiem wiadomo, „duma" jest pierwszym krokiem do fashysmu i nacjonalizmu, chyba że jest to duma z przynależności do środowisk LGBTQWERTYXYZ.

Nietrudno nam sobie wyobrazić sytuację, w której bowiem ktoś czuje dumę z bycia Polakiem i chciałby, iżby fejsik zilustrował to biało-czerwoną flagą. Albo dumę z bycia pigmentalnie nieuposażonym heteronormatywnym mężczyzną – tak jak Hitler. Sami widzicie, jakie to straszne.

Jak więc pewnie sami zauważyliście, duma jest uczuciem bezpiecznym wyłącznie wtedy, kiedy ma dotyczyć nieheteronormatywnej orientacji seksualnej. Tylko wtedy jest dumą radosną, tęczową, kolorową i europejską, a nie brunatną, smutną i wąsatą.

Doigraliśmy się, Unia długo prosiła, apelowała, co prawda nie posunęła się do ostrej rezolucji, ale jednak w końcu postanowiła wszcząć postępowanie dyscyplinujące ten kraj za odmowę przyjmowania uchodźczyń oraz uchodźców.

Cóż możemy powiedzieć: nareszcie! Tak długo bowiem czekaliśmy, aż nasz wstyd za ten kraj przyjmie jakieś bardziej zinstytucjonalizowane formy, że aż zapomnieliśmy połowy rzeczy, za które powinniśmy się wstydzić xD

Na szczęście Unia nie dała zbyt długo na to czekać i zrobi porządek, nie tylko z fashysmem tenkrajowym, lecz także przy okazji z Orbánem i – co jest dla nas pewną nowością – także fashysmem czeskim.

Ten kraj, urągając zasadom współżycia społecznego na arenie międzynarodowej i najwyraźniej hołdując tradycyjnym uprzedzeniom, pokonał w meczu piłkarskim Rumunię 3:1. Wszystkie gole zawłaszczył Robert Lewandowski.

Zauważcie, iż dzięki temu zwycięstwu reprezentacja tego kraju już prawie awansowała na mistrzostwa świata rozgrywane w... Rosji.

Sami więc widzicie, iż pod rządami Kaczafiego ten kraj wyraźnie wpada w ramiona pana Putina :(©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl d2fc640a08

dwaj panowie g

Donald przyjeżdża do Polski. Dobry Donald, czyli żółtowłosy, a nie zły, czyli rudy. Źli ludzie opowiadają na mieście, że jego wizytę u prezydenta Andrzeja Sebastiana załatwili do spółki Krzysiek Szczerski oraz Adam Bielan, którzy wcześniej obiecali, że zrobią to pod jednym warunkiem – że o niczym nie będzie wiedział, ani wtrącał się, Srebrny Lis Dyplomacji.

No i teraz Krzysiek z Adamem są trochę zirytowani. Bo popularny Srebrny Lis Waszczu chodzi i opowiada, że to jego sukces. Źli ludzie odpowiadają, że gdyby Waszczu włożył w załatwianie Trumpa tyle wysiłku, ile w to chodzenie, to dobry Donald zdążyłby już odwiedzić Warszawę kilka razy.

Apropos Bielana. Na popijawie z okazji siedmiolecia istnienia portalu naszych braci mniejszych, czyli rybaków, Adam uporczywie kolportował plotkę, że twórcy satyrycznego serialu „Ucho prezesa" są zaopatrywani w insajderskie informacje przez niejakiego Mazurka Roberta. Koronnym dowodem miał być wywód, że skoro w „Uchu prezesa" są grepsy o winie mozelskim, a Mazurek pisze o winach, to wszystko układa się w logiczną całość. Adam tyle razy opowiedział tę historię, że to jego zaczęliśmy podejrzewać o sprawstwo kierownicze.

My w sprawie Kukiza. Straszny z niego raptus. Oburzony sugestiami Macierewicza, że ma w klubie obcą agenturę, pokazał w programie resortowej bejbi Moniki Olejnej legitymację KGB. Taki żarcik. Miało być inaczej. Naczelny Kukiz chodził z tą legitymacją w kieszeni już poprzedniego dnia i opowiadał, że czeka, aż spotka Macierewicza, żeby mu ta legitymacja przypadkowo przy nim wypadła z kieszeni. Nie wiemy, co o tym myśleć. Czyżby pomylił Olejną z Macierewiczem?

Apropos Kukiza. Jest teraz nazwisko, którego nie lubi jeszcze bardziej niż Macierewicza. Liroy-Marzec. I ma powody. Nasze wiewiórki opowiadają, że Kukiz wywalił Scyzoryka w ostatniej

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl d2fc640a08

możliwej chwili, bo tamten już miał gotową pożegnalną konferencję i sam chciał przeprowadzić bohaterskie wyjście od kukistów dnia 13 czerwca. Jak więc widzicie, Kukiz to raptus, owszem, ale dobrze poinformowany.

Miało być pięknie. Męczeństwo Joanny Scheuring-Wielgus. Porwana podczas miesięcznicy przez kaczystów, katowana przez policjantów czytaniem na głos Planu Morawieckiego. Niestety, w czasie, kiedy według Onetu posłanka Nowoczesnej była ofiarą systemu, bawiła się na weselu posła Nowoczesnej Kropki, niejakiego Truskolaskiego Roberta. W Białymstoku. Ale po fejk niusie Onetu musiała i tak się tłumaczyć, że jej nikt nie aresztował. Tak się zastanawiamy – każdemu może się przydarzyć, a przydarza się zawsze akurat Onetowi. Przypadek?

Wesele posła Truskolaskiego było piękne. Niestety, mało przystające do światopoglądu członków Nowoczesnej Kropki. Nie dość, że małżonkowie okazali się kobietą i mężczyzną, to jeszcze ślub był kościelny. W dodatku para pojechała do kościoła w najgorszym wiejskim (czyli PiS-owskim) stylu, to znaczy białym mercedesem. Mamy nadzieję, że chociaż drobne, którymi obrzucano państwa młodych przed katedrą, należały do strefy euro.

Apropos tego, co się komu przydarza. Nam przydarzyła się nierzetelna wiewiórka opowiadająca o rzekomej likwidacji palarni w pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana po tym, jak rzucił palenie. Wiewiórka nie dostanie orzeszków ani whisky. Są i pozytywy: postanowiliśmy sami uważnie zgłębić temat „pałac a papierosy". Efekty są szokujące.

Otóż, po pierwsze, niewdzięczni pracownicy kancelarii Andrzeja Sebastiana nie rzucili palenia razem z nim. Po drugie, zamiast palarni preferują wychodzenie „na pole". Tym krakowskim terminem określany jest niewielki spacerniak przypominający więzienny, na którym można cieszyć się iluzją świeżego powietrza. A teraz najzabawniejsze: najaktywniejsi propagatorzy hasła: „Chodźmy zapalić na pole" wcale nie pochodzą z Krakowa.

Sam prezydent Andrzej Sebastian dokonał tymczasem cudu – nie tylko rzucił papierosy, lecz także wyszczuplał. Wszystko dlatego, że i tak żywił się wielce skromnie. A niektórzy wręcz się śmiali, że papierosy zastępują mu posiłki. Więc jak rzucił palenie, to i schudł. Logiczne.

Wyszczuplała też lista prezydenckich pełnomocników. Jak wiadomo, Andrzej Sebastian powołał dwóch: Mucha Paweł od referendum konstytucyjnego i Kolarski Wojciech od obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości. Miał być też trzeci – od obchodów niepodległościowych za granicą. I miał nim być Kwiatkowski Adam. Tylko że – głupia sprawa – Andrzej Sebastian nie miał zielonego pojęcia, że ma powołać jeszcze jakiegoś trzeciego pełnomocnika. Więc jak się dowiedział, że pewien minister z kancelarii lansuje ten pomysł, to troszkę się rozsierdził.

W pałacu Andrzeja Sebastiana w miejsce Gośki Sadurskiej pojawiła się nowa szefowa kancelarii – Halina Szymańska. Witamy serdecznie w naszej rubryce, pani Halino. Życzymy wielu owocnych występów na łamach. Na początek chcielibyśmy uprzejmie donieść, że niektórzy w pałacu mówią na panią złośliwie „pani weterynarz".

Tymczasem w PeŁo. Grzesiek Schetyna zapewnia Hankę od kamienic, że będzie jej bronił jak Ewy od Smoleńska, a Ewę od Smoleńska – że będzie jej bronił jak niepodległości. Znając Grzegorza, nie są to dobre informacje ani dla Hanki, ani dla Ewy, ani dla niepodległości.

Tymczasem w PiS. Pamiętacie, jak informowaliśmy, że Jacek Sasin już nie bardzo chce być prezydentem Warszawy? Otóż dobrze się składa, bo w partii też już nikt nie chce, żeby on chciał. Bardzo chciałby za to Patryk Jaki, rodowity warszawiak z Opola, ale zastrzega się, że o wszystkim zdecyduje matka partia. Na miejscu Jakiego nie zapominalibyśmy i o ojcu.

Na koniec o kulturze. Będzie płomiennie. Palił się amfiteatr w Jurgowie na Spiszu. Ratowała go straż pożarna z Bukowiny Tatrzańskiej. Podobno podpalenie. W dodatku doszło do niego wkrótce po tym, jak prezes Kura zaczął szukać nowego miejsca dla festiwalu opolskiego na uchodźstwie i przypomniało mu się, że sylwester w Zakopanem wyszedł całkiem fajnie. Przypadek?

Jeszcze o kulturze. Szczepan Twardoch dostał od ślązakowców, znaczy Ruchu Autonomii Śląska, nagrodę Górnośląskiego Tacyta. Nie dziwi nas, że dostał. Dziwi, dlaczego tak późno. A tak na serio to nam przykro. Uważamy bowiem, że ludzie obdarzeni prawdziwym talentem nie powinni odbierać czegokolwiek z rąk farbowanych lisów. ©℗

eprasa.pl d2fc640a08

Hejter Wałęsa

Maciej Pieczyński

Nawołuje do „pałowania" przeciwników, zapowiada „wykończenie" Kaczyńskiego, którego ludzie albo pożegnają się z władzą, albo będą „wyskakiwać przez okna". Lech Wałęsa to dziś pierwszy hejter z anty-PiS

FOT. DOMINIK GAJDA/REPORTER

epraso.pl

Jego niechęć do braci Kaczyńskich nie jest tajemnicą od czasów „wojny na górze". Jednak Wałęsa, najwyraźniej zachęcany postępującą radykalizacją nastrojów, atakuje swoich przeciwników coraz ostrzej. Hejtuje nie tylko przez Internet, lecz także w wywiadach udzielanych niechętnym PiS mediom.

„Jarosław Kaczyński to jest mały, zawistny człowiek. On mnie zrobił »Bolkiem«, nikt inny. On wykańcza wszystkich, którzy mogą być lepsi od niego, którzy mogą mu zająć miejsce i być przywódcami. Wydaje mu się, że mnie wykończył. Teraz wydaje mu się, że Tuska wykończy. Jeszcze trochę, a on będzie wykończony, nawet wiem jak, ale nie powiem" – stwierdził niedawno w rozmowie z Moniką Olejnik. W tym samym wywiadzie Wałęsa powiedział, że za samą sugestię, iż Tusk mógłby stanąć przed Trybunałem Stanu, przedstawiciele obozu władzy powinni stanąć przed sądem. Były prezydent chciałby w takiej sytuacji być prezesem aresztu, „głównym szefem od więzień", bo on by „ich nauczył".

To nie pierwszy raz, kiedy Wałęsa deklaruje, że sam chętnie rozprawiłby się ze swoimi przeciwnikami przy użyciu siły fizycznej. Trochę mu jednak brakuje konsekwencji. Gdy bowiem za kadencji Platformy przeciwko rządzącym protestowała Solidarność, jej najsłynniejszy przywódca stwierdził, że na miejscu Tuska kazałby protestujących „spałować", bo przecież legalnie wybrana władza zasługuje na respekt i szacunek ze strony społeczeństwa. Kiedy natomiast wybory wygrał PiS, Wałęsa aktywnie włączył się w działania opozycji. Niejednokrotnie przy tym zapowiadał, że chętnie wyciągnie na ulicę „miliony" ludzi, aby odsunąć Kaczyńskiego od władzy. Stawiał przy tym ultimatum: jeśli rządzący nie zgodzą się na demokratyczne rozstrzygnięcie (w tym przypadku jednak o woli ludu miało zadecydować „kryterium uliczne", a nie głosy w urnach), to rewolucjoniści z Wałęsą „pomogą im wyskakiwać przez okna". Jedyna więc stałość ideowa, jaką w tym przypadku zachowuje laureat Pokojowej Nagrody Nobla, to gotowość do przemocy.

„WYKOŃCZYĆ KACZYŃSKIEGO"

Tymczasem lewicowo-liberalne media próbują wykreować obraz Wałęsy jako „ofiary hejtu". Gdy niedawno były prezydent gościł w programie Tomasza Lisa, gospodarz tuż przed rozmową wyemitował „szkalujące legendę" wypowiedzi polityków prawicy. Wnikliwy widz mógł odczuć pewien dysonans, słuchając zaraz potem, jak Wałęsa podczas wywiadu co najmniej równie niewybrednie atakował swoich przeciwników. Oczywiście przy pełnej aprobacie Lisa, który sam rozmówcę prowokował. Na pytanie o zachowanie Andrzeja Dudy podczas szczytu NATO Wałęsa stwierdził, że prezydent musiał być pod wpływem „jakichś proszków". Powtórzył też tezę, zgodnie z którą Jarosław Kaczyński „ma na sumieniu to wielkie smoleńskie nieszczęście", bo „z przytupem chciał rozpocząć kampanię wyborczą od Katynia" i dlatego wysłał tam swojego brata, mimo że „nikt go tam nie chciał". Zdaniem Wałęsy prezes PiS poprzez ponowne śledztwo smoleńskie chce podzielić się odpowiedzialnością za tę tragedię.

Biorąc pod uwagę charakter wypowiedzi Wałęsy, trudno się dziwić, że zgodził się na rozmowę ze Zbigniewem Stonogą. Kontrowersyjny biznesmen niemal w każdym pytaniu podkreślał, że jego celem jest pomóc Wałęsie w walce z jego przeciwnikami. Prowokował, dość skutecznie, swojego rozmówcę do możliwie najostrzejszych wypowiedzi na temat Jarosława Kaczyńskiego, którego nazwał „małą mendą", co byłego prezydenta nawet rozbawiło. „Ja mu nawet współczuję, dlatego, że, wie pan, przy takim kłamstwie obstawać to przecież prędzej czy później musi wyjść na jaw. I on zapłaci za to straszliwą cenę […]. Jest za dużo świadków, faktów, prawda jest oczywista, więc ona musi wybuchać, a on musi za to zapłacić rachunek" – nie, ten komentarz nie dotyczy niechęci Wałęsy do zmierzenia się z własną przeszłością, to słowa Wałęsy o Jarosławie Kaczyńskim, którego były prezydent otwarcie obarcza odpowiedzialnością za katastrofę smoleńską. „To jest naprawę jego zasługa […] on chciał z przytupem zacząć kampanię wyborczą […] i w związku z tym ja się dziwię, że jego sumienie wytrzymuje, przecież jak wyjdą te fakty, taśmy z tych ostatnich sekund, to jak on to usłyszy, to się będzie bał swojego cienia" – wieszczy Wałęsa.

Lech Wałęsa obrażał m.in. ofiary donosów TW „Bolka", mówiąc o nich: „Nic nie znaczyli w tamtym czasie i dziś nic nie znaczą"

Innym razem na Facebooku były prezydent pisał, że to Lech Kaczyński „funkcyjnie jest odpowiedzialny za ten wypadek i śmierć Swoją i całego zespołu […]".

W rozmowie ze Stonogą Wałęsa ponownie roztacza wizję tragicznego końca prezesa PiS: „Ja przewidziałem, że ich koniec będzie taki, że nawzajem się pozabijają, już parenaście lat temu. No i rzeczywiście jeden zginął, a ten drugi albo skończy w wariatkowie, albo popełni samobójstwo – taki będzie jego koniec. Nie może być inny, bo to jest zbyt wielkie obciążenie, zbyt dużo fałszu i kłamstw, więc rachunek może być tylko taki". Co jednak ciekawe, na pytanie Stonogi, czy to możliwe, że Jarosław Kaczyński współpracował z tajnymi służbami PRL, Wałęsa był już bardziej ostrożny. Stwierdził, że nawet jeśli do takiej współpracy doszło, to na pewno przyszły prezes PiS „ochoty na to nie miał" i został do niej zmuszony.

Wałęsa nie jest konsekwentny w swoich teoriach na temat przyczyn tragedii smoleńskiej. Nie zawsze przypisuje winę prezesowi PiS. Czasem bezpośrednim sprawstwem obarcza Lecha Kaczyńskiego. Tak można było wywnioskować z treści mema, którego noblista opublikował na Facebooku. Obrazek przedstawiał Wałęsę i Kwaśniewskiego, podpisanych jako „Prezydenci RP", oraz Lecha Kaczyńskiego, określonego z kolei mianem „smoleńskiego mordercy 95 niewinnych osób". Tak laureat Pokojowej Nagrody Nobla tłumaczył się z tych treści na antenie Radia Zet: „To nie jest mój mem, ja go tylko zamieściłem. Podobał mi się. Wcale nie jest zabawny, ale pokazuje prawdę o katastrofie smoleńskiej". Po fali krytyki Wałęsa jednak usunął ten wpis.

Lech Wałęsa obrażał również ofiary donosów TW „Bolka", mówiąc o nich: „Nic nie znaczyli w tamtym czasie i dziś nic nie znaczą". Hejtował Sławomira Cenckiewicza, nazywając go „pogrobowcem Kiszczaka" (do tego grona zaliczył również Gwiazdę, Macierewicza i Walentynowicz). Na jego profilu

eprasa.pl d2fc640a08

facebookowym pojawił się, usunięty po pewnym czasie, wpis, w którym historyk nazwany został „śmieciem, pier…dolonym wnuczkiem SB-ka". Gdy odwołał swoje wystąpienie na konferencji z referatem o Wałęsie, motywując to poszanowaniem dla żałoby po śmierci syna byłego prezydenta, ten zaatakował, pisząc na Facebooku: „Moralisto, nie rezygnuj" i nazywając Cenckiewicza „kanalią, pomiotem esbeckim". Publicznie przypisał też autorowi książek o TW „Bolku" odpowiedzialność za samobójstwo syna: „Mam tego serdecznie dość. Mój syn też nie wytrzymał psychicznie przez tych Cenckiewiczów i innych i skrócił sobie życie".

Laureat Pokojowej Nagrody Nobla bywa agresywny także wobec dociekliwych dziennikarzy. Gdy kilka lat temu Konrad Piasecki pytał Wałęsę o to, czy zdradzi szczegóły spotkania z byłym funkcjonariuszem SB, usłyszał w odpowiedzi: „Od zdrad to może być pan. Ja nigdy nie zdradzałem i nie zdradzam. Proszę mi nie wciskać takich bzdur".

„UROJENIA POPAPRAŃCÓW"

Gdy na antenie Radia Szczecin Andrzej Milczanowski nazwał Krzysztofa Wyszkowskiego „skończonym łajdakiem", Wałęsa skomentował to słowami: „Wreszcie ktoś powiedział prawdę o tym typie". Były prezydent uwielbia opowiadać, jak to w pojedynkę obalił komunizm. Biorąc pod uwagę wybujałe ego noblisty, można podejrzewać, że nie jest to żadne wyrachowanie, cyniczny zabieg retoryczny. Bardzo prawdopodobne, że Wałęsa wierzy w swój autokult jednostki. „Dziś bohaterzy, w tamtym czasie osiągnęliśmy maksymalnie, nic dalej, nic więcej. To byłaby klęska, bestia komunistyczna przypadkiem przegrała i ZAMIERZAŁA ODEGRAĆ SIĘ I PRZEZ TAKICH DURNI MIAŁA BY SZANSĘ. Rozegrałem to idealnie z pomocą BOSKĄ. Dziś kretyni bohaterzy podważają, udają że można było więcej, kto Wam bronił, gdzie byliście, kiedy trzeba było podejmować decyzje, brać odpowiedzialność za życie i śmierć, Za zwycięstwo i klęskę" (pisownia oryginalna) – to treść facebookowego wpisu Wałęsy z 6 czerwca, a więc najwyraźniej opublikowany pod wpływem refleksji nad rocznicą częściowo wolnych wyborów. Na profilu byłego prezydenta wywiązała się dyskusja, w którą włączył się sam zainteresowany. Na ostrożnie sformułowane pretensje o „brak krytycyzmu do siebie" odpowiedział: „ja podejmowałem wszystkie najważniejsze decyzje. Gdybym Wam oddał decyzje to na pewno byłaby klęska", „Musiałem zostać Prezydentem by dobić komunę, wycofać wojska sowieckie i przekazać po okrągłym stole Wam 100% wolności. A Wy wybraliście Kwaśniewskiego i SLD a potem Kaczyńskich. Ostrzegałem".

Podczas gdy dla Wałęsy i jego zwolenników 4 czerwca to przede wszystkim rocznica „obalenia komuny", prawicy ten dzień kojarzy się z czymś dokładnie przeciwnym – z obaleniem rządu dążącego do dekomunizacji. Architekt „nocnej zmiany" nazwał opowiadający o tym wydarzeniu film dokumentalny „fałszem, urojeniami Kurskiego i popaprańców". Ma też swoją teorię na temat przyczyn upadku rządu – jego zdaniem Olszewski „chciał zostać przy korycie nie mając szans, więc uruchomił teczki po to ,byśmy się tak podzielili, by zniszczyć mądrą lustrację ,by nie można powołać długo żadnego rządu, to prowokator nieodpowiedzialny , tym ruchem zniszczył wszystkie struktury Państwa, nie mając i nie proponując niczego na następny dzień , miał szczęście, że byłem ja i zapanowałem nad kretynami nieodpowiedzialnymi, pchającymi za wszelką cenę do wojny domowej, było bardzo blisko. Taka jest prawda o tych szaleńcach" – czytamy na profilu Wałęsy. „Nagranie powstało na moje polecenie, zdobyte od kamerzystów i przerobione, pod popaprańców urojenia , z lekceważone jako śmieszne, chodzi do dziś w tej kłamliwej, bzdurnej koncepcji, prędzej czy później prawda się obroni". Tak Wałęsa podsumował „nocną zmianę": „Zapanowałem nad szaleńcami i ich nieodpowiedzialnymi pomysłami udało się mieliśmy szczęście".

Wcześniej Wałęsa udowodnił, jak bardzo leży mu na sercu dobro młodego pokolenia, jego wychowanie i edukacja. „Ten spektakl w sejmie na dzień dziecka jest totalną pomyłką. Dzieci nie mają dojrzałej świadomości i wyrobionych poglądów. Toteż można nimi manipulować" – tak pisał z troską o obradach Sejmu Dzieci i Młodzieży. Przy czym, podobnie jak lewicowo-liberalne media, wypowiedzi części młodych posłów chwalił, innych zaś ganił, uznając najwyraźniej, że z definicji niedojrzałe poglądy to te prawicowe. „Dzieci są mądre, pamięć mają doskonałą" – komentował, gdy z trybuny sejmowej, przy akompaniamencie okrzyków „Lech Wałęsa!", padały słowa na temat Muzeum Drugiej Wojny Światowej. Natomiast już posłów skandujących „Precz z komuną!" porównał do „niemieckich przedszkolaków", które „hajcowały na cześć Hitlera", bo „tyle samo wiedziały co robią co nasze dzieci dziś w Sejmie".

Z pozycji „autorytetu moralnego" noblista postanowił poruszyć sumienie odpowiedzialnej jego zdaniem za te „skandaliczne hasło" Anny Zalewskiej: „Wstyd – gdzie jest minister edukacji ta krowa?! Edukować a nie manipulować i nakazywać

RYS. MIDAS

eprasa.pl d2fc640a08

dzieciom robić rzeczy, o których nie mają pojęcia" – ten komentarz Wałęsy odbił się w mediach szerokim echem. „Te słowa miały zranić Minister Zalewską, a w rezultacie Lech Wałęsa tym wpisem sam sobie wystawił świadectwo" – stwierdziła na Twitterze Elżbieta Witek. I, paradoksalnie, najwyraźniej były prezydent przyznał jej rację, bo skandaliczny wpis zniknął z jego oficjalnego profilu.

OD SŁÓW DO CZYNÓW?

Krzysztof Wyszkowski wspomina, że Wałęsa nie był zawsze typem „agresywnego hejtera". – Kiedy przyszedł do mnie zgłosić się do współpracy w Wolnych Związkach Zawodowych w 1978 r., był zupełnie innym człowiekiem: pokornym, ustępliwym. Łatwo było go przywołać do porządku, gdy wygadywał głupoty. Ale wtedy zależało mu na tym, by wejść do naszej organizacji – wspomina były opozycjonista. – Jestem przekonany, że ten hejt Wałęsy wynika z poczucia klęski. On nie potrafi się pogodzić z faktem, że coraz więcej ludzi wie o jego agenturalnej przeszłości. Przez dziesiątki lat przyzwyczaił się do tego, że jest uwielbiany, że wszędzie czekają na niego brawa, nagrody i pieniądze. Upadek z tak wysokiego konia musi być dla niego bolesny – komentuje Wyszkowski. I dodaje: – Wałęsa często reaguje agresją na agresję, ale ciężko się dziwić, że ludzie, których oszukał, którymi pogardza, odnoszą się do niego w taki czy inny sposób.

Wałęsa stał się wyrazistą twarzą opozycji totalnej, idolem i symbolem obozu lewicowo-liberalnego, któremu nieszczególnie przeszkadza, że laureat Pokojowej Nagrody Nobla nawołuje do walki o władzę za pomocą metod rodem z Białorusi czy Rosji, używając przy tym tak niepoprawnej politycznie „mowy nienawiści", która ociera się czasem o nawoływanie do popełnienia przestępstwa. Na razie apele „pierwszego hejtera anty-PiS" pozostają w sferze werbalnej, bez przełożenia na czyny. – Wałęsa jest niegroźny w sensie organizacyjnym, ale bez wątpienia swoimi nienawistnymi wypowiedziami buduje atmosferę wojny domowej, na razie słownej – mówi Krzysztof Wyszkowski. Opozycjonista dodaje, że co innego jest swoich przeciwników krytykować czy nawet obrażać, a co innego wzywać do przemocy wobec nich. Do przemocy, która może być usprawiedliwiona autorytetem, jakim wciąż cieszy się Wałęsa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

epressa.pl

Rafał A. Ziemkiewicz

Sekta trzymająca opozycję

Nawet zakładając najgorszą wolę „totalnej opozycji" oraz jej mediów, nie da się racjonalnie objaśnić ich obecnego postępowania. Co w jej szeregach robią Lech Wałęsa i Władysław Frasyniuk?

Czemu służyć ma eskalowanie wojny z „miesięcznicami smoleńskimi", uparte brnięcie „w zaparte" nawet w sprawach tak oczywistych jak kłamstwa Wałęsy, a teraz przesuwanie wizerunkowego punktu ciężkości anty-PiS-u ku Obywatelom RP i promowanie na, jak ochrzcił go Tomasz Lis, „moralnego lidera opozycji" jeszcze bardziej od niego groteskowego Frasyniuka? Pozostawiając już na boku ocenę łamania prawa i kolejnych tabu oraz czynów drastycznie sprzecznych z poczuciem przyzwoitości przeciętnego Polaka, działania te przecież zamykają opozycję w getcie radykałów i jedyne, co mogą jej przynieść, to trwałe uniemożliwienie odebrania PiS umiarkowanych wyborców, nawet gdyby ci zupełnie się obecnymi rządami rozczarowali. Wygląda na to, że wrogowie PiS kompletnie oderwali się od rzeczywistości i stracili zdolność racjonalnego myślenia.

Szeroko rozumiany obóz III RP od wielu już lat systematycznie maleje, jego autorytety tracą stopniowo posłuch, a jego kolejne reprezentacje polityczne poparcie – losy „historycznego przywódcy", który stał się internetowym trollem, przemierzając drogę „od zera do bohatera" w obie strony, są tego może najsmutniejszym, ale przecież nie jedynym przykładem. Chociaż przegrane wybory sprzed dwóch lat wydawały się szansą na odwrócenie tej tendencji. Z jednej strony, Grzegorz Schetyna, jako polityk w oczywisty sposób przez Tuska sekowany i odsunięty od wpływów, miał wszelkie dane, by z powodzeniem wystawić spektakl „Partia ta sama, ale nie taka sama", rozliczając „błędy i wypaczenia" Tuska oraz pozbywając się działaczy, którzy wyborców zawiedli – co przecież w demokracji jest rutyną. Z drugiej, wiadomo przecież, że władza stopniowo „zużywa" każdą formację polityczną i że PiS straci tę łatwość, z jaką od lat mógł udawać, że wie, jak wszystko naprawić, za nic nie odpowiadając.

Tyle że aby opozycja mogła na efekcie „zużycia" skorzystać, musi poczekać, aż zacznie on działać – zwykle trwa to kilka lat. Zwykle też partia, która przegrywa wybory, nastawia się na wygranie następnych po upływie kadencji. Na początku skupia się na przegrupowaniu własnych szeregów, analizie przyczyn przegranej, przekonaniu wyborców, że zrozumiała swe błędy i je naprawiła, władzy zaś pozwala popełniać błędy, które w przyszłości staną się paliwem opozycyjnej kampanii.

WYPIERANIE RZECZYWISTOŚCI

Tymczasem PO i Nowoczesna, a zwłaszcza to, co nazwaliśmy swego czasu na naszych łamach „otuliną", czyli ich szerokie zaplecze w elitach korporacyjnych i opiniotwórczych, zaczęły zachowywać się tak, jakby było dla nich sprawą życia i śmierci obalenie rządów PiS w drodze rewolucji już, natychmiast po wyborach. Nie dały nowej władzy ani chwili na zużycie się, ośmieszenie czy skompromitowanie, rozpoczynając od razu zmasowane propagandowe uderzenie i usiłując zmobilizować swych zwolenników do działań radykalnych w nadziei, że pod wpływem tej kampanii „przyjdą miliony i pisowcy będą musieli z okien skakać". Znaczące jest to, że hasła „złamania konstytucji", „rozmontowywania państwa prawa" i inne fundamentalne

eprasa.pl d2fc640a08

FOT. WOJCIECH KRYŃSKI/FORUM

wezwania „opozycji totalnej" rzucone zostały jeszcze przed zmianami w Trybunale Konstytucyjnym, przejęciem tymczasową ustawą państwowych mediów czy innymi decyzjami, podawanymi obecnie jako ich powody. Wyraźnie kierowano się tutaj doświadczeniami lat 2005–2007, kiedy to propagandowe manipulacje zbudowane wokół „nacisków", Blidy, doktora G. i innych przejawów „dusznej atmosfery rządów PiS" dały oczekiwany skutek, choć wszystkie owe sprawy okazały się potem zwykłą medialną lipą.

Nie wzięto jednak pod uwagę, że Kaczyński był wówczas słabszy i skazany na niepewnych koalicjantów, z których jeden, Roman Giertych, wręcz chwalił się potem, że koalicję tę sabotował, front wrogich mu mediów znacznie silniejszy i szczelniejszy, a PO jawiła się jako siła nowa, która dopiero pokaże, jak naprawdę walczyć z „rywinlandem".

W sytuacji zupełnie już innej oczekiwanie po Polakach rewolucyjnego zrywu przeciwko formacji, którą dopiero co wybrali, w imię obrony status quo, które dopiero co odrzucili, było tak mało realistyczne, że wyjaśnić postępowanie obozu III RP dawało się tylko w jeden racjonalny sposób: ludzie poprzedniej władzy walczą o życie, walczą, by – mówiąc słowami Wałęsy z 1992 r. – „nie wpuścić ich – »pisowców« – do gabinetów", bo znajdą tam ową zapowiadaną przez Jarosława Kaczyńskiego od wielu lat „porażającą wiedzę", która zniszczy elity III RP raz na zawsze. Jak na razie jednak, mimo upływu dwóch lat, żadnej takiej wiedzy nie widać, a tam, gdzie jej szukano, ujawniane są zaledwie nieprawidłowości, cwaniactwo, w kilku przypadkach afery, jakie się zdarzają i w normalnych krajach. Zapewne wiele osób usilnie zaangażowanych w szerzenie histerii o „niszczeniu przez PiS demokracji", „wyprowadzaniu nas z Europy" i „rozmontowywaniu państwa" ma się czego obawiać, jednak uczynienie owej histerii osią strategii musiało mieć przyczyny raczej emocjonalne. Ludzie przyzwyczajeni od ćwierć wieku, że są przez większość społeczeństwa podziwiani, naśladowani i szanowani, po prostu nie przyjęli do wiadomości zmiany, która znalazła wyraz w wyniku podwójnych wyborów 2015 r. Zaczęli wypierać rzeczywistość, co przyszło im tym łatwiej, że część mediów – ta od zawsze wpisana powiązaniami personalnymi, kapitałowymi i systemem koncesyjnym w „układ" poczęty w Magdalence – wciąż ich w tym wspiera.

ZNOWU „MY" I „ONI"

Tak czy owak, obóz III RP przyjął formułę „opozycji totalnej", zawierzając strategii „ulica i zagranica" i skupiając się na próbach wmówienia społeczeństwu, że żyjemy pod okupacją, w totalitaryzmie, w stanie wyjątkowym, który unieważnia wszelkie normalne spory polityczne. Opozycja nie musi więc mieć żadnych planów ani programów dotyczących podatków, gospodarki, polityki zagranicznej, niczego w ogóle, czym zajmują się politycy w krajach normalnych – na wszystko przyjdzie czas dopiero po „odzyskaniu wolności". Na razie trzeba moralnej mobilizacji całego zniewolonego narodu, by odsunąć od władzy nowego Gomułkę, Stalina, Hitlera, Pol Pota i Putina w jednej znienawidzonej osobie. Antypisowskie media i politycy przez nie promowani uporczywie starają się wmówić Polakom mentalną sytuację zapamiętaną przez starsze pokolenie z PRL: znowu jesteśmy „my" i „oni", znowu prowadzą nas „legendy antykomunistycznego podziemia", znowu ważne jest tylko to, żeby „ich" odsunąć od władzy, a kto się temu opiera, na tego niech spada hańba, bojkot i szyderstwa, tak jak niegdyś na Żukrowskiego czy Dobraczyńskiego.

Właściwie aberracja idzie jeszcze dalej: „wysadzone z siodła" elity nie tyle nawet

eprasa.pl d2fc640a08

starają się takie przekonanie społeczeństwu narzucić, ile uważają, że tak ono uważa i że jest to dla wszystkich oczywiste. Jacek Dukaj opisał przed wielu laty ludzi z krakowskiego salonu, nieznających nikogo, kto by nie głosował na Unię Demokratyczną, i w związku z tym do końca przekonanych, że jej miażdżące zwycięstwo w wyborach jest pewne. Ten sam syndrom odtwarza się w kręgu nałogowych czytelników Lisa, Michnika, Baczyńskiego oraz widzów prywatnych koncernów telewizyjnych. Wystarczy pobieżnie przeglądać ich wypowiedzi na internetowych forach i w mediach społecznościowych.

SZKOŁA URBANA

Do tej grupy przekaz wykuty w propagandowych kuźniach antypisowskiej rebelii trafia bez najmniejszych zastrzeżeń czy zwątpień. Oni wierzą, że Władysław Frasyniuk dokonał na Krakowskim Przedmieściu bohaterskich czynów, za które spotkały go brutalne represje reżimu, wierzą, że manifestacje KOD i Obywateli RP są uśmiechnięte, radosne i pełne życzliwości dla wszystkich, a z kolei „miesięcznice" to seanse nienawiści. Z głębokim przekonaniem dowodzą sobie i innym, że Wałęsa wielokrotnie zmiażdżył niezbitymi dowodami kłamstwa i fałszerstwa o swej przeszłości, że Polska, która za Tuska kwitła, jest dziś w ruinie, a przeciwstawiającym się rządowi grożą prześladowania takie same jak w stanie wojennym – no bo przecież jest tak samo jak wtedy.

Ten mroczny, obsesyjny świat dla ludzi spoza coraz bardziej przypominającego sektę najściślejszego kręgu wrogów PiS może być tylko śmieszny, ale żyjący w nim czują się uprawnieni do każdego zachowania, które w świecie normalnym uchodzi za nie do przyjęcia. I to właśnie jest dla „opozycji totalnej" największą pułapką – mechanizm sekty raz puszczony w ruch prowadzi do nieustającego pogłębiania się paranoi, do stałego zaciskania się kręgu coraz bardziej radykalnych wyznawców, wyszukujących wokół siebie zdrajców, agentów wroga czy choćby tylko nie dość gorliwych w służeniu sprawie. Tak właśnie stało się z podzielonym i skłóconym KOD, rozdartym nienawiścią między tymi, którzy wbrew wszystkiemu wciąż wierzą w Kijowskiego, a tymi, którzy szukają nowego guru.

Formuła politycznej sekty nie jest niczym nowym, w historii III RP budowano już takie i używano ich z różnym skutkiem. Bardzo licznej swego czasu sekcie postkomunistycznej przewodził kiedyś Jerzy Urban. Przez lata obsługiwał jej emocje, dając się wyżywać w nienawiści (podobieństwa do Obywateli czy „ciamajdanu" nie są zresztą przypadkowe, wielu obecnych wojowników Kasprzaka to wieloletni czytelnicy „Nie" i dawni zwolennicy Palikota). Ta sekta była jednak dzieckiem politycznego cynizmu i racjonalnej kalkulacji – SLD, budując nowy „neoliberalny" i „europejski" porządek, rozładował Urbanem i wykorzystał do tej budowy frustracje i emocjonalne paroksyzmy wielbicieli komunizmu oraz Związku Sowieckiego. Proszę wybaczyć, jeśli kogoś to oburza, ale z technicznego punktu widzenia podobne jest zagospodarowanie przez PiS Macierewiczem i wiarą w zamach emocji rozpalonych do granic powstańczej „gorączki" tragedią w Smoleńsku.

Benefis Frasyniuka i Obywateli pokazuje, że sekta „obrońców demokracji" nadaje ton całemu swojemu obozowi

Wydaje się jednak, że „opozycja totalna" nie ma dziś przywódcy na tyle zręcznego, żeby potrafił tę operację powtórzyć. Benefis Frasyniuka i Obywateli pokazuje, że sekta „obrońców demokracji" nadaje ton całemu swojemu obozowi. O ile przekaz Urbana kanalizowany był przez „Nie" do wewnątrz żelaznego elektoratu, podczas gdy na zewnątrz SLD prezentował neoficką europejskość, kult Michnika i Balcerowicza, o tyle w przypadku opozycji przeciwko PiS przekaz w swym radykalizmie jawnie groteskowy coraz bardziej dominuje nad normalnym.

PIS-OWSKIE WYKOPKI?

Żeby poprzestać na najnowszym przykładzie – w zetknięciu z faktami i elementarną logiką przekaz „walki z pisowskim totalitaryzmem" nie daje się przecież obronić. Frasyniuk, otwarcie zresztą epatujący swych wyznawców mołojeckim „mam w dupie prawo", został przez policję potraktowany z przesadną wręcz delikatnością. Blokowanie legalnej manifestacji jest wykroczeniem, cokolwiek by się o niej sądziło, a motywowanie ataku na miesięcznice rzekomą represyjnością nowego prawa o zgromadzeniach oczywistym dla każdego pretekstem – poprzednie było w tym punkcie identyczne, zresztą wiadomo, że sekta blokowała miesięcznice już wcześniej i nowe prawo było właśnie reakcją na te działania. Reakcją znajdującą uzasadnienie, bo jest też oczywiste, że sekciarzom chodzi wyłącznie o sprowokowanie jakiegoś nieszczęścia, o które by mogli oskarżyć przed światem PiS.

„Obywatelskie nieposłuszeństwo" może liczyć na zrozumienie, gdy jest protestem przeciwko jakimś działaniom władzy wymierzonym w prawa człowieka. Jakim niby łamaniem tych praw jest jednak to, że część zwolenników PiS demonstruje żałobę po ofiarach tragedii sprzed siedmiu lat i domaga się wyjaśnienia jej wciąż tajemniczych okoliczności – nawet jeśli uważamy, że przesadzają?

Ze wszystkich możliwych spraw wybrać na główne pole konfrontacji akurat miesięcznice, szczególnie po horrorze ekshumacji, które dobitnie skompromitowały narrację „pisowskich wykopków w grobach bez zgody rodzin", to z punktu widzenia opozycji szaleństwo. Frasyniuk jako „moralny lider" z hasłem cyrylicą „jebać pis" atakujący policjantów i oznajmiający potem, że „nie ośmielą się mu nic zrobić, bo jego osoba ma zbyt wielką polityczną wagę", to strzał wizerunkowo jeszcze głupszy niż kabotyński Kijowski z jego fakturami i alimentami. „Legenda antykomunistycznej opozycji"? Dla kogo? Dla pokolenia 50+. Młodsi znają go jako hejtera i oszołoma, ewentualnie człowieka, który w co najmniej tajemniczy sposób stał się z dnia na dzień milionerem; najbardziej politycznie wyrobieni jako zgranego przywódcę zmiecionej przez wyborców ze sceny politycznej kanapowej partyjki, będącej resztówką po UD i UW. Zresztą epitet „legenda opozycji" został już przez propagandystów III RP tak wyświechtany, że nie daje określanemu nim więcej niż „profesor" Jerzemu Stępniowi czy „ojciec reform" Balcerowiczowi.

Jeśli obecna opozycja zamierza tylko obsługiwać jeszcze przez jakiś czas emocje elektoratu III RP, żyjąc z niego, tak jak Urban robił to z elektoratem PRL, i mową nienawiści oraz wykwitami pogardy łagodzić frustracje swych zwolenników dopóty, dopóki nie wymrą, to podążanie za Obywatelami i chylenie czoła przed „męczeństwem" Frasyniuka jest wejściem na właściwą drogę. W polityce można tą drogą zajść jednak tylko tam, gdzie jest dzisiaj Palikot.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d2fc640a08

PAŁAC NA WODZIE

EMOTIONS & THERMAL SPA

Zainwestuj w Apartament w funkcjonującym hotelu

Zarabiaj już dziś

7% stopa zwrotu

10 lat umowa najmu

14 dni pobyt właścicielski

Baseny termalne

Thermal SPA

Restauracja

Prywatny staw

Pałac Na Wodzie Emotions & Thermal SPA

jedyny aparthotel w Polsce z własnym ujęciem wody termalnej, położony w samym sercu Karkonoszy

22 299 11 44 apartamenty@palacnawodzie.pl apartamenty.palacnawodzie.pl

wprost

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego.
Stopa zwrotu liczona od wartości netto apartamentu, w przypadku korzystania z pobytu właścicielskiego wynosi 6%

eprasa.pl d2fc640a08

Dwie dekady dolce vita

FOT. MANSY MILLAN RIGAMONTI/FORUM

Piotr Semka

Jak Kazimierz Sowa z księdza zmienił się w medialnego celebrytę i pomocnika polityków Platformy

Księża gwiazdorzy – niepoprawni, brylujący w mediach, pozujący na liberałów i postępowców. Do takich księży jak Kazimierz Sowa w środowisku kapłańskim zazwyczaj bardzo długo nie ma jednego podejścia. Niektórzy zamieniają kontrowersje w żart, inni po cichu wyrażają dezaprobatę. Najłatwiej poznać, że inni księża mają z takimi postaciami problem, po tym, że określają ich zdrobnieniami. Opowiadają więc o kolejnym wyskoku „Wacka" Oszajcy, kontrowersyjnym tekście „Andrzejka" Lutra, a do niedawna w ten sposób opowiadało się o kolejnym tajemniczym biznesie „Kazka" Sowy.

Dominują pobłażliwa anegdota, czasami mocniejszy przytyk, jednak nikt nie rzuca gromów. Stosunki podległości i obediencji w Kościele są często tak zawiłe, że nie wiadomo, kto ma reagować na kontrowersyjne słowa i czyny skandalistów.

Tacy celebryci zawsze znajdują żarliwych obrońców. Dlaczego? Jedni biskupi i księża dają się uwieść urokowi i komplementom „gwiazd" w koloratkach lub bez. Inni, broniąc takich kapłanów, odreagowują własne złe doświadczenia ze zbyt surowymi zwierzchnikami. Wbrew mitom o posępnym klerze najmniej jest surowych krytyków naruszania powagi stanu kapłańskiego. Ksiądz Sowa pokazał, że nawet mając na koncie liczne wyskoki, można było funkcjonować w polskim Kościele ponad dwie dekady niemalże bez żadnych konsekwencji.

Pod TVN podjeżdżał sportową alfą romeo, znany był z rozśpiewanych tourów po rzymskich tawernach, fotografował się przytulony do Moniki Olejnik, był z Donaldem Tuskiem na „ty" i był kumplem legionu polityków Platformy i Nowoczesnej. Tak jakby był pewny, że należy do jakiejś specjalnej kasty – księży, którym uchodzi wszystko. I bardzo długo tak było.

DEBIUTANT

– Spotkałem go w redakcji w 1993 r. Pracował u nas w dziale religijnym – tak ks. Sowę wspomina Piotr Legutko, wówczas edytor krakowskiego dziennika „Czas". – W ogóle nie przypominał dzisiejszego celebryty TVN. Był młodym sympatycznym i skromnym księdzem, niewypowiadającym się na tematy polityczne. Trochę się jeszcze wtedy niepewnie czuł na krakowskich salonach.

Ksiądz Sowa urodził się w 1965 r. Krakowskie seminarium ukończył i święcenia zdobył w 1990 r. Dla jego pokolenia był to dobry czas na wejście w dziennikarstwo. Media dopiero się tworzyły, a podziały polityczne nie były jeszcze wyraźne.

Legutko wspomina: – Potem znikł z „Czasu". Przez chwilę mignął mi w krakowskim dodatku „Gościa Niedzielnego", ale zmianę w jego zachowaniu zauważyłem dopiero, gdy wszedł do Radia Mariackiego, którego został potem szefem. Tak znalazł się pod skrzydłami ówczesnego krakowskiego biskupa pomocniczego Kazimierza Nycza. W radiu dominowały klimaty à la „Tygodnik Powszechny".

Ksiądz Sowa wiedział, że tygodnik ma w kurii krakowskiej dobre notowania, ale ma też sztywną strukturę, pełną ustalonych już sław, i nie daje szans na szybki awans. Zaczął więc coraz częściej bywać w Warszawie i lgnąć do młodej prawicy tzw. pampersów. To epoka, w czasie której Wiesław Walendziak jako prezes TVP, a także cichy kandydat na „polskiego Viktora Orbána", organizował spotkania stowarzyszenia Dzikie Pola. Walendziak nie wiedział jeszcze, czy iść ku karierze media makera czy polityka, ale dbał o własne środowisko. Na spotkaniach zastanawiano się, jak budować nowe prawicowe media. Z tamtej epoki przybysza z Krakowa zapamiętał Marek Budzisz, wówczas dziennikarz TVP: – Jesienią 1995 r. wiadomo było, że lada moment Walendziak wyleci z Woronicza. Dlatego urządził spotkanie nad jeziorem Wdzydze na Kaszubach, gdzie zastanawiano się, co dalej. Szybko zwróciłem uwagę na młodego księdza, który zachowywał się, jakby chciał w ciągu paru godzin przejść z wszystkimi na „ty". Byłem tym nieco zniesmaczony. Miałem inne wyobrażenie na temat stylu bycia kapłana.

Tamten ks. Sowa był jeszcze dość daleko od świata Adama Michnika. Piotr Zaremba wspominał niedawno bohatera tego tekstu na portalu wPolityce.pl jako „pryncypialnego duszpasterza

eprasa.pl d2fc640a08

z kręgu konserwatywnych pampersów. Który miał za złe swoim znajomym, że zapraszają na urodziny dziennikarzy »Gazety Wyborczej«".

W 1998 r. powstał wielki projekt sieci diecezjalnych radiostacji w ramach spółki producenckiej Plus. Walendziak patronował tej idei – sam w 1993 r. zakładał gdańskiego Plusa.

Ksiądz Sowa jako szef Radia Mariackiego w Krakowie od początku był mocnym graczem w konstelacji, która miała stworzyć radio konserwatywne, ale nowoczesne. Sieć miała korzystać z jednego newsroomu i publicystyki z Warszawy.

Szybko jednak wytworzyła się (początkowo subtelna, a potem coraz wyraźniejsza) opozycja na linii Warszawa – Kraków i Gdańsk. Ksiądz Sowa w sojuszu z Tomaszem Arabskim chcieli unikania konfliktów z gdańskimi liberałami i politykami partii SKL, takimi jak Jan Rokita i Bronisław Komorowski, w imię mającego łączyć wolnorynkową prawicę antypostkomunizmu w stylu SLD. Z kolei wypchnięci wcześniej z dziennika „Życie" Tomasza Wołka „antyokrągłostołowcy" pamiętali, jak w noc czerwcową 1992 r. Tusk, Rokita i Komorowski odwoływali rząd Olszewskiego i nie ufali, że będą oni zdolni do zerwania z duchem Okrągłego Stołu.

Kolejną linią sporu był dynamiczny konserwatyzm cywilizacyjny młodych ze środowisk „Frondy" i „bruLionu". Ksiądz Sowa zaczął kpić ze stylu Roberta Tekielego, Pawła Nowackiego i Grzegorza Górnego, uznając go za fundamentalizm. Sam skłaniał się raczej ku stylowi o. Macieja Ziemby, który w ramach Instytutu Tertio Millennio w Krakowie chciał godzić katolicyzm z nowoczesnym wolnorynkowym kapitalizmem, zaczytywał się Michaelem Novakiem i marzył, że twarzą tej syntezy będzie Tomasz Lis, a potem Janusz Palikot.

Ksiądz Sowa jest w takich sporach sprawnym mistrzem wymierzania salonowego kuksańca w bok. Tak, aby zabolało, ale aby nikt nie widział. Gdy w lipcu 2000 r. do Stolicy Apostolskiej wyjechała polska narodowa pielgrzymka milenijna – w Rzymie odbywała się wielka europejska parada gejowska. Newsroom Radia Plus wysyła zarówno ekipę do relacjonowania pielgrzymki, jak i zespół reporterów raportujący homodemonstracje jako przykład wojny ideologicznej z katolicyzmem. Gdy na jednym ze spotkań biskupów z pielgrzymami reporterzy Radia Plus witali się z prymasem Glempem, jak spod ziemi wyrósł obok ks. Sowa i niewinnym głosem wyjaśnił: „A to jest ekipa Radia Plus, która przyjechała do Rzymu relacjonować paradę gejów". Skonsternowany prymas napierw zlodowaciał, a potem szybko odwrócił się plecami. Ksiądz Sowa jaśniał z uciechy – „fundamentaliści" dostali za swoje.

W końcu Radio Plus w kształcie z 1998 r. doszło do ściany rozwoju. Prymas blokował wejście zagranicznego inwestora i wskutek do dziś niewyjaśnionych intryg przekazał zarządzanie spółką szemranej firmie ze Śląska. Najlepsi dziennikarze, którzy włożyli w Plusa parę lat pracy, odeszli. Po wielu perypetiach biznesowych na gruzowisko po niegdyś ambitnym radiu w charakterze nowych władz wkroczył duet ks. Kazimierz Sowa – Tomasz Arabski. Mieli zamiar opanować spółkę już od dawna. Zaczęła się sekwencja operacji finansowych, które do dziś wspominane są z oburzeniem wielu osób zaangażowanych w budowę mediów katolickich. Nikt jednak nie chce o tym mówić pod nazwiskiem.

Dlaczego w pałacu arcybiskupim nikt nie próbował wyjaśnić, co kapłan z tej diecezji wyczynia w stolicy?

– Ciężko mówić o całej sekwencji ówczesnych operacji biznesowych ks. Sowy z tamtego czasu, bo sprawy tej nikt nigdy porządnie nie wyjaśnił ani nie zbadał – mówi jedna z osób zaangażowanych od 1993 r. w budowę radiofonii katolickiej. – Ale wiem, że diecezja zielonogórsko-gorzowska do dziś ponosi konsekwencje niektórych decyzji finansowych ks. Sowy. I osobiście mogę podać jeden bulwersujący przykład. W 2001 r. ks. Sowa przyjechał do arcybiskupa gdańskiego Tadeusza Gocłowskiego i zaproponował tutejszemu Radiu Plus odkupienie logo, które sieć wzięło wcześniej z gdańskiego Plusa. Jakby tego było mało – zapłata za to miała iść na konto prywatnej firmy Kazimierza Sowy.

Piotr Legutko pamięta z kolei z tamtego czasu tekst w krakowskim dodatku „Gazety Wyborczej" o pretensjach kard. Macharskiego wobec jego poczynań w sprawie sieci. – Pamiętam zdjęcie kardynała ze swoim podwładnym i podpis: „Kardynał Macharski deklaruje, że już nigdy nie będzie rozmawiał z ks. Sową bez obecności świadków".

Autor tekstu o krakowskim kapłanie w „Rzeczpospolitej", Tomasz Krzyżak, tak opisał finał radiowej sieci: „Ksiądz Sowa bez zgody Episkopatu sprzedał 80 proc. udziałów w Plusie firmie kojarzonej z… Włodzimierzem Czarzastym. Jednak mimo skandalu duchowny z Małopolski nie został ukarany. Jaskrawo kontrastuje to z suspendowaniem czy napominaniem kapłanów, którzy w sposób o wiele mniej radykalny podejmowali kroki rozbieżne z decyzjami władz Kościoła katolickiego w Polsce".

Oprócz krytycznych opinii na temat biznesowych poczynań księdza pojawiały się – i to od lat – komentarze o zbytnim skracaniu przez niego dystansu wobec dziennikarek. – Pamiętam, jak we Lwowie, w czerwcu 2001 r. wieczorem, po wielkiej mszy Jana Pawła II Kazik zaproponował grupie polskich dziennikarzy wypad do jednej z lwowskich dyskotek. To, co wyczyniał na parkiecie z jedną z reporterek, wywołało powszechne zażenowanie. Niektórzy pytali: Czy on czuje się tak pewnie, że nie dba o to, iż plotki dotrą na Franciszkańską? – opowiada jeden z rozmówców „Do Rzeczy".

Dlaczego ks. Sowa był teflonowy? Dlaczego w pałacu arcybiskupim nikt nie próbował wyjaśnić, co kapłan z tej diecezji wyczynia w Warszawie?

– Na początku ks. Sowa korzystał z parasola ochronnego bp. Kazimierza Nycza – mówi osoba znająca realia krakowskiej kurii. – Potem, gdy w czerwcu 2004 r. bp Nycz wyjechał, aby objąć diecezję koszalińską, przez krótki czas jego pozycja się zachwiała.

Jak głosi trudna do zweryfikowania opowieść, powtarzana mi przez paru duchownych, ostatnim dokumentem kard. Macharskiego przed odejściem na emeryturę w 2005 r. miało być odwołanie misji ks. Sowy poza diecezją. Dekret miał być jednak odwołany przez kolejnego metropolitę – kard. Stanisława Dziwisza. W Krakowie szeptano, że to wynik perswazji ks. Dariusza Rasia, sekretarza kardynała i brata polityka PO, Ireneusza Rasia.

eprasa.pl d2fc640a08

Wyjaśnienie brzmi prawdopodobnie, bo ks. Sowa był już wtedy od dawna kumplem czołówki polityków Platformy. Wypowiadał się na łamach partyjnego biuletynu „POgłos", a na Facebooku grzmiał na zwolenników PiS. „Ależ to dzicz jednak ci PiS-owcy! Wstyd to mało. I niech mi nikt nie pisze, że za mocno, że obrażam, że nie przystoi. Po prostu mali, mściwi ludzie, którzy – oby – już nigdy Polską nie rządzili" – pisał w partyjnych mediach społecznościowych.

Kardynał Dziwisz na to nie reagował.

KAPELAN PLATFORMY

W noc I tury wyborów prezydenckich, gdy okazało się, że wygrał Donald Tusk, w sztabie wyborczym PO wszyscy na zapas gratulowali ks. Sowie niemal pewnej nominacji na kapelana prezydenta. Dwa tygodnie później prezydenturę wygrał Lech Kaczyński i krakowski celebryta musiał obejść się smakiem.

Ksiądz Sowa był w żywiole – znów miał władzę, pieniądze i popularność. Tyle że zabrakło najważniejszego – wystarczająco dużej liczby widzów. Projekt po paru latach zaczęto zwijać, ale krakowski kapłan już nie zniknął z ekranu TVN. Warto pamiętać, że to w Religia.tv zadebiutował medialnie Ryszard Petru, który w 2013 r. wraz z ks. Sową i o. Maciejem Ziębą współtworzyli program „Moralność i etyka czasów kryzysu".

Dziwnym trafem dwa lata później brat ks. Sowy – Marek – wszedł do Nowoczesnej, partii, której liderem jest Petru.

W TVN ks. Sowa prowadzi program „Piąta strona świata" i komentuje politykę w magazynie „Tak Jest" Andrzeja Morozowskiego. Był nawet w radzie nadzorczej Krakchemii, co było ewenementem w polskim Kościele.

Nic nie wskazuje na to, by zrobiło na nim wrażenie pisemne upomnienie z 16 czerwca 2016 r. od kard. Stanisława Dziwisza. Jak wyjaśniał potem rzecznik kurii: „Zastrzeżenia dotyczyły aktywności medialnej ks. Sowy, która coraz rzadziej miała charakter duszpasterski, a coraz częściej ograniczała się do komentowania bieżących wydarzeń politycznych". Odwołania z Warszawy wciąż nie było. Tak naprawdę zapowiedzią końca dwóch dekad dolce vita był dopiero wybór abp. Marka Jędraszewskiego na nowego metropolitę Krakowa. Ujawnione niedawno taśmy z restauracji Sowa i Przyjaciele były jedynie puentą zmiany tej wieloletniej koniunktury.

Ksiądz Kazimierz Sowa podczas wieczoru kolędowego w 2014 r. w Krakowie. Obok ówczesny premier Donald Tusk i piosenkarka Margaret

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Jednak ks. Sowa miał już nowy pomysł na życie. W 2007 r. TVN podjął decyzję o stworzeniu własnego kanału religijnego. Formalnie miał to być efekt ogromnej oglądalności stacji w ostatnich dniach życia Jana Pawła II, ale można było podejrzewać, że szefowie programu postanowili zdobyć młodą generację Polaków dla „otwartego katolicyzmu". W 2009 r. stacja otrzymała nagrodę Ślad Medialny im. bp. Jana Chrapka.

– Te taśmy potwierdziły wszystkie najgorsze podejrzenia na temat ewolucji ks. Sowy – mówi jeden z krakowskich księży. – Ale co innego podejrzewać, a co innego usłyszeć na własne uszy. Skala wulgarności tych rozmów, uwikłanie w biznesy, lekceważenie Episkopatu i arogancja wobec kard. Nycza mimo wszystko wzbudziły pod Wawelem zaskoczenie.

DALEKO OD SKRUCHY

Ponad 20 lat medialnej kariery to niezły rekord. W jej ocenie trzeba też brać pod uwagę jej wyjątkowość. Przypadki zeświecczenia księży zdarzały się jednak od wieków, ale tu byliśmy świadkami zamiany kapłana w pomocnika polityków – podpowiadającego, jak można rozgrywać Episkopat i jak należy utrzymywać Kościół pod kontrolą. Tych, którzy tolerowali te „niebezpieczne związki", łudzono zapewne, że ks. Sowa jest strażnikiem skutecznego wpływu Kościoła na polityków PO. Takie domniemanie mogło być brane serio, gdy posłowie PO jeździli demonstracyjnie na rekolekcje do klasztorów tuż po odzyskaniu władzy w 2007 r. Potem jednak Tusk rzucił hasło nieklękania przed księdzem i zaprosił do rządu feministkę prof. Fuszarę. Z czasem stało się dokładnie na odwrót – to Platforma poprzez ks. Sowę miała wpływ na Kościół.

Ksiądz Sowa zawsze argumentował, że bez jego wpływu na PO byłoby jeszcze gorzej. Tymczasem to on dziczał w klimacie alkoholowych nasiadówek i targów o obsadę spółek Skarbu Państwa. Jego obrońcy wskazują, że o. Rydzyk też ma ambicje wpływania na politykę PiS. To prawda. Tyle że najsłynniejszy redemptorysta stworzył dzieła, które budują siłę Kościoła – media, szkoły i sanktuaria. A ks. Sowa załatwiał interesy dla siebie. Wiara była na drugim planie.

Nawet dziś niewiele zrozumiał z tego, co się stało. Na Facebooku dziwi się, że kogoś mogą interesować jego prywatne rozmowy. Niczego nie żałuje i za nic nie przeprasza. A do końca czerwca dowiemy się, czy naprawdę podporządkuje się nowemu metropolicie w Krakowie. – Powiem jak niewierny Tomasz. Dopiero gdy to zobaczę, uwierzę – mówi jeden z krakowskich księży.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d2fc640a08

Z prof. Ryszardem Legutką, europosłem PiS
rozmawiają Zofia Magdziak i Antoni Trzmiel (TVP)

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Trzeba Europę brać za słowo

„DO RZECZY": Komisja Europejska wszczęła procedurę w związku z naruszeniem zobowiązań państw członkowskich Unii Europejskiej dotyczących przyjmowania uchodźców. Jednak oprócz Malty i Finlandii nikt nie wywiązuje się z założonego w 2015 r. planu – nawet Niemcy. Dlaczego więc karane mają być tylko Polska, Węgry i Czechy?

PROF. RYSZARD LEGUTKO: To prawda, niektóre państwa przyjęły niewielkie grupy, inne w ogóle nikogo i dotychczas żadne z nich nie ma z tego powodu kłopotów, choćby Austria. Widać, że w Europie są równi i równiejsi. Tutaj, w Brukseli, podział na „nową" i „starą" Europę jest wyraźny. Nas się traktuje gorzej, bo do głosu dochodzą uprzedzenia, że jesteśmy zacofani i że u nas drzemią demony prawicowe czy nacjonalistyczne.

Skoro jesteśmy na cenzurowanym, to może należało przyjąć kilkunastu uchodźców, tak jak zrobiły to niektóre państwa Unii?

Prawdziwym problemem nie jest liczba przyjętych uchodźców, ale brak społecznej zgody na ich relokację. Po doświadczeniach społeczeństw Europy Zachodniej powstały bardzo silne obawy i nie można ich zignorować ani zagłuszyć wyzwiskami, że to „ksenofobia".

Mała grupa rozbiłaby status Polski jako kraju jednolitego i chrześcijańskiego?

Zgoda na relokację to początek dłuższego procesu – jeśli się zgodzimy na to, to potem trzeba będzie zgodzić się na

eprasa.pl d2fc640a08

kolejne rzeczy. To nabiera swojej własnej dynamiki. A sprawa dotyczy tego, kto tutaj naprawdę decyduje o polityce demograficznej państw.

Kara za imigrantów to walka o władzę z Budapesztem i Warszawą?

Tak, bo choć piętnuje się nasze kraje w kontekście przyjmowania imigrantów, to prawdziwym celem jest pokazanie, kto tu rządzi. Polska i Węgry to dwa dysydenckie wobec europejskiego mainstreamu rządy. Mało tego – tworzą Grupę Wyszehradzką, która działa dla wspólnego interesu zrzeszonych w niej krajów. I to dla lewicowego mainstreamu jest irytujące. Stąd uderzenie właśnie w państwa z Grupy Wyszehradzkiej. Chodzi o to, aby zrobić wyłom w ich solidarnej polityce.

Po co rozbijać solidarność Grupy Wyszehradzkiej?

Od dłuższego czasu trwają próby wzmacniania Komisji Europejskiej. Stara się ona odgrywać taką rolę, jak władza nadrzędna w państwie, jak premier wobec urzędów wojewódzkich. Może nakrzyczeć, udzielić ostrzeżenia. To jest taka próba sił.

Ciągłe straszenie państw Unii Europejskiej, długa procedura karania – czy to paradoksalnie nie pokazuje słabości Komisji Europejskiej?

Liczy się prawdopodobnie na to, że po drodze jakieś tam zdobycze będą, że niektórzy się wystraszą, pójdą na ustępstwa, że te dysydenckie rządy w efekcie mogą przegrać wybory i wtedy do głosu dojdzie opozycja gotowa na ustępstwa. Uderzanie w takie rządy to wzmocnienie opozycji.

Efekt chyba jest jednak odwrotny do zamierzonego? Czy czeka nas w UE zderzenie Wschodu z Zachodem?

Na całym świecie, w tym w Europie, mamy coś w rodzaju monoideologii. Kiedy pojawia się pogląd, jest on konstatowany i zgłaszany w Brukseli, a potem uczciwy, inteligenty, przyzwoity człowiek musi taki pogląd głosić, bo inaczej okazuje się wariatem albo faszystą. Kwestia uchodźców, imigrantów i terrorystów też została włączona w ten system monoideologii. Obecnie dogmat jest taki: nie ma żadnego związku między terroryzmem a uchodźcami. To są dwie różne rzeczy. A ci, którzy się temu sprzeciwiają, muszą być ludźmi w rodzaju Trumpa czy właśnie nacjonalistów, dziwnych ludzi.

Padło nazwisko prezydenta USA. Czy jest tak, że Trumpa ukarać się nie da, stąd kara dla rządów Orbána i Kaczyńskiego?

Tak, bo te rządy są traktowane jako rządy wrogie. Są uważane za anomalię, która powinna zostać usunięta.

Od momentu wszczęcia procedury przez Komisję Europejską polski rząd ma dwa miesiące, aby wytłumaczyć, z jakiego powodu nie chce przyjmować uchodźców. Czy jest możliwe, że polskie władze w tym czasie zmienią swoje stanowisko?

Nie wydaje mi się, aby rząd miał zmienić stanowisko, bo rzecz toczy się właśnie o coś szerszego, coś, w co kraje zachodnie już dawno się włączyły, czyli o ten eksperyment demograficzny polegający na tym, że powstaje i rośnie znacząco mniejszość muzułmańska, która znana jest z problemów asymilacyjnych. Ten eksperyment się nie udał na zachodzie Europy, abstrahując nawet od zjawiska terroryzmu, i nie widać dobrych rokowań w tym zakresie.

Może chodzi o odciążenie Europy Zachodniej, co w efekcie mogłoby poprawić ogólną sytuację. Jednak kraje Europy Wschodniej mówią zdecydowane „nie". Nie chcemy drastycznie zmieniać struktury demograficznej naszego społeczeństwa. To jest eksperyment i takich rzeczy nie można robić bezkarnie. I dopóki rząd Polski będzie się trzymał tej zasady – że nie chcemy tego eksperymentu, ponieważ on dobrze nie rokuje – dopóty nic się nie zmieni. Powtarzam: trzeba pomagać, ale nie wolno eksperymentować na własnym społeczeństwie.

Platforma od paru dni mówi: przyjmijmy tylko kobiety i dzieci.

Nie ma wątpliwości, że trzeba pomagać. Nie można godzić się na mechanizm przymusowej relokacji, bo to będzie kolejne nadwerężanie zasad, zły precedens.

W sprawie imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki też nikt nas nie pytał, czy jesteśmy gotowi i w jakim zakresie. Jedna osoba podjęła decyzję o otwarciu granic europejskich i z nikim się nie konsultowała. Dopiero po czasie zdecydowała się te granice zamknąć, kiedy się zrobiło bardzo nieprzyjemnie i groźnie.

Jean-Claude Juncker uderza w nas boleśnie – oskarża o brak solidarności tych, którzy z Solidarności są znani.

Solidarność, tak jak wszystko w UE i polityce, to pojęcie często relatywizowane. Raz obowiązuje, raz nie obowiązuje – patrz: solidarność gazowa. To ci, którzy mają władzę, mówią, kiedy można powoływać się na solidarność, a kiedy nie. My chcieliśmy, aby mówiąc nam o relokacji uchodźców, wzięto pod uwagę Ukraińców, ponieważ sporo ich zostało do Polski przyjętych, ale okazuje się, że w tym zakresie solidarność nie obowiązuje.

Ewentualne sankcje dotknęłyby całego kraju. Jak się zachowuje w tej sprawie „nasz człowiek w Brukseli", czyli Donald Tusk?

Tusk w ogóle działa przeciwko rządowi polskiemu, to jest jego racja istnienia. Z tego powodu został wybrany. W Parlamencie Europejskim mówi się o tym wprost: polski rząd pana nie chciał, więc pana wybraliśmy specjalnie. Konflikt z rządem to racja politycznego istnienia Donalda Tuska. Nic więcej. Przecież on nie podejmuje żadnych istotnych decyzji. Nie ma do tego nawet aparatu władzy.

Poprzedni prezydent Francji François Hollande w odniesieniu do niepokornych krajów zagroził: „Wy macie zasady, my mamy fundusze strukturalne". Stracimy pieniądze na rozwój?

Groźba, że będą nam obcinane fundusze, jeśli się nie podporządkujemy, to granda. Te dwie rzeczy nie mają ze sobą związku. A to, że pojawił się taki związek, pokazuje arbitralność decyzji w unijnych instytucjach. Tutaj nie ma instrumentów prawnych.

Jakie wnioski musimy z tego wyciągać?

Z pewnością musimy się nauczyć stawać samodzielnie wobec instytucji europejskich. To jest w naszym interesie. Nie możemy się tak poddawać. Gdy reguły, które obowiązują, są łamane, a my będziemy się układać na zasadzie „wiecie, rozumiecie", to z czasem będzie jeszcze gorzej. Trzeba trwać przy zasadach. Trzeba się nauczyć stać przy swoim, mówić „nie". Jeśli nie będziemy grać, to nie będziemy mieli szansy wygrać. To, co powiedział wtedy Hollande, będąc w sytuacji politycznej agonii, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę francuską arogancję, to nie pierwsza taka protekcjonalna wobec Polski wypowiedź, a my nie możemy przyjąć perspektywy, że jesteśmy słabsi. Trzeba Europę brać za słowo – jeśli Unia ma być tą rzeczą wspólną, to oznacza, że uczestniczą w niej równi partnerzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d2fc640a08

Prezydencki rock and roll

Wojciech Wybranowski

Czy coraz bliższa współpraca prezydenta Andrzeja Dudy i Pawła Kukiza przełoży się na ich sojusz w wyborach prezydenckich w 2020 r.? Taki wariant nie jest wykluczony. Chociaż na razie obaj mają poważniejsze problemy w swoich środowiskach

FOT. ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

Do wyborów prezydenckich zostały jeszcze trzy lata, ale w środowisku prawicy coraz częściej, na razie nieoficjalnie, mówi się o ścisłej współpracy w nich prezydenta Andrzeja Dudy i jego niedawnego rywala Pawła Kukiza przy budowie „antysystemowego obozu". Cel? Wybory prezydenckie w 2020 r.

Czy do tego dojdzie? Dzisiaj to jeszcze melodia przyszłości, a biorąc pod uwagę temperament Kukiza, wręcz polityczny rock and roll, ale bliscy współpracownicy obu polityków mówią nam, że prezydent i lider Kukiz'15 od dłuższego czasu „czują bluesa".

– Dzisiaj prezydent mówi to, na co ja zwracam uwagę od lat. Na konieczność zmiany konstytucji, na potrzebę otwarcia się na szerokie środowiska. Cieszę się, że Andrzej Duda mówi tym samym głosem co ja, że kwestie, które wskazywałem jako ważne, są w jego zainteresowaniu – mówił Paweł Kukiz w rozmowie z „Do Rzeczy". Pytany o plany ewentualnego przyszłego sojuszu, dodaje: – Jeśli prezydent będzie szedł w kierunku społeczeństwa obywatelskiego, będzie realizował kwestie, o których mówiliśmy, że wymagają zmian, to trzeba się zastanowić, jaki byłby sens w tym, żebym też startował?

– Na dziś mówienie o sojuszu prezydenckim jest jeszcze zbyt wczesne, ale trzeba mieć świadomość, że współpraca Dudy z Kukizem to sytuacja „win-win". Obie strony wygrywają – twierdzi jeden ze współpracowników Andrzeja Dudy.

„OFENSYWNIE CIEPŁE SPOTKANIE"

Ugrupowanie Pawła Kukiza było jedynym – poza PiS – które wyraziło zainteresowanie współpracą z prezydentem Andrzejem Dudą w zapowiadanym przez niego na przyszły rok referendum konstytucyjnym. Zresztą, co jest tajemnicą poliszynela, prezydencka inicjatywa została z większym zadowoleniem przyjęta w ugrupowaniu Kukiza niż w samym PiS. W gronie doradców i „zakonników" Kaczyńskiego, z których część myśli już o przyszłej schedzie po przywódcy, prezydencki pomysł przyjęto z niepokojem jako próbę „wybicia się na niezależność". Zresztą nie bez racji.

– Prezydent, nie mając własnego zaplecza, właściwie nie ma żadnego ruchu. Żalił się kiedyś na tę sytuację. Współpraca z Kukizem to niezłe posunięcie, daje

eprasa

mu bowiem alternatywne wsparcie – uważa polityk Prawa i Sprawiedliwości zaliczany do stronników Dudy.

I rzeczywiście wygląda na to, że ta współpraca – na razie wokół referendum konstytucyjnego – rzeczywiście rusza. Po poniedziałkowym spotkaniu prezydenta z Pawłem Kukizem i prezydium jego klubu obie strony uzgodniły, że będą się wspierać przed kampanią referendalną w 2018 r. Rozmawiano też o możliwości organizacji dwudniowego referendum oraz głosowaniu przez Internet.

„Podstawowa rozbieżność dotyczyła terminu referendum w sprawie kwot imigrantów. Prezydent chciałby, by odbyło się dopiero w 2019 r. z wyborami parlamentarnymi. My uważamy, że powinno się odbyć jak najwcześniej ze względu na naciski z Brukseli i groźby kar. Gdyby Naród wypowiedział się negatywnie w sprawie przyjmowania tzw. uchodźców, to wówczas rząd ma legitymację do ponowienia negocjacji w tej sprawie z Brukselą" – napisał na Facebooku Paweł Kukiz krótko po spotkaniu z Andrzejem Dudą.

Prezydent zadeklarował też, że w związku z referendum odbędą się szerokie konsultacje „z różnymi grupami światopoglądowymi, obywatelskimi, organizacjami pozarządowymi, podmiotami niepartyjnymi".

– Wnioski po spotkaniu są takie, że jest szansa na dobrą współpracę, co zostało zadeklarowane zarówno przez przewodniczącego Pawła Kukiza, jak i towarzyszące mu osoby. Paweł Kukiz podziękował prezydentowi za podjęcie tematu zmian w konstytucji, padło też zapewnienie, że Kukiz'15 i jego Stowarzyszenie na rzecz Nowej Konstytucji włączy się w kampanię referendalną, a ze strony prezydenta, że gdy Kukiz będzie takie spotkania i akcje organizował, to będzie w nich też brał udział sam prezydent czy przedstawiciel jego kancelarii – mówi nam minister Paweł Mucha, pełnomocnik prezydenta ds. referendum konstytucyjnego.

Od naszych informatorów słyszymy – i zwracają na to uwagę zarówno ludzie prezydenta, jak i Pawła Kukiza – że warto zwracać uwagę nie tylko na to, co zostało powiedziane oficjalnie, lecz także na to, co padło między wierszami i jaka była atmosfera spotkania.

– Prezydent był ofensywnie ciepły, a i z zachowania Pawła Kukiza można było wyczytać, że jest obustronna chemia – mówi nasz informator z Kancelarii Prezydenta RP. Rzeczywiście, uśmiechy, ciepłe słowa – atmosfera towarzysząca spotkaniu głowy państwa i lidera jednego z najważniejszych ugrupowań opozycyjnych to w dzisiejszej rzeczywistości politycznej zdarzenie niemal bez precedensu.

– Warto jest budować dobre relacje z ugrupowaniem, które ma stałe poparcie rzędu kilkunastu procent i rozpoznawalnego lidera. Łatwiej jest się wtedy spotkać i rozmawiać o współpracy, zwłaszcza jeśli reszta opozycji jest radykalnie antyprezydencka – mówi „Do Rzeczy" Krzysztof Łapiński, rzecznik prasowy prezydenta.

Nasi informatorzy mówią też, że nie jest to pierwsze w ostatnim czasie spotkanie Andrzeja Dudy i Pawła Kukiza. W sumie w ostatnich miesiącach nieoficjalnych spotkań Kukiza i Dudy miało być cztery–pięć.

„ŻEBY RUDY NIE WYGRAŁ"

Jeśli Kukiz i Duda myślą już o dalszej współpracy w wyborach prezydenckich, to przynajmniej na razie trzymają karty przy orderach. – To tylko spotkanie dotyczące współpracy przy referendum. Nie sądzę, żeby współpraca szła dalej – uciął poseł Marek Jakubiak, wiceszef klubu Kukiz'15. Podobnie kwituje sprawę prezydencki minister Paweł Mucha, który przekonuje, że „nie chce prowadzić rozważań publicystycznych". – Moim zdaniem były to rozmowy wskazujące na zbieżność wielu poglądów. Jest pewien wspólny fundament, wokół którego w wielu sprawach może być dobra współpraca między prezydentem a Pawłem Kukizem – kwituje.

Zarówno jednak wśród ludzi Pawła Kukiza, jak i polityków PiS spekulacji w tej sprawie jest coraz więcej. Niektórzy przypominają, że już w 2015 r., w II turze wyborów prezydenckich, Kukiz nieoficjalnie pomógł Dudzie. Dlaczego? Ponieważ na kilka godzin przed zakończeniem głosowania, gdy przecieki z sondażowni wskazywały na wzrost liczby głosów oddanych na Komorowskiego, współpracownicy Kukiza apelowali w mediach społecznościowych do tych wyborców, którzy pozostali w domu, by jednak poszli oddać głos, i sugerowali, by głosować na Dudę. Apele mogły być skuteczne, bo inaczej, niż to bywało wcześniej, wieczorem przybyło głosów popierających kandydata PiS.

Czy w najbliższych wyborach Paweł Kukiz poprze Andrzeja Dudę już przed I turą, a sam nie wystartuje? – Jeśli tak by się stało, to Kukiz zniknie ze sceny politycznej. Musi pokazać się w debatach jako poważny lider ważnego ugrupowania. Mógłby Dudę poprzeć przed II turą wyborów albo wycofać się dopiero tuż przed I turą – rozważa jeden z posłów Kukiz'15

Wiele jednak wskazuje na to, że przyszły sojusz Duda-Kukiz jest dla obu stron atrakcyjnym rozwiązaniem. Dlaczego? Dla Kukiza – bo wybory prezydenckie poprzedzone są o rok wcześniejszymi wyborami parlamentarnymi. Referendum konstytucyjne w 2018 r. i zaangażowanie w nie Pawła Kukiza pozwalają mu przekonać wyborców, że realizuje swoje zobowiązania, z których jednym z ważniejszych było doprowadzenie do zmian w konstytucji. Udział w spotkaniach organizowanych przez prezydenckie zaplecze pozwoli Kukizowi dotrzeć do większej liczby wyborców. Z kolei Duda stoi przed sytuacją ewentualnych zmian w PiS i walki o władzę w tym ugrupowaniu. W Prawie i Sprawiedliwości coraz częściej mówi się, że Jarosław Kaczyński po wyborach w 2019 r. może wycofać się do „Sulejówka". Ewentualna walka o władzę w ugrupowaniu osłabi PiS, a Dudzie, jeśli będzie chciał dalej skutecznie funkcjonować w polityce, potrzebny będzie dużo szerszy „antysystemowy" blok. W dodatku terminy wyborów – jeśli w wyborach parlamentarnych ugrupowanie Pawła Kukiza osiągnie dobry wynik i będzie uczestniczyć w sprawowaniu władzy – dają liderowi ruchu możliwość ewentualnej rezygnacji ze startu w wyborach prezydenckich bez strat wizerunkowych. Pytanie, czy taki ewentualny sojusz byłby do przyjęcia dla elektoratów obu polityków.

– Do zaakceptowania. Jeśli chcemy zmieniać Polskę, naprawić to, co zostało zepsute przez ponad 27 lat w naszym kraju, to obóz antysystemowy musi ze sobą rozmawiać i porozumieć się ponad podziałami – uważa Sylwester Chruszcz, poseł Kukiz'15.

Przekonuje przy tym, że w grę nie wchodzi jednak porozumienie bezwarunkowe. A jakie to warunki? Jedna z osób bliskich Kukizowi mówi nam: – Duda musi zrozumieć, że jeśli nie

eprasa.pl d2fc640a08

otworzy się na szerokie środowiska, jeśli nie będzie rozmawiał, to popełni błąd, jaki robi Kaczyński, i wtedy „rudy" wygra (określenie „rudy" wskazuje na Donalda Tuska – przyp. W.W.).

Zapewne łatwiej byłoby taki sojusz zaakceptować wyborcom Andrzeja Dudy. Jeden z jego bliskich współpracowników, jeszcze z czasów kampanii prezydenckiej w 2015 r., pytany przez nas o to, stwierdził: – Kukizowcy to trochę kosmici, z dziwnym poczuciem humoru, ale w gruncie rzeczy fajni ludzie. Gdy rozmawiamy, okazuje się, że wiele tematów mamy wspólnych.

Stronnicy Liroya-Marca w rozmowach z dziennikarzami sugerują, że mają kwity na „ludzi Kukiza" FOT. EAST NEWS

KRĄŻĄ KWITY W KUKIZ'15

Na razie jednak obaj politycy przede wszystkim mają problemy we własnym otoczeniu. Burzliwa atmosfera panuje w klubie Kukiz'15 po usunięciu z niego posła Piotra Liroya-Marca. W oficjalnym komunikacie napisano, że „z powodu utraty zaufania". Chodzi o to, że w otoczeniu Liroya-Marca są ludzie, którzy według liderów Kukiz'15 mogą być zamieszani w proces dzikiej reprywatyzacji w Warszawie. Liroy-Marzec już zapowiedział proces.

Nieoficjalnie wiadomo, że spór między muzykami narastał od dawna. „Do Rzeczy" poznało część materiałów, jakie zgromadziło zaplecze Kukiza. Zdaniem naszych informatorów wynika z nich, że Liroy-Marzec szykował się do przejęcia przywództwa w ruchu i w konsekwencji przeprowadzenia rozłamu.

Tymczasem w ugrupowaniu szykuje się walka na kwity. Jeden z najbliższych współpracowników Liroya-Marca – Paweł Dulski – były działacz PO, napisał na swoim FB: „Kukiz – analfabeta funkcjonalny [...]. Jego najbliższym współpracownikiem jest osobnik wielokrotnie karany za pospolite przestępstwa, który oglądał świat zza krat. Kukiz – człowiek, który straszy współpracowników służbami specjalnymi i pozyskuje nielegalnie informacje [...]".

Sprawa, o której pisze Dulski, jest dość banalna. Jak ustaliliśmy, chodzi o źle zaparkowane w okolicach Sejmu auto, którym – jak twierdziła straż marszałkowska – miał przyjechać Liroy-Marzec. Ponieważ poseł zaprzeczał, by należało do niego, Kukiz miał przez znajomego policjanta sprawdzić, kto rzeczywiście jest właścicielem pojazdu.

Stronnicy Liroya-Marca w rozmowach z dziennikarzami sugerują, że mają i opublikują kwity na „ludzi Kukiza", ale – jak słyszymy w kuluarach Kukiz'15 – zwolennicy lidera ruchu też zebrali materiały kompromitujące Liroya-Marca. Jakie? Według naszych źródeł m.in. dotyczące jego zaangażowania w wojnę z Uberem, któremu zarzucił „nieuczciwą konkurencję". Zdaniem naszych informatorów w grę mogą wchodzić bliskie relacje z Anną Krystowską, do grudnia przewodniczącą rady nadzorczej jednej z warszawskich spółek taksówkarskich. Sprawę w maju częściowo opisał Marcin Dobski na łamach „Rzeczpospolitej".

– Liroy dostał „jedynkę" w Kielcach, ale na „dwójce" umieściliśmy fajnego chłopaka, maratończyka, który biegał, by zebrać pieniądze na operację swojego dziecka. I tuż przed rejestracją list wyborczych Liroy wywalił go na dalsze miejsce, a na „dwójkę" wsadził Krystowską – opowiada w rozmowie z „Do Rzeczy" działacz ugrupowania Kukiza. Krystowska nie weszła do Sejmu.

Na razie w środowisku kukizowców między zwolennikami rockmana i stronnikami rapera atmosfera jest mocno napięta i nie wygląda na to, by miała się w najbliższym czasie poprawić.

ZMIANY W KANCELARII PREZYDENTA

Z kolei Andrzej Duda, jak dotąd, bezskutecznie próbuje zerwać z wizerunkiem kabaretowego Adriana całkowicie zależnego od prezesa Kaczyńskiego i Nowogrodzkiej. W dodatku boryka się z przetasowaniami we własnej kancelarii. Po rezygnacji Marka Magierowskiego z funkcji szefowa KPRP zrezygnowała Małgorzata Sadurska. Sprawa wywołała burzę, bo okazało się, że Sadurska opuszcza prezydenta, by zostać członkiem zarządu PZU z pensją ok. 90 tys. zł. Sprawa ma drugie dno, bo Sadurska odeszła w wyniku wojny frakcji w kancelarii.

Teraz KPRP będzie kierować Halina Szymańska. Z wykształcenia lekarz weterynarii, absolwentka podyplomowych studiów z prawa administracyjnego i zarządzania. Wcześniej (w latach 2006–2008) kierowała Zachodniopomorskim Oddziałem Regionalnym ARiMR w Szczecinie, pracowała też jako audytor w Urzędzie Miejskim w Stargardzie.

Czy pomoże Andrzejowi Dudzie rozwiązać jego problemy? Jedno jest pewne, zanim Paweł Kukiz i prezydent zdecydują się na współpracę, muszą popracować nad swoim zapleczem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d2fc640a08

JEDZIESZ NA URLOP?
PROGNOZA NA 25 DNI
DLA 3 MILIONÓW MIEJSC
W POLSCE I NA ŚWIECIE
SPRAWDŹ POGODĘ NA INTERII!
AKTUALIZACJA CO 30 MINUT!
interia POGODA
SPRAWDZA SIĘ!

Łukasz Warzecha

Dagna i Patryk opuszczają Polskę. Nie chcą tu już żyć, to ponad ich siły. Opowiedzieli o tym filolog, copyrighterce i dziennikarce po godzinach, Aleksandrze Zawadzkiej, a ona opisała tę poruszającą historię w nowym magazynie „GW"

Dagna, co do Niemiec

Opowieść Dagny i Patryka zrobiła wielką karierę w sieci, szczególnie dzięki najbardziej wstrząsającemu fragmentowi. „Był moment, który przelał czarę goryczy?" – pyta Zawadzka. Dagna odpowiada: „U mnie tak. Nasza koleżanka non stop mówi o polityce. Jedziemy z nią kiedyś do Berlina, ona siedzi z tyłu. Nagle wypaliła: »Ej, wiecie, że na trzy dni będziemy wolni?«. Łzy mi wtedy napłynęły do oczu. Poczułam, że za mało mówimy o tym, jak tu jest źle, żyjemy tak bezrefleksyjnie z dnia na dzień".

Ponieważ dzisiejsza Polska to kraj po prostu straszny. Od Dagny i Patryka dowiemy się dlaczego. A nie są to – o nie! – powody banalne. Pochylmy się nad nimi w skupieniu, na jakie zasługują.

BYLE JAKI KRAJ

Po pierwsze – można dostać mandat za przechodzenie na czerwonym świetle. Tymczasem „na całym świecie" na czerwonym można przechodzić. Strach pomyśleć, co by było, gdyby przechodzący miał na przykład znaczek zachęcający do przyjmowania uchodźców, wbrew ksenofobicznemu stanowisku reżimu. Tak jak uczniowie Wielokulturowego Liceum Humanistycznego im. Jacka Kuronia w Warszawie, których siepacze ze straży marszałkowskiej nie wpuścili na debatę w Sejmie właśnie z powodu takich znaczków. Wówczas na mandacie na pewno by się nie skończyło. Takiego niepokornego bojownika o prawa wszystkich ludzi mógłby czekać los Igora Stachowiaka, a prawdziwy przebieg wypadków pracowicie tuszowałby minister Błaszczak.

Po drugie – za dużo jest w Warszawie samochodów. Żeby była jasność: dzielni młodzi buntownicy samochodu nie mają, bo już na wstępie deklarują, że uciekając przed reżimem do Berlina, samochód wynajmą i zapakują do niego dwa rowery. Wiadomo, że „cały świat" zwalcza samochody i przesiada się na rowery. Tylko w zacofanej, januszowej Polsce wciąż jest inaczej. W dodatku – wspomina Patryk – zlikwidowano buspas na moście Poniatowskiego i to jest być może ta kropla, która przelała czarę goryczy.

Po trzecie – jest smog. Tu Dagna jest bardzo stanowcza: „Ja pier…ę! Wyrzućcie z miasta samochody, które nie mają przeglądu, te diesle z wyciętymi DPF-ami. Na Zachodzie się je holuje na parking i albo instalacja filtra, albo do widzenia". Trochę dziwi, że Dagna prezentuje i tak mimo wszystko zachowawczy punkt widzenia i domaga się jedynie masowej weryfikacji filtrów DPF, a nie po prostu całkowitego zamknięcia miasta dla prywatnych samochodów. No, przynajmniej tych z silnikami Diesla. Jednak może to taka naleciałość związana z życiem przez lata w zacofanym kraju. To z czasem, w miarę przesiąkania berlińską wolnością, powinno minąć.

Po czwarte – potworna, codzienna, przygnębiająca nietolerancja. Dagna dzieli się z nami swoją traumą: „Jadę do pracy i czuję, że cały tramwaj się na mnie gapi. Wyjmuję słuchawki z uszu, a tam staruszka drze się na całe gardło, że obrzydliwie wyglądam. Doczekałam do mojego przystanku, ale do pracy biegłam, a kiedy dotarłam, to się popłakałam". Co tak zirytowało staruszkę? Tatuaże Dagny. Powinniśmy zatem zadumać się nad jadem, przesiąkającym typowo polskie dusze. Któż z nas nie był świadkiem sytuacji, gdy rozmodlona staruszka wychodzi z kościoła i, podjudzona przez chciwy i skorumpowany kler, udaje się na poszukiwanie najbliższego wytatuowanego młodego człowieka, żeby obić go boleśnie lagą tudzież parasolką? No dobrze, ja akurat nigdy tego nie widziałem, ale założę się, że to codzienność.

Jakby tego było mało, Dagna przytacza opowieść znajomego: „Pomógł kiedyś pozbierać zakupy kobiecie, która się przewróciła. Najpierw mu podziękowała, potem popatrzyła na niego, zabrała mu siatki i odeszła, krzycząc: »K…a, ja nie o takie Polskie walczyłam!«.

To są, proszę państwa, rzeczy straszne. One na pewno dzieją się wciąż wokół nas, tylko uparcie ich nie dostrzegamy. Oczy otwiera nam dopiero bolesna skarga Dagny i Patryka.

eprasa.pl d2fc640a08

I nie jest to skarga ostatnia. Po piąte bowiem – powodem opuszczenia Polski jest złe nagłośnienie na koncertach. Wprawdzie bilety są tańsze niż w Berlinie, ale za to nic nie słychać. Cóż może bardziej skłaniać do opuszczenia ojczyzny?

No, może jeszcze powód szósty, czyli polska ksenofobia. Ona, zdaniem Dagny, jest znacznie bardziej przerażająca niż uchodźcy rozlokowani w Niemczech, których Dagna się nie lęka, a polskiej ksenofobii – owszem. 11 listopada biedna dziewczyna boi się z jej powodu wyjść z mieszkania, sterroryzowana przez masy wygolonych faszystów, dających wyraz swoim poglądom poprzez nacjonalistyczne wymachiwanie biało-czerwonymi flagami. Zauważmy, że tutaj u naszej bohaterki znów dają o sobie znać naleciałości związane z wpływem złego otoczenia,

chciała

FOT. FOTOLIA/12KREDEK

w którym dorastała, Dagna bowiem powiada: „To powinno być święto narodowe" – zaraz zaraz, jakie znowu „narodowe"?! To już zalatuje faszyzmem! Ale znów wypada mieć nadzieję, że w Berlinie te nacjonalistyczne odruchy znikną na dobre.

Patryk również zaobserwował przejawy polskiej ksenofobii, uderzające szczególnie w zestawieniu z otwartością i europejskością społeczeństwa niemieckiego. Opowiada: „W Norymberdze trzysta osób starło się z policją, która chciała zatrzymać do deportacji afgańskiego studenta. […] Wszyscy stanęli w jego obronie. Następnego dnia obejrzeliśmy z Dagną materiał o ośrodku dla uchodźców z Góry Kalwarii i mieszkańcach Linina, których irytuje, że »Czeczeni chodzą na spacery całymi rodzinami«. […] Człowiek się za głowę łapie, kiedy ludzie wykazują empatię na poziomie ameby". Ech, w Polsce nie ma nawet w czyjej obronie stawać, bo przecież reżim nie wpuszcza żadnych uchodźców. Najbliżsi uchodźcy, w których obronie można stanąć, rezydują za naszą zachodnią granicą.

SPECYFICZNY GATUNEK

Jest w tym wszystkim co prawda pewna niekonsekwencja, bo skoro jednak w Niemczech trzeba jakiegoś Afgańczyka bronić, to by znaczyło, że tamtejsza władza też ma problem z tolerancją i otwartością. Na dodatek te czeczeńskie rodziny… Przecież rodzina to przeżytek i źródło zła oraz molestowania. Nie bądźmy jednak szczególarzami. To się Patrykowi wszystko z czasem w głowie ułoży.

Wreszcie pada pytanie, czy nasi bohaterowie kiedyś wrócą. I tu trzeba od razu zaznaczyć, że zwycięstwo obecnej opozycji do powrotu ich raczej nie skłoni, skoro Bronisława Komorowskiego nazywają „Gajowym" i nie wyrażają się o nim entuzjastycznie. Można domniemywać, że Platforma Obywatelska to dla rozmówców magazynu „Osiem Dziewięć" właściwie to samo co PiS – zacofanie i prowincja. No, może gdyby wybory wygrały Razem z towarzyszem Zandbergiem na czele… Nawet oni jednak nie mieliby przed sobą łatwego zadania, chcąc zatrzymać w kraju osoby pokroju Dagny i Patryka. Wszak można sobie wyobrazić centralnie rozwiązany problem filtrów DPF w samochodach, ale już znacznie trudniej na poziomie rządowym poradzić sobie ze słabym nagłośnieniem na koncertach. Jednakże partia Razem, nawiązująca do najlepszych wzorców centralnego planowania, może i tu dałaby radę.

Na razie Patryk liczy na to, że nigdy nie będzie musiał wracać. Ja, szczerze mówiąc, też bardzo na to liczę.

Jeśli jednak państwo sądzą, że rozmowa z Dagną i Patrykiem to jakiś incydent – mylą się państwo. „Osiem Dziewięć" daje dobry wgląd w procesy mózgowe tego specyficznego gatunku rodaków, którego endemicznym środowiskiem są śródmiejskie kawiarnie, serwujące sojową latte, tudzież świetlice (nieco wprawdzie oklapłej) „Krytyki Politycznej" czy arcyciekawe debaty, organizowane przez „Gazetę Wyborczą". Z nowego magazynu „GW" dowiemy się zatem, że zamawiając samochód z Ubera przez aplikację, możemy obserwować „całe zdziczenie współczesnego kapitalizmu". Przeczytamy – jeżeli jesteśmy wystarczająco odważni – jak Jaś Kapela broni Charamsy przed Vargą (nie, nie muszą państwo znać żadnego z tych trzech; i nie są to, wbrew pozorom, rewiowe pseudonimy artystyczne). Mogą się wreszcie państwo zapoznać z fascynującą dyskusją o tym, czy zwalczanie homofobii to obowiązek patriotyczny czy zwykła przyzwoitość.

Redaktorem „Osiem Dziewięć" jest Stanisław Skarżyński (nie mylić z legendarnym polskim lotnikiem, kawalerem Orderu Virtuti Militari – trudno znaleźć postaci bardziej od siebie odległe), który tak pisze we wstępniaku (uwaga, proszę usiąść): „Deleuze wygłówkował sobie kiedyś »przedmiot = x«. Opisał ten pomysł tak: »Każdą strukturą porusza coś źródłowo trzeciego, co również nie leży u swego źródła. Wydzielając różnice w całej strukturze, powodując zmiany stosunków różniczkowych łącznie ze swymi przemieszczeniami, przedmiot = x stanowi różnicę samej różnicy«.

Próbując się wgryźć w zapierające dech w piersiach popieprzenie świata pod koniec drugiej dekady XXI wieku, warto mieć »przedmiot = x« pod ręką, bo ta »różnica samej różnicy« jest w gruncie rzeczy tym, czego po omacku szukamy – odpowiedzią na pytanie, czy to wszystko, cośmy jako ludzie zmajstrowali, jest przynajmniej trochę dobre czy zupełnie złe. […]

Dzięki Karolinie Skrzyniarz »Osiem dziewięć« ma twarz młodej Stańczyk, bo wbrew temu, co się nam ciągle wmawia, monopolu na refleksję i namysłu nad przyszłością nie mają smutni, trzęsący portkami na myśl o garstce ofiar wojny otępiali prawicowcy, fałszywie zwący się konserwatystami".

Tak – „młodej Stańczyk" to nie pomyłka, bo przecież Stańczyk była kobietą. Tak samo jak Kopernik.

Magazynowi „Osiem Dziewięć" wróżę oszałamiający sukces rynkowy. Wreszcie pojawiła się lewica, która rozumie prawdziwe ludzkie problemy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d2fc640a08

Ekoatak na Polskę

Aktywiści próbują blokować wycinki drzew w Puszczy Białowieskiej FOT. MICHAŁ KOŚĆ/FORUM

Wojciech Wybranowski

Międzynarodowe organizacje ekologiczne naciskają na UNESCO, by skrytykowało polskie władze w sprawie Puszczy Białowieskiej

Na początku lipca w Krakowie odbyć się ma 41. Sesja Komitetu Światowego Dziedzictwa UNESCO, poświęcona stanowi zabezpieczenia obiektów uważanych za ważne historycznie, kulturalnie i społecznie elementy światowego dziedzictwa. Według nieoficjalnych informacji będzie ona też okazją do kolejnej ostrej krytyki polskich władz – tym razem w związku z aferą dotyczącą tzw. wycinki w Puszczy Białowieskiej. Międzynarodowe organizacje ekologiczne chcą, by ta agencja ONZ wysłała do polskiej Białowieży specjalną „misję ekspertów". Domagają się też, by urzędnicy przyjęli ostry apel potępiający polskie władze i narzucili nakaz natychmiastowego wstrzymania wycinki. Niewykluczone też, że pod naciskiem ekologów znanych z radykalnych protestów UNESCO zdecyduje się wpisać Puszczę Białowieską na listę dziedzictwa zagrożonego. Mocno ograniczyłoby to polskim leśnikom możliwość interwencji w stan puszczy, co – jak ostrzegają oni sami – zagroziłoby rozwojowi drzewostanu.

– Puszcza Białowieska to trzy nadleśnictwa i park narodowy, tymczasem protest ekologów przeciw wycince trwa w nadleśnictwie Hajnówka, gdzie leśnicy realizują to, co zostało zapisane w Planie urządzania lasu w 2012 r. sporządzonym pod naciskiem i przy udziale organizacji ekologicznych – mówi „Do Rzeczy" Anna Malinowska, rzeczniczka Lasów Państwowych. – Tak naprawdę kwestionują dziś to, co sami przygotowywali – dodaje.

KORNIK KONTRA AKTYWIŚCI

Burzę wokół wycinki starych drzew w Puszczy Białowieskiej ekolodzy wywołali już ponad rok temu. Zaczęło się od alarmu leśników, którzy ostrzegli, że na terenie puszczy wystąpiła epidemia kornika drukarza – szkodnika atakującego świerki. Problem jest poważny,

ponieważ w Puszczy Białowieskiej ofiarą kornika drukarza padło już blisko pół miliona drzew rosnących na terenie trzech nadleśnictw. W marcu 2012 r. minister środowiska Jan Szyszko zatwierdził aneks do Planu urządzania lasu dla nadleśnictwa Białowieża zakładający zwiększoną wycinkę drzew – z uwzględnieniem drzewostanu zaatakowanego przez kornika.

– To działania, które prowadzą do tego, że Puszcza Białowieska zmienia się w zwykłą plantację drzewa – twierdzi ekolog Radosław Ślusarczyk z Pracowni na rzecz Wszelkich Istot. – Argument o wycince wyłącznie świerku jest, delikatnie mówiąc, nieprawdziwy. Jestem przyrodnikiem, chodzę po lesie, znam się na tym. Widziałem, że wycięto i wywieziono również sosnę i dąb, czyli drzewa, których kornik nie atakuje. I mam na to dowody – dodaje.

Zieloni przekonują, że polskie władze, zgadzając się na wycinkę w Puszczy Białowieskiej, prowadzą „rabunkową politykę", która uderza w „płuca Polski". Opowiadają też dziennikarzom, że inwazja kornika to tylko pretekst do tego, by pozyskać na sprzedaż większą ilość drewna. Próbują blokować wycinkę martwych drzew, domagając się wpuszczenia do lasów wskazanych przez nich ekspertów – ci mieliby przeprowadzić niezależne badania orzekające, czy wycinka jest potrzebna.

– Aktywiści, którzy organizują protesty, przekonują, że nie wolno nam usuwać martwych, zaatakowanych przez kornika drzew, bo „las sobie sam poradzi". Zapominają, że puszcza jest wyspą otoczoną przez morze cywilizacji i proces zmian, naturalnego oczyszczania lasu potrwa 200–300 lat, straty, które powstaną przez ten czas, będą gigantyczne – ripostuje Anna Malinowska, rzeczniczka Lasów Państwowych. W rozmowie z „Do Rzeczy" tłumaczy, że leśnicy zaobserwowali, iż tam, gdzie „wypadł" świerk, pojawiły się już turzyca i maliny. Może też wyrosnąć grab, który powoduje olbrzymie zaciemnienie i w efekcie zmiany w ekosystemie. – Wszyscy lubimy maliny z lasu. Tylko że malina i turzyca to rośliny tak inwazyjne, że jeśli pojawią się w miejscu padniętego świerku, to przez lata w tym miejscu nie wyrosną żadne drzewa – tłumaczy.

ROSPUDA BIS?

Te tłumaczenia nie przekonują radykałów, wykorzystujących hasło „ekologia" do mocno medialnie nagłośnionych działań. W ciągu ostatnich tygodni kilkakrotnie – korzystając z zagranicznego wsparcia – zorganizowali w Puszczy Białowieskiej protesty. Usiłują uniemożliwiać wycinkę drzew. Powtórzono manewr znany z akcji „W obronie Rospudy" – grupa ekologów spięła się pod kołami maszyn do wycinki drzew, blokując ich pracę. Musiały interweniować policja i straż leśna. Ostatecznie ciężki sprzęt został czasowo wycofany.

– Nasz protest będzie trwał tak długo, przybierając różne formy, aż dyrektor Lasów Państwowych nie wycofa się z prowadzenia cięć w drzewostanach stuletnich w tzw. strefach UNESCO, w których Polska zadeklarowała, że nie będzie ich prowadzić. Dążymy do tego, by cała puszcza była parkiem narodowym – zapowiada Ślusarczyk.

Radykalnym ekologom sekunduje „Gazeta Wyborcza", publikując wzruszające reportaże o proteście i nazywając blokujących wycinkę „obrońcami puszczy". Kilka dni temu na łamach „Dużego Formatu" pojawił się reportaż zatytułowany: „W Puszczy Białowieskiej wycinka drzew trwa. Przyjeżdżajcie jej bronić". Niekiedy protesty radykalnych ekologów przybierały też groteskowe formy – we Wrocławiu aktywiści Greenpeace i lokalnych stowarzyszeń ekologicznych, protestując przeciwko „wycince puszczy", obwiązali czarną wstążką pień przypadkowego drzewa rosnącego w mieście.

Usuwanie zaatakowanych przez kornika drukarza drzew w Puszczy Białowieskiej nie pierwszy raz zostanie wykorzystane do międzynarodowej krytyki polskich rządzących. Wcześniej sytuacją w puszczy zajęła się Komisja Europejska, która 27 kwietnia wystosowała do polskich władz pismo w tej sprawie (domagając się przestrzegania unijnych przepisów z dyrektywy ptasiej i siedliskowej). Chociaż standardowo czas na odpowiedź na takie pismo to dwa miesiące, wobec Polski termin odpowiedzi skrócono do 30 dni. Polskie władze odpowiedziały pod koniec maja. Niewykluczone, że Komisja Europejska zdecyduje się skierować przeciwko Polsce pozew do Trybunału Sprawiedliwości UE.

Radykalnym ekologom sekunduje „Gazeta Wyborcza", publikując wzruszające reportaże o proteście i nazywając blokujących wycinkę „obrońcami puszczy"

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Więcej domen na stronie: bluberries.com/08adomains4sale.html

WYPRZEDAŻ DOMEN

agencjareklamowa.com
baltona.com
budynki.com
dodomu.com
dopolski.com
edytor.com
eurokarta.com
europejczyk.com
fotoagencja.com
gielda.com
informacje.com
kawiarenka.com
kinopolskie.com
kupbilety.com
lataj.com
lekarze.com
megastacja.com
nowydom.com
piwosz.com
pocztapolska.com
polityka.com
poradnik.com
przewozy.com
rachunki.com
relaks.com
rezerwacje.com
skieuro.com
spozywczy.com
sprzedaj.com
szkola.com
trade-stocks.com
wawel.com
wypadki.com
wypadki.net
wysylki.com
zaplac.com

bluberries ADVERTISING

Zainteresowanych prosimy o kontakt na e-mail: bart.bluberries@gmail.com

eprasa.pl d2fc640a08

Łup z potopu

Fragment „Rolki sztokholmskiej", zwanej także „Rulonem polskim", przedstawiającej chorągiew husarską. Pod nogami husarzy doskonale widoczne przytroczone do siodła pałasze o charakterystycznych rękojeściach i prostych głowniach FOT. WIKIPEDIA

Michał Mackiewicz

Setki, a nawet tysiące polskich pamiątek historycznych przechowywanych jest w Szwecji. Rabunki sprzed setek lat, paradoksalnie, uratowały bezcenne poloniki, które w kraju mogły nie przetrwać zaborów lub wywiezione do Rosji zaginęłyby na zawsze. Czy zobaczymy je w Polsce?

W warszawskim Muzeum Wojska Polskiego można oglądać niepozorny jedwabny sztandarek z łacińską inskrypcją: „Aut mor aut vita decora" („Albo śmierć, albo życie zaszczytne") oraz inicjałami CGRS, oznaczającymi Karola X Gustawa (Carolus Gustavus Rex Sueciae). Ta bezcenna pamiątka z ekspozycji poświęconej XVII stuleciu jest jednym z dwóch szwedzkich znaków bojowych zachowanych w polskich muzeach. I jeśliby liczbą trofeów mierzyć orężne sukcesy, to musielibyśmy smutno skonstatować, że od Szwedów braliśmy srogie baty. U sąsiadów z północy znajdują się bowiem setki, jeśli nie tysiące poloników zdobytych w walce, a najczęściej po prostu złupionych w podbitej Rzeczypospolitej.

27 września 1605 r. niewiele ponad 3,5 tys. Litwinów dowodzonych przez hetmana Jana Karola Chodkiewicza unicestwiło pod Kircholmem 11-tysięczną armię króla Karola Sudermańskiego. Było to największe tak spektakularne zwycięstwo Rzeczypospolitej nad Szwedami w walnej bitwie. Po reformach króla Gustawa Adolfa, panującego w latach 1611–1632, armia szwedzka przeistoczyła się w najdoskonalszą machinę wojenną w Europie, wiodąc prym aż do czasu sławetnego lania pod Połtawą w 1709 r. W ciągu tego blisko stuletniego okresu żołnierze spod znaku trzech koron trzykrotnie najeżdżali Polskę, za każdym razem dotkliwie ją pustosząc.

RÓG TURA I CHORĄGIEW KRÓLA

Przedsmaku potopu zaznaliśmy już podczas tzw. wojny o ujście Wisły, toczonej w latach 1626–1629, kiedy to Szwedzi złupili m.in. Frombork i Braniewo, zabierając bezcenne księgozbiory, będące dzisiaj ozdobą biblioteki uniwersyteckiej w Uppsali. Znajduje się tutaj m.in. księga zawierająca tablice astronomiczne sporządzone ręką Mikołaja Kopernika. II wojna północna z lat 1655–1660 była już prawdziwą katastrofą, a straty materialne poniesione wówczas przez Rzeczpospolitą niektórzy historycy oceniają jako większe niż te z okresu II wojny światowej. Skarby o największej wartości historycznej i artystycznej wpadły w ręce najeźdźców w Warszawie i Krakowie.

W sztokholmskiej królewskiej zbrojowni (Livrustkammaren) znajdują się pamiątki po polskich królach z dynastii Jagiellonów i Wazów, są to

eprasa.pl d2fc640a08

przede wszystkim efektowne, zdobione militaria, w tym kompletne zbroje, a także… róg ostatniego tura! Zwierz upolowany został w Puszczy Kampinoskiej w 1620 r., a róg, ozdobiony złotymi okuciami i stosowną inskrypcją, podarował królowi Zygmuntowi III Wazie starosta sochaczewski Stanisław Radziejowski. Z Warszawy Szwedzi zabrali także polskie trofea i łupy, m.in. przepiękny wschodni hełm należący do cara Iwana IV Groźnego, wywieziony przez naszych żołnierzy z Kremla w latach 1611–1612.

Z kolei w Muzeum Wojska (Armémuseum) przechowywana jest imponująca kolekcja polskich chorągwi. Część z nich zdobyta została niewątpliwie w bitwach i należy je uznać za trofea, inne to zwyczajne łupy, tak jak choćby wielka chorągiew królewska Zygmunta III skradziona w Warszawie w 1655 r. Warto wspomnieć, że ślady po owej rabunkowej i doskonale zorganizowanej akcji odnajdujemy do dziś. Od kilku sezonów archeolodzy eksplorują zatopione w Wiśle szwedzkie szkuty przewożące łupy ze stołecznych pałaców. Wśród olbrzymiej masy architektonicznych elementów, które zamierzano wykorzystać do przyozdobienia ubogich szwedzkich dworów i kościołów, odnaleziono także militaria, w tym dwie żelazne trzyfuntowe armaty.

Potop nie był ostatnią „wizytą" sąsiadów z północy. Czterdzieści lat po pokoju oliwskim, podpisanym w 1660 r., pojawili się znowu w okresie wielkiej wojny północnej (1700–1721). I znów do Szwecji popłynął strumień łupów i trofeów z Rzeczypospolitej, w tym m.in. olbrzymia chorągiew Lwowa, zdobyta przez oddziały Karola XII w 1704 r. i eksponowana obecnie w sali trofealnej sztokholmskiego Armémuseum.

HUSARSKIE SKRZYDŁO

Kunsztowne, najbardziej efektowne militaria, zwłaszcza te łączone z polskimi królami, są na ogół dobrze rozpoznane, skatalogowane i od lat funkcjonują w naukowym obiegu. Pozostaje jednak cała masa pośledniejszego, rzec można „żołnierskiego" oręża, które nie było dotąd przedmiotem zainteresowania badaczy, ale którego znaczenie dla poznania dziejów rodzimej wojskowości jest nie do przecenienia. Kolejne wojny, rosyjskie i pruskie grabieże okresu zaborów, wreszcie katastrofalna wojna światowa w ogromnej mierze pozbawiły nas historycznego oręża i w znacznym stopniu ograniczyły bazę źródłową historykom oraz bronioznawcom podejmującym trud tworzenia kompleksowych, syntetycznych opracowań.

Nasze naukowe publikacje mają w sobie dość duży pierwiastek romantycznej wizji dziejów staropolskiej wojskowości, a pionierskie prace takich wybitnych znawców dawnego oręża, jak Zbigniew Bocheński, Bronisław Gembarzewski i Zdzisław Żygulski jun., choć nigdy nie znikną z biblioteki żadnego szanującego się historyka militarysty, wymagają istotnego odświeżenia, a w niektórych kwestiach być może gruntownego przewartościowania. Nie można o tym myśleć bez uwzględnienia szwedzkich kolekcji, w których polskie militaria mają bezdyskusyjny XVII-wieczny i wczesno XVIII-wieczny rodowód i trudno doszukiwać się w nich „upiększeń" z XIX w., cechujących niektóre zabytki z krajowych muzeów.

Dobrym przykładem są zbroje husarskie przechowywane od kilkuset lat na zamku Skokloster, wybudowanym w drugiej połowie XVII w. dla feldmarszałka Karola Gustawa Wrangla. Naplecznikі kirysów nie mają żadnych dodatkowych elementów służących do mocowania słynnych skrzydeł. Nie oznacza to oczywiście, że husarze ich nie stosowali, ale zapewne w czasach potopu przytwierdzano je do tylnego łęku siodła, a nie do zbroi. Co ciekawe, to właśnie w Skokloster zachowało się jedyne na świecie niebudzące podejrzeń oryginalne husarskie skrzydło z XVII w.; w drewnianej, obciągniętej aksamitem ramie pozostały już nieliczne pióra.

Rękojeść husarskiego pałasza ze zbiorów Livrustkammaren. W polskich muzeach nie są spotykane. W Szwecji jest ich co najmniej kilka FOT. MWP

SZABLE I CUDOWNY KAŁKAN

Znaczną część zamkowego wyposażenia, w tym przebogatą bibliotekę, tworzą łupy zdobyte przez Wrangla w trakcie rozlicznych kampanii, także w Rzeczypospolitej. W XVII-wiecznej zbrojowni, oszałamiającej liczbą, a także jakością zgromadzonego oręża, poza wspomnianymi zbrojami husarskimi znajdują się także inne polskie militaria, w tym broń sieczna. Próżno tu szukać „klasycznych" szabel husarskich charakteryzujących się zamkniętą rękojeścią i łukowatym kabłąkiem, które rozpowszechniły się zapewne dopiero w XVIII w. Dość licznie reprezentowane są natomiast tzw. ordynki, w tym jedna przypisywana Janowi II Kazimierzowi. Są to szable o dość smukłych głowniach i rękojeściach otwartych oraz lekko pochylonych i naparstkowato zakończonych głowicach; ich wyjątkowo duża liczba w kolekcji feldmarszałka wynika być może z orientalnej formy, egzotycznej i zapewne atrakcyjnej dla najeźdźców z północy.

Na uwagę zasługują także proste, tanie i pozbawione zdobień typowo bojowe szable o rękojeściach zamkniętych, mających krzyżowy jelec z załamanym pod kątem prostym kabłąkiem dochodzącym do wydatnej migdałowatej głowicy oraz paluch – pierścień na kciuk znacznie ułatwiający szermierkę. W krajowych

eprasa.pl d2fc640a08

Na górze falkonet odlany w 1557 r. dla króla Zygmunta II Augusta, zrabowany najprawdopodobniej w okresie potopu. Na dole lufa trzyfuntowego działka regimentowego FOT. MWP

kolekcjach szable takie w zasadzie nie są spotykane, sporo ich natomiast na Ukrainie – większość odnaleziona została na pobojowisku pod Beresteczkiem.

Wśród perełek z zamkowej zbrojowni są także efektowna karabela i cudownie zdobiony kałkan (tarcza w typie wschodnim) należące do króla Stefana Batorego, zrabowane z warszawskiego zamku w 1655 r. Nie da się wymienić wszystkich bezcennych polskich militariów, choćby końskich rzędów, broni obuchowej czy łuków refleksyjnych używanych przez naszych pancernych i lekką jazdę; cały zespół ze Skokloster czeka na kompleksowe, bronioznawcze opracowanie.

UNIKATOWE PAŁASZE

Podobnie bezcenne są zabytki zgromadzone w magazynach Livrustkammaren. Tutaj szczególną wartość wydają się mieć husarskie pałasze. Wszyscy autorzy opisujący rynsztunek naszych najsłynniejszych jeźdźców nieodmiennie o nich wspominają. Jednak w polskich muzeach właściwie ich nie ma. Są szable, koncerze, zbroje, nawet kopie (z XVIII w.), jednak pałaszy brak. Tymczasem w Szwecji jest ich co najmniej kilka. I, co ciekawe, doskonale korespondują ze źródłami ikonograficznymi, chociażby słynną „Rolką sztokholmską" przedstawiającą tryumfalny wjazd Zygmunta III do Krakowa 4 grudnia 1605 r. z okazji małżeństwa z austriacką arcyksiężniczką Konstancją. Warto wspomnieć, że ten bezcenny gwasz, na którym z detalami przedstawiono także husarzy, został przez Szwedów zrabowany w Warszawie w czasie potopu i jako jeden z nielicznych poloników został zwrócony Polsce w 1974 r. przez premiera Olofa Palmego.

Perspektywa ewentualnego zwrócenia pozostałych dóbr zagrabionych w Rzeczypospolitej wydaje się kusząca i bywa niekiedy przedmiotem debaty. Należy jednak pamiętać, że kilkaset lat temu nie było międzynarodowych konwencji regulujących kwestię łupów wojennych i dzisiaj jakiekolwiek roszczenia mają wątłe podstawy prawne. Poza wszelką dyskusją pozostają trofea, a więc bojowy rynsztunek zdobyty w bezpośredniej walce, które w zasadzie nigdy nie podlegają zwrotom (choć historia zna wyjątki od tej reguły – dobrym przykładem jest Polska okresu stalinowskiego, kiedy to przekazano Sowietom sztandary zdobyte w wojnie 1920 r.).

Na problem polskich pamiątek znajdujących się w Szwecji można spojrzeć także z innej perspektywy. Otóż grabież sprzed stuleci paradoksalnie ocaliła nasze skarby. Trudno sobie wyobrazić, że przetrwałyby lata zaborów i wojny światowe. Jeśliby nie uległy nieodwracalnemu zniszczeniu, to spoczęłyby zapewne w przepastnych magazynach petersburskiego Ermitażu i słuch by po nich zaginął.

Tymczasem są one nie tylko bezpieczne i przechowywane w cywilizowanych warunkach, lecz także chętnie udostępniane polskim historykom. Muzeum Wojska Polskiego podejmie zapewne trud ich kompleksowego opracowania.

Autor jest pracownikiem naukowym Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Szwedzi w Warszawie?

Jak się okazuje, Szwedzi nad wyraz chętnie i z ogromną życzliwością pokazują dziś polskim badaczom dobra zrabowane w Rzeczypospolitej przed setkami lat. Jak słyszymy, chętnie też udostępnią je Muzeum Wojska Polskiego, aby zorganizować w Warszawie ich wielką wystawę. Za darmo. Pomyślmy tylko – obejrzymy nareszcie ów mityczny niemal łup na własne oczy. Po 400 latach od pierwszych wojen z nami i rabunków. Po 350 latach od zdobycia i złupienia Warszawy oraz Krakowa, a także innych licznych miast, pałaców, zamków i dworów. Po 300 latach od wyczynów Karola XII polscy naukowcy wybiorą z tych tysięcy dzieł artystów, uczonych i zbrojmistrzów najciekawsze oraz najpiękniejsze militaria na pierwszą tak kompleksową wystawę w kraju.

Wybitny znawca i niebywały pasjonat oręża opisuje w tym artykule tylko niektóre z nich. Wyobrażam sobie, co dla niego znaczyło zobaczyć nareszcie autentyczne husarskie skrzydło, szable bojowe i pałasze z XVII w., jakich w kraju w ogóle nie uświadczysz. A ten „cudownie zdobiony" kałkan (czyli wschodnia tarcza), wielka chorągiew królewska Zygmunta III, reprezentacyjna batorówka, szabla Jana Kazimierza czy choćby kunsztownie oprawiony róg ostatniego tura? Zachwyt i emocje nie tylko tych zastępów dzisiejszych rekonstruktorów i wielbicieli starej broni, lecz także tysięcy zwykłych czytelników „Potopu" i „Szwedów w Warszawie" będą na takiej wystawie murowane.

Będą, jeśli stołeczne MWP z determinacją podejmie wyzwanie, porozumienie ze Szwedami sfinalizuje i wystawę zacznie organizować. Sponsorzy gotowi pokryć koszty przewozu i urządzenia takiej ekspozycji też się znajdą, i to zapewne z obu stron Bałtyku. Jeszcze będą stać w kolejce. A tu zamiast rewelacyjnej wystawy, jaka zdarza się raz na ćwierćwiecze (czy raczej: na 350-lecie), ćwiczymy tematy wprawdzie słuszne, bardzo długo przemilczane lub fałszowane, ale które nie powinny wypierać muzealnych hitów. Jeśli zaczną wypierać, to uzyska się efekt odwrotny do zamierzonego i „słuszne" przedsięwzięcie już nie będzie takie słuszne. To nie jest przecież konkurencja ani wybór: albo to, albo to. To dwie strony tego samego medalu, jakim jest rozumna polityka historyczna.

Dodajmy jeszcze, że jeśli za benedyktyńską pracą naszych muzealników, którzy skatalogowaliby zbiory, poszedłby żmudny znój konserwatorów sztuki – potrafiących wypełnić ubytki, przywrócić barwy i znaleźć eksponatom odpowiednią oprawę – to może bezcenne polskie pamiątki odzyskałyby należny im blask. ©℗ ***Maciej Rosalak***

eprasa.pl d2fc640a08

Ossolineum – 200 lat skarbu narodowego

Zakład Narodowy im. Ossolińskich obchodzi w tym roku swoje 200-lecie. To jedna z najważniejszych polskich instytucji kulturowych i naukowych, która powstała, kiedy Polski nie było na mapie świata. Właśnie wtedy, w 1817 r., hrabia Józef Maksymilian Ossoliński zdecydował się zebrać i ochronić to, co było najważniejsze – dziedzictwo i historię narodu. Tym samym powstała jedyna w dziejach Polski placówka, która nieprzerwanie niemal od 200 lat zajmuje się promowaniem i popularyzowaniem polskiej kultury oraz dokonań naukowych.

Zakład Narodowy im. Ossolińskich został utworzony 4 czerwca 1817 r., za zgodą cesarza Franciszka I, przez hrabiego J.M. Ossolińskiego, który pragnął, aby zniewolony naród zachował własną tożsamość i nieustanną wolę walki o niepodległość. Ossoliński chciał, aby Zakład stał się narodową instytucją naukowo-kulturalną, i tak też się z biegiem lat stało. Instytucja rozpoczęła swoją działalność dzięki zbiorowi książek, rękopisów, numizmatów i muzealiów z kolekcji założycielskiej ofiarowanej przez rodzinę Ossolińskich, ale już w roku 1823 jej stabilność finansową oraz bezpieczną przyszłość zagwarantowało wsparcie Henryka Lubomirskiego z Przeworska. – Zakład miał pomagać zniewolonemu narodowi w zachowaniu własnej tożsamości. Ossoliński uznał, że skutecznie służyć będzie temu przedsięwzięciu instytucja, w której skład wejdą biblioteka, muzeum i wydawnictwo. Ossolińskie zbiory biblioteczne i muzealne ułatwiały historykom oraz twórcom literackim badanie dziejów Rzeczypospolitej i jej związków z Europą, a publikacje ossolińskiej oficyny wydawniczej docierały do Polaków we wszystkich zaborach – tłumaczy dr Adolf Juzwenko, dyrektor Ossolineum.

Rodzina książąt Lubomirskich nieprzerwanie od 150 lat finansuje oraz sprawuje mecenat nad działalnością instytucji. Fundamentem pod jej rozwój był akt zawarty między hrabią Ossolińskim a księciem Henrykiem Lubomirskim, który był nie tylko przedstawicielem bogatego rodu, lecz także kolekcjonerem dzieł sztuki. Umowa zakładała m.in. włączenie rodzinnych zbiorów książąt Lubomirskich do kolekcji Zakładu.

W 1825 r. powstała natomiast Ordynacja Przeworska, co wraz z nakazem rozdzielenia majątku rodzinnego od majątku Zakładu pozwoliło na stworzenie w krótkim czasie muzeum, biblioteki i wydawnictwa. Kiedy pod koniec lat 60. XIX w. do obiektów instytucji dołączono zbiory sztuki przewiezione z Przeworska, w krótkim czasie muzeum zostało otwarte dla

zwiedzających. Nieustający rozwój Zakładu Narodowego im. Ossolińskich trwał dzięki mecenatowi Lubomirskich aż do wybuchu II wojny światowej i umożliwił powstanie niezwykle renomowanej instytucji o trwałym fundamencie. Po roku 1939 zbiory zostały rozkradzione lub rozdysponowane pomiędzy inne instytucje, a samo muzeum rozwiązano z początkiem 1940 r.

Starania o restytucję fundacji podejmowano od roku 1990 – czego efektem było uchwalenie 5 stycznia 1995 r. przez Sejm Ustawy o fundacji Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Od tego czasu Zakład odzyskuje dawny blask i pozycję liczącej się w kraju placówki naukowej oraz kulturalnej. Warto podkreślić, że ossolińskie zbiory liczą obecnie blisko 2 mln jednostek – w tym rękopisy, stare druki, ryciny, obrazy, pieczęcie i mapy. Udostępniane są one w dziewięciu czytelniach dysponujących ponad 150 miejscami. Wśród największych donacji złożonych dla Zakładu w ostatnich latach warto przypomnieć m.in. kolekcję map śląskich dr. Tomasza Niewodniczańskiego, księgozbiory Eugeniusza Sapiehy, Władysława Bartoszewskiego i gen. Ryszarda Kuklińskiego czy też cenne archiwa rękopiśmienne Jana Nowaka-Jeziorańskiego.

Współcześnie Fundacja Książąt Lubomirskich popiera również działalność Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Jej prezes, Jan Lubomirski-Lanckoroński, kontynuuje dzieło przodków. Fundacja dofinansowuje projekty naukowo-badawcze, stypendialne i kulturalne. Ponadto wspiera szczególnie potrzebujących, zajmuje się również renowacją i rewitalizacją obiektów zabytkowych. Nowelizacja ustawy z 1995 r., która miała miejsce w 2007 r., przywróciła Muzeum Książąt Lubomirskich w strukturze Ossolineum i zobowiązała Zakład do „utrzymywania Muzeum Książąt Lubomirskich i pomnażania jego zbiorów". Obecnie trwają prace nad budową budynku nowego muzeum z zebranymi zbiorami. Wmurowanie kamienia węgielnego planowane jest na przełomie tego i przyszłego roku, zaś prace budowlane mają zostać zakończone w ciągu dwóch lub trzech lat.

Niezależnie od tworzenia muzeum obecnie Ossolineum co roku przygotowuje kilka dużych wystaw, wykorzystując przy tym swoje zbiory. Na spotkaniach autorskich występują znane osoby ze świata kultury. Wszystkie te inicjatywy mają na celu pokazanie losów Zakładu, ale przede wszystkim dbałość o polską tradycję i kulturę, co od początku było historycznym zamierzeniem jego twórcy. W ten sposób kolejne pokolenia Polaków mogą w unikalny sposób umacniać swoją tożsamość oraz wzbogacać wiedzę o losach swojego kraju. – 200 lat istnienia zobowiązuje. Dlatego, w ramach jubileuszu, zaplanowaliśmy wiele przedsięwzięć, które honorowym patronatem objął prezydent Rzeczypospolitej Polskiej – Andrzej Duda – dodaje dyrektor Juzwenko.

Z.M.

eprasa.pl d2fc640a08

Tomasz P. Terlikowski

Seria wywiadów, jakich udzielił ostatnio o. Arturo Sosa, generał Towarzystwa Jezusowego, to nie tylko smutny przykład odejścia od katolickiej czy choćby chrześcijańskiej ortodoksji tego kapłana, lecz także symptom głębokiej choroby duchowej dręczącej jezuitów

Choroba Kościoła

Nie jest przypadkiem, że generał Towarzystwa Jezusowego (bo taką nazwę nosi niezmiernie zasłużony dla Kościoła zakon jezuitów) określany jest mianem „czarnego papieża”. Jego znaczenie i władza w Kościele są ogromne.

I to nie tylko dlatego, że podlega mu blisko 19 tys. świetnie wykształconych zakonników, lecz także dlatego, że to właśnie oni uchodzą za elitę Kościoła, która nadaje mu ton, a także broni papieskiej linii i katolickiej tradycji. Niestety, od przynajmniej kilkudziesięciu lat nie jest to opinia uprawniona, a wielu jezuitów jest raczej w czołówce „doktrynalnych szkodników”, sam zakon zaś – mimo że nadal jest w nim wielu pobożnych, ortodoksyjnych i wierzących kapłanów – stał się głównym bastionem katolickich progresistów, którzy z nauczaniem Kościoła, a coraz częściej także Pisma Świętego, niewiele mają już wspólnego.

NOWY GENERAŁ I STARE HEREZJE

Ojciec Arturo Sosa Abascal, nowy generał Towarzystwa Jezusowego, jest tego znakomitym przykładem. Od kiedy został przełożonym generalnym jezuitów, udziela kolejnych wywiadów, których – nawet z liberalnego katolickiego punktu widzenia, o Katechizmie Kościoła katolic-

eprasa.pl d2fc640a08

FOT. GETTYIMAGES

kiego nie wspominając – zwyczajnie nie da się obronić. Zaczęło się od uznania, że generał nie wie, co Jezus myślał na temat małżeństwa i rozwodu, bo… w istocie nie wiadomo, co On mówił. Dlaczego? Ponieważ w czasach, gdy działał, nie było sprzętu do nagrań, co oznacza, że – zdaniem o. Sosy – prawdziwe słowa Jezusa mogły się nie zachować. „Wiadomo, że słowa Jezusa muszą być kontekstualizowane, one były wypowiadane w języku, w specyficznych sytuacjach, były kierowane do konkretnych osób" – przekonuje o. Arturo Sosa Abascal. I dodaje, że w ostatnim wieku Kościół starał się odkryć, co Jezus rzeczywiście miał na myśli. „To nie jest relatywizm, ale stwierdzenie, że słowo jest względne. Ewangelia została napisana przez ludzi i jest akceptowana przez Kościół, który składa się z ludzi… Tak więc jest prawdą, że nikt nie może zmienić słów Jezusa, ale najpierw musimy wiedzieć, jakie one były" – mówił jezuita w wywiadzie udzielonym znanemu watykaniście Giuseppe Rusconiemu.

Dziennikarz zadał wówczas pytanie o słynny fragment z Ewangelii wg św. Mateusza, gdzie Jezus mówi, że co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela. Odpowiedź generała jezuitów brzmi, że mamy iść za tym, co w tej sprawie mówi Franciszek, i rozeznawać. A gdy watykanista wskazuje, że takie działanie prowadzi do podania w wątpliwość słów Jezusa, słyszy odpowiedź, że nie słów Jezusa, ale ich interpretacji. „Rozeznanie nie oznacza wyboru spośród różnych możliwości, ale słuchanie Ducha Świętego, który – jak obiecał nam Jezus – pomaga nam zrozumieć znaki Bożej obecności w ludzkiej historii" – podkreślał generał jezuitów.

„Rozeznanie – kontynuował generał – musi prowadzić do decyzji, a ostatecznie podjąć ją musi jednostka, bo Kościół zawsze szanował autonomię sumienia". „A zatem jeśli sumienie, po rozeznaniu, mówi mi, że mogę przystępować do komunii, nawet jeśli normy nie pozwalają mi na to?" – pyta dziennikarz. Jezuita odpowiada: „Kościół rozwija się przez wieki". I dodaje: „On się narodził, uczył, zmieniał. To dlatego zwoływane są sobory ekumeniczne, aby prowadzić do rozwoju doktryny. Doktryna nie jest słowem, które lubię, ono przywodzi mi na myśl twardy kamień. A ludzka rzeczywistość jest bardziej zniuansowana, nigdy nie jest biała albo czarna, jest w ciągłym rozwoju" – mówi o. Arturo Sosa Abascal. I dodaje, że oczywiście doktryna musi znaleźć swoje miejsce w rozeznawaniu. Nie jest to jednak miejsce kluczowe, bo „nauczanie nie może zastąpić rozeznawania ani Ducha Świętego".

Wszystkie te opinie oznaczają – ni mniej, ni więcej – tylko tyle, że dla ojca generała doktryna w istocie nie istnieje, a Ewangelie to fajne opowieści dla grzecznych dzieci, które trzeba dopiero – w duchu odpowiednio krytycznym – przebadać, tak by odsiać z nich to wszystko, czego ludzie współcześnie nie akceptują albo z przyczyn moralnych nie potrafią przyjąć. Kolejne wywiady pokazują zaś, że tamta rozmowa nie była jakimś nieszczęśliwym wypadkiem przy pracy, ale wykładem realnych poglądów generała.

SOCJOLOGIA ZAMIAST TEOLOGII

W ostatnim wywiadzie dla dziennika „El Mundo" o. Sosa poszedł jeszcze

eprasa.pl d2fc640a08

dalej i zapewnił, że diabeł w istocie nie istnieje, lecz jest jedynie wytworem ludzkiej wyobraźni. „Chrześcijanie wierzą, że zostaliśmy stworzeni na wzór i podobieństwo Boga, a Bóg jest wolny, ale On zawsze wybiera czynienie dobra, bo cały jest dobrocią […]. Stworzyliśmy sobie symboliczne figury takie jak diabeł, żeby symbolizowały zło. Również kondycja społeczna może reprezentować tę postać, ponieważ są ludzie działający na rzecz zła, ponieważ znajdują się w środowisku, w którym trudno jest postępować inaczej" – powiedział generał jezuitów. I choć obecnie rzecznik prasowy jezuitów przekonuje, że z tej wypowiedzi nie wynika, iż ojciec generał porzucił wiarę w osobowe istnienie diabła, to konia z rzędem temu, kto wiarę ową znajdzie w tym tekście.

Te jego słowa burzą – i to od podstaw – gmach wiary chrześcijańskiej i doktryny Kościoła. I nie chodzi o to, że istnienie diabła jest fundamentem wiary, ale o to, że jeśli odrzucimy jego istnienie, to w istocie zanegujemy sensowność innych – i to już absolutnie fundamentalnych – dogmatów chrześcijańskich. Jeśli diabeł jest tylko „symboliczną figurą", to trzeba zadać pytanie o źródła grzechu pierworodnego, zła w świecie (bo przecież nie można przyjąć, że pochodzi ono od Boga, ani tego, że Bóg nie był w stanie stworzyć świata doskonałego), o wolność człowieka. Antropologia chrześcijańska z jej z jednej strony pozytywnym spojrzeniem na ludzką naturę, a z drugiej ze świadomością grzeszności i upadku człowieka przestaje istnieć. Nie ma sensu.

To nie wszystko. Jeśli diabeł nie istnieje, jeśli nie było grzechu pierworodnego, to rodzi się pytanie albo o to, po co było Wcielenie, a także Męka i Śmierć Jezusa, albo czy Bóg nie był w stanie stworzyć świata, w którym nie byłoby zła… W obu przypadkach chrześcijaństwo przestaje być religią racjonalną, rozumną, spójną. Otwiera się przepaść absurdu i nieracjonalności albo w pewnym wymiarze na gnozę. Jeśli nie było grzechu pierworodnego, to nawet jeśli racjonalne jest samo Wcielenie (Bóg go chciał), to nie jest jasne, po co w istocie była Męka Pańska. Jeszcze trudniej zrozumieć, bez grzechu pierworodnego i upadku aniołów, pochodzenie zła. Jedynym sensownym wyjaśnieniem jest wówczas gnostyckie uznanie, że istniała jakaś pramateria, która jest jego źródłem, lub uznanie, że Bóg nie jest wszechmocny i wolny w swoim stworzeniu. A to już nie jest chrześcijaństwo. Odpowiedzią na te wątpliwości nie może być uznanie, że wiara nie musi być racjonalna, a Bóg nie jest rozumny. To bowiem byłoby odrzucanie fundamentalnej prawdy o tym, że Drugą Osobą Trójcy Świętej jest Logos, a wiara i rozum nie są ze sobą sprzeczne.

Dla o. Sosy pytania takie nie mają jednak najmniejszego sensu, bo on – co powiedział we wcześniejszym wywiadzie – odrzuca w istocie doktrynę i zastępuje ją… no właśnie… politycznie poprawnym, socjologicznym i marksistowskim bełkotem, w którym wyzwolenie staje się wyłącznie dziełem rewolucyjnym, a miejsce świętych zajmuje Fidel Castro, któremu o. Sosa składał swego czasu wiernopoddańcze hołdy. Nie jest w tym odrzuceniu doktryny generał jezuitów wśród swoich wpływowych braci osamotniony, bo podobne antydoktrynalne filipiki wygłaszają także inni kapłani Towarzystwa Jezusowego, niekiedy zresztą znani jako najbliżsi współpracownicy papieża Franciszka.

„TEOLOGIA TO NIE MATEMATYKA"

Jednym z najmocniejszych przykładów takiego myślenia jest… o. Antonio Spadaro, nie tylko redaktor naczelny jezuickiego (ale będącego nieoficjalnym organem Stolicy Apostolskiej) pisma „La Civiltà Cattolica", który próbując uciec od pytań dotyczących udzielania komunii świętej rozwodnikom w ponownych związkach zadawanych przez autorów „Dubiów", zaczął budować apologię teologii nieracjonalnej, pozbawionej spójności i rozumności. „Teologia nie jest matematyką. 2+2 w Teologii może dać 5, ponieważ mamy do czynienia z Bogiem i realnym życiem ludzi" – napisał na swoim profilu na Twitterze. Opinia ta trudna jest do pogodzenia już nie tylko ze zdrowym rozsądkiem i logiką, lecz także z doktryną Kościoła. Jeśli poważnie potraktować opinię o. Spadaro, to będzie ona oznaczać wyłączenie teologii z przestrzeni racjonalności. Bóg, tak pojmowany, też przestaje być racjonalny, staje się czystą wolą, a przestaje być rozumny i racjonalny. To zaś jest nie do pogodzenia z nauczaniem i doktryną Kościoła.

Błogosławiony Paweł VI i św. Jan Paweł II byli przekonani, że coś bardzo złego dzieje się z zakonem jezuitów, i rozważali jego kasatę

Pomysły takie pozwalają jednak uciec od dotychczasowej doktryny i zająć się budowaniem teologii prawdziwie postępowej, wolnej od korzeni, Tradycji i Magisterium poprzednich papieży. I wystarczy poczytać magazyn kierowany przez o. Spadarę, by to dostrzec. Krótko po słynnej wypowiedzi na temat matematyki i teologii w kierowanym przez niego piśmie ukazał się spory tekst na temat… święceń kapłańskich dla kobiet. Ojciec Giancarlo Pani – a jakże, jezuita! – sugeruje, że decyzja o odmowie święcenia kobiet na kapłanki powinna zostać ponownie rozpatrzona, a być może uchylona. Powodem ma być zmieniające się miejsce kobiet w społeczeństwie i rodzinie. Zmiany te sprawiają, że ludzie nie są w stanie zrozumieć, zdaniem jezuity, jak może współistnieć w Kościele odmowa wyświęcania kobiet z uznaniem ich równej godności. A do tego wśród części wiernych istnieje niepokój związany z kapłaństwem kobiet. W podobnym duchu, choć nieco ostrożniej, wypowiada się także ostatnio generał jezuitów. A polski jezuita, o. Jacek Siepsiak, żeby usprawiedliwić jezuickie rozważania na temat kapłaństwa kobiet, posuwa się do… kłamstwa. Tak, kłamstwa. Zakonnik pisze bowiem na Deon.pl, że św. Jan Paweł II „polemikę na temat kapłaństwa kobiet […] zawiesił, ponieważ nie przynosiła rozstrzygnięcia. Argumenty obydwu stron nie były rozstrzygające i nie wnosiły już niczego nowego do dysputy. Dlatego papież ją zawiesił, niczego nie rozstrzygając". Wystarczy sięgnąć do dokumentu papieża, by wiedzieć, że to zwyczajne kłamstwo. „Aby zatem usunąć wszelką wątpliwość w sprawie tak wielkiej wagi, która dotyczy samego Boskiego ustanowienia Kościoła, mocą mojego urzędu utwierdzania braci (por. Łk 22, 32) oświadczam, że Kościół nie ma żadnej władzy udzielania święceń kapłańskich kobietom oraz że orzeczenie to powinno być przez wszystkich wiernych Kościoła uznane za ostateczne" – napisał Jan Paweł II w liście apostolskim „Ordinatio Sacerdotalis". I albo o. Siepsiak nie miał czasu, aby to sprawdzić, co nie najlepiej o nim świadczy, albo celowo kłamie.

To jednak niejedyne prawdy wiary i moralności, które – zupełnie otwarcie – odrzucają poważani i uchodzący

eprasa.pl d2fc640a08

Znaczenie i władza generała Towarzystwa Jezusowego są w Kościele ogromne FOT. L'OSSERVATORE ROMANO/AP/EAST NEWS

za kluczowych przedstawicieli zakonu jezuici. Kilka tygodni temu kapelan amerykańskiej Izby Reprezentantów oznajmił, że „katolickie nauczanie na temat homoseksualizmu umarło”. Jego zdaniem nauczanie Kościoła jest przestarzałe i nie nadąża za nowoczesnością. „Obecnie obowiązująca teologia głosi, że geje nie mogą angażować się seksualnie i wstępować w związki małżeńskie” – mówi jezuita. „To jednak teologia, która pochodzi sprzed wieków, gdy ludzie nie znali ludzkiej psychologii, ludzkiej seksualności, ludzkiej indywidualności” – stwierdza. I dodaje, że uzupełnienie myślenia teologicznego o najnowsze odkrycia otworzy ją na nowe perspektywy. Identyczne opinie prezentuje, powołany ostatnio przez papieża Franciszka na konsultora ds. mediów o. James Martin, który przekonuje, że czas skończyć z rzekomą homofobią w Kościele, i uznać, iż gejowski styl życia jest uprawnioną drogą do nieba. „Część ze świętych była prawdopodobnie gejami. Pewien procent ludzkości to geje, a zatem pewna część z nich mogła zostać świętymi. Możesz być zaskoczony, gdy trafisz do nieba i będziesz witany przez mężczyzn i kobiety LGBTQ” – napisał na Twitterze jezuita. A innym razem zaczął przekonywać, że chrześcijanie powinni zaangażować się w walkę o to, by chłopcy mogli korzystać z damskich toalet. „To nie rani nikogo” – oznajmił o. Martin, odnosząc się do odwiedzania przez biologicznych chłopców damskich toalet. I dodał, że zakazanie takich zachowań jest afrontem wobec ich godności. „Smuci mnie, że transstudenci nie będą mogli wybrać sobie toalet. To podstawowa potrzeba. To uwłacza ich godności jako ludzi” – stwierdził o. Martin. A dalej było jeszcze mocniej, bo o. Martin oznajmił, że obowiązkiem chrześcijan jest… bronić prawa chłopców do korzystania z toalet dla dziewcząt. „Kto powinien stanąć po stronie marginalizowanych, wyśmiewanych, zastraszanych, wyrzutków, mniejszości? Chrześcijanie powinni, bo Jezus tak robił” – oznajmił jezuita. Niestety, duchowny nie wyjaśnił, w którym miejscu w Ewangeliach Jezus wypowiedział się na temat toalet damskich, które powinny być dostępne dla mężczyzn. W istocie jednak nie ma to przecież znaczenia, bo… tak się składa, że – zdaniem generała jezuitów – nie wiadomo, co Jezus rzeczywiście powiedział, więc zawsze można uznać, że w tej sprawie też się wypowiedział, tylko apostołowie nie zdążyli tego zapisać.

„PROWINCJAŁKI” NADAL AKTUALNE

Z wypowiedzi tych można by oczywiście żartować, gdyby nie to, że ich przykłady można mnożyć, a ludzie, którzy je formułują, stoją na czele jezuickich instytucji i formują młodych jezuitów. Dla nikogo, kto zna ten zakon w jego zachodnim (i latynoskim) wydaniu, nie powinno to być zresztą zaskoczeniem. Jezuici od dawna są tam bowiem w awangardzie rewolucji i destrukcji Kościoła, walczą o prawa klasy robotniczej, budują potęgę teologii wyzwolenia oraz angażują się w walkę z wykluczeniem rozumianym zupełnie w duchu marksistowskim. To dlatego zamiast walczyć o zachowanie nauki Kościoła od prawie pół wieku odprawiają dziwaczne nabożeństwa w fawelach, promują homoseksualizm, przyznają nagrody katolickich jezuickich uczelni aborcjonistom i przekonują, że kobiety staną się wolne dopiero, gdy będą miały prawo do święceń kapłańskich, a najlepiej także do aborcji. Błogosławiony Paweł VI i św. Jan Paweł II już w latach 70. i 80. byli przekonani, że coś bardzo złego dzieje się z tym zasłużonym zakonem, i rozważali nawet jego kasatę. Ostatecznie Paweł VI nie zdążył tego zrobić, a papież Polak zdecydował się wprowadzić program naprawczy. Tyle że – jak widać po o. Sosie i jego współpracownikach – nie przyniósł on spodziewanych efektów, a jezuici nadal są w awangardzie zmian i destrukcji nauczania Kościoła.

Nie, nie twierdzę, że wszyscy, bo to byłoby zwyczajne kłamstwo. Wielu kapłanów i braci Towarzystwa Jezusowego pozostaje wiernych Tradycji Kościoła i zadaniom, jakie postawił im św. Ignacy Loyola, ale… to nie oni nadają obecnie ton zakonowi i nie oni nim zarządzają. A do tego warto przypomnieć, że moralny laksyzm czy pomysł, by w duszpasterstwie promować liberalne rozumienie pewnych zasad moralnych, wcale nie są u jezuitów czymś nowym. W swoich znakomitych (choć mocno przesadzonych) „Prowincjałkach” oskarżał ich o to już wielki Pascal. I choć papieże potępili zawarte w nich zarzuty, to część z nich została wiek później powtórzona przez innego papieża w brewe „Dominus ac Redemptor” kasującym Towarzystwo Jezusowe. I warto sobie zadać pytania, czy nie warto do tej krytyki powrócić i zastanowić się, na ile potrzeba obecnie nowych „Prowincjałek”, a może nawet stosownego brewe. Program sanacyjny św. Jana Pawła II, jak bowiem widać, nie przyniósł spodziewanych efektów. Szkoda byłoby tylko setek, a może tysięcy wspaniałych jezuitów, którzy zamiast zajmować się destrukcją wiary, prowadzą nieustannie „Ćwiczenia duchowe”, które pozostają wielkim skarbem Kościoła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d2fc640a08

Z ks. prof. Pawłem Bortkiewiczem
rozmawia Tomasz P. Terlikowski

Generał jezuitów dopuszcza się herezji

TOMASZ P. TERLIKOWSKI: Czy „czarny papież" jest heretykiem?

KS. PROF. PAWEŁ BORTKIEWICZ: Jeśli spojrzeć na to od strony formalnej czy prawa kanonicznego, to mogą być co do tego pewne wątpliwości, ale z punktu widzenia zdrowego rozsądku, a także wyczucia eklezjalnego, na to pytanie trzeba odpowiedzieć twierdząco. Odrzucenie osobowego istnienia diabła jest w sprzeczności z doktryną Kościoła wyrażoną zupełnie jasno w Katechizmie Kościoła katolickiego. Trzeba więc powiedzieć, że – choć to brzmi szokująco – generał Towarzystwa Jezusowego dopuszcza się herezji.

Twierdzenie, że diabeł jest wytworem socjologicznym człowieka jest sprzeczne z dogmatyką Kościoła?

Mamy odpowiednie punkty Katechizmu (poczynając od numeru 391), które jasno określają, że diabeł jest bytem osobowym i realnym. Wiemy, że Biblia wywodzi istnienie szatana od upadłych aniołów, które także są bytami osobowymi i realnymi. Katechizm przywołuje np. orzeczenie Soboru Laterańskiego IV: „Diabeł bowiem i inne złe duchy zostały stworzone przez Boga jako dobre z natury, ale same uczyniły się złymi". Nie są zatem, ani aniołowie, ani szatan, jedynie konstruktem socjologicznym. Już sama nazwa „diabeł" czy „szatan" wskazuje pośrednio na byt osobowy. Diabeł – diabolos – to ten, który rozbija, a szatan to po prostu nieprzyjaciel. I już tylko te cechy ujawnione w ich nazwach podkreślają osobowy charakter działania, działania, za które ktoś pozostaje odpowiedzialny.

Jeśli zakwestionować istnienie szatana, to w wątpliwość podamy także grzech pierworodny, a to oznaczać będzie, że działaniem pozbawionym sensu staną się Męka i Śmierć Jezusa Chrystusa.

Istotnie, wypowiedzi o. Arturo Sosy naruszają ważne elementy doktrynalnej budowli Kościoła. Doktryna Kościoła nie jest zbiorem niepowiązanych ze sobą, osobno funkcjonujących dogmatów czy tez, ale jest rzeczywistością prawd mocno i nierozerwalnie ze sobą powiązanych. Zakwestionowanie istnienia osobowego zła, stwierdzenie, że jest to jedynie konstrukt socjologiczny, zdecydowanie osłabia znaczenie zła, banalizuje je, a co za tym idzie – podważa sensowność Dzieła Zbawczego Chrystusa. Jeśli bowiem zło ma jedynie charakter socjologiczno-społeczny, to drogą wyzwolenia ze zła jest czyn społeczny czy polityczny, a nie ma potrzeby oddania przez Boga swojego życia na krzyżu.

FOT. MAREK LAPIS/FORUM

eprasa.pl d2fc640a08

Niestety, trzeba powiedzieć, że podobny problem naruszania spójności budowli doktrynalnej Kościoła mamy także w przypadku „białego papieża”. Dopuszczenie rozwodników do komunii świętej to nie jest tylko zmiana doktryny moralnej, lecz także rozumienia Eucharystii, warunków i sensu sakramentu spowiedzi, a także naruszenie rozumienia istoty Kościoła, która opiera się na niezmiennej wierności Chrystusa do swej Oblubienicy. Mówię o tym, by podkreślić, że wyłom w jakimkolwiek miejscu doktryny Kościoła pociąga za sobą destrukcję innych jej elementów. To niebezpieczna równia pochyła.

Ojciec Sosa o małżeństwie też się wypowiedział, sugerując, że powoływanie się w dyskusji o komunii dla osób rozwiedzionych w ponownych związkach na słowa Jezusa jest nietrafione, bo nie wiemy, co Chrystus w rzeczywistości mówił.

Czytałem te słowa ojca generała kilkakrotnie i zastanawiałem się, czy przypadkiem nie jest to jakiś cytat z religioznawców marksistowskich, może prof. Poniatowskiego czy Kosidowskiego. A potem zrodziło się pytanie, czy ojciec generał jest w ogóle człowiekiem wierzącym? Być chrześcijaninem to być słuchaczem Słowa, co zresztą przypominał dobitnie jezuita Karl Rahner, to być kimś, kto wierzy w moc i potęgę Słowa Bożego, a także kimś, kto czerpie ze Słowa Bożego swoją wiarę. Jeśli podważam prawdziwość Słowa, kwestionuję jego znaczenie i wartość, jeśli relatywizuję jego znaczenie, jak robili to marksistowscy religioznawcy, to w istocie podważam fundamenty swojej wiary i kwestionuję własne chrześcijaństwo. To zdanie o. Sosy wprawia mnie w fundamentalne zakłopotanie, bo wciąż na nowo zadaję sobie pytanie, z kim mam do czynienia. Z religioznawcą marksistowskim czy człowiekiem wierzącym?

A czy nie jest tak, że w przypadku o. Sosy widzimy, do czego prowadzi teologia wyzwolenia? Jeśli na religię patrzymy oczyma socjologii marksistowskiej, to dochodzimy do tezy, że zło jest konstruktem, a zbawienie to proces rewolucyjnego wyzwolenia?

Dokładnie tak. Źródłem problemów o. Sosy jest teologia wyzwolenia. On sam, choć ma podstawowe wykształcenie teologiczne, doktorat już pisał z politologii. A jakby tego było mało, to w pewnym okresie swojego życia był on jednym z sygnatariuszy listu wspierającego Fidela Castro i sławiącego przemiany rewolucyjne na Kubie. Ten list był pisany w czasie, gdy wiadomo już było, jak Castro traktuje chrześcijan, jak ich prześladuje, a także co robi na Kubie. Fakty nie miały dla sygnatariuszy żadnego znaczenia. Tego myślenia nie sposób zrozumieć, jeśli nie powróci się do teologii wyzwolenia, która próbuje łączyć socjologię marksistowską z soteriologią i w efekcie wyzwolenie z grzechu nabiera charakteru wyłącznie politycznego, a przestaje być przemianą, nawróceniem człowieka, realnym wyzwoleniem z grzechu.

Ten sam element wiary w konieczność socjologicznego wyzwolenia widać w rozważaniach ojca generała na temat konieczności wprowadzania kobiet na rozmaite urzędy Kościoła.

Mamy tu do czynienia z dostosowaniem się do radykalnego myślenia feministycznego, które ujmuje kobiecość z jej otwarciem na macierzyństwo jako podlegające opresji, z której należy je wyzwolić. Drogą do tego wyzwolenia jest zrównanie kobiety w jej wszystkich rolach społecznych i kulturowych z mężczyzną. Tyle że – jak sam pan kiedyś mówił – nie da się tego zrobić, bo nie da się zrównać mężczyzny z kobietą, bo my nie jesteśmy w stanie być w ciąży ani urodzić dziecka. I nie da się doprowadzić do takiej równości poprzez przyznawanie kobietom praw do święceń. Mam oczywiście świadomość różnicy między macierzyństwem a kapłaństwem, ale… chodzi mi tylko o to, że prawdziwa równość nie wynika z socjologicznych analiz, ale z godności dzieci Bożych. Prawdziwa równość nie oznacza przezwyciężania niemożności bycia w ciąży i matką dla mężczyzny, i kapłanem dla kobiety. Tak jak nie da się zmienić organizmu męskiego w żeński czy kobiecego w męski, tak nie da się zmienić jednoznacznej decyzji Chrystusa, który kapłanami ustanowił jedynie mężczyzn. Jeśli jednak pozostanie się na poziomie myślenia socjologicznego, to oczywiście wszystko da się zrobić za pomocą kolejnych rewolucji i decyzji administracyjnych.

Jak to możliwe, że człowiek o takich poglądach, których zresztą nigdy nie ukrywał, staje się generałem jednego z największych, a na pewno najbardziej wpływowych zakonów w Kościele?

W wywiadzie dla „El Mundo” dziennikarz, który przeprowadzał rozmowę, zaznacza, że ten wybór był dowodem na to, iż jezuici wybrali na swojego generała człowieka niezwykle sprawnego intelektualnie, a także otwartego na działalność społeczną. I te dwa określenia są niezmiernie ciekawe. Pierwszym problemem pozostaje owa sprawność, która – to trzeba powiedzieć zupełnie wprost – nie dotyczy teologii. Mam ogromny szacunek dla jezuitów, którzy w poprzednich wiekach byli astronomami, matematykami i przedstawicielami nauk społecznych, ale wydaje się, że obecnie potrzebujemy raczej kapłanów obeznanych przede wszystkim z nauką Kościoła, a do tego takich, którzy będą ludźmi szczerej i głębokiej wiary. I tego w o. Sosie nie widzę. Drugim kluczowym dla wyboru nowego generała powodem miało być jego zaangażowanie społeczne, które także pozostaje problematyczne, bo realizuje się jedynie w wymiarze socjologicznym, a nie dociera do sedna zniewolenia człowieka. Wybór takiego człowieka pokazuje, że miraże teologii wyzwolenia, która – wydawać by się mogło – już się skompromitowała, pozostają dla pewnych środowisk nadal bardzo atrakcyjne.

Nie chciałbym oceniać całego Towarzystwa Jezusowego, które pozostaje ogromną wspólnotą, w jakiej mamy także takich zakonników, którzy całą mocą bronią doktryny. Jednak czy taki wybór nie jest także dowodem choroby, która trawi ten zakon?

To trudne pytanie. Jest oczywiste, że decydenci zdecydowali się na wybór takiego, a nie innego człowieka, znanego z takich, a nie innych poglądów. Najwyraźniej bliskie im były jego poglądy i ważne dla znaczącej większości z nich było to, by nowy generał miał wiedzę socjologiczną, a nie teologiczną, i by działał w duchu rewolucji marksistowskiej. Jeśli taka była większość decydujących, to nieciekawie świadczy to o kondycji zakonu.

Jednakże Towarzystwo Jezusowe to ogromna wspólnota i są w nim różni ludzie. Ja sam mam wielu przyjaciół jezuitów, wiele im zawdzięczam i wiem, że są oni oddani głoszeniu Słowa Bożego i doktryny. To jednak niestety pokazuje, że w zakonie mamy dwie frakcje: jedną wierną duchowi św. Ignacego Loyoli i drugą, której bliższe jest myślenie rewolucyjne. Ci ostatni wydają się mieć ochotę przekształcić zakon w partię polityczną, rewolucyjną i porzucić własną tradycję rozeznawania Słowa Bożego i wiary w moc sakramentów oraz medytowania nad nimi.

Czyli mamy powtórkę z lat 70. i 80., kiedy bł. Paweł VI i św. Jan Paweł II zastanawiali się nad możliwością ponownej kasaty zakonu jezuitów?

Myślę, że trudno tu szukać analogii, bo obecnie papieżem jest jezuita, któremu niektóre z poglądów o. Sosy są bliskie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d2fc640a08

Piotr Gociek

„War Machine" – produkcja Netflixa z Bradem Pittem w roli głównej – rozczarowuje. Jest bowiem na bakier ze zdrowym rozsądkiem

Ruch generała

Nie wszystko, czego tknie się Netflix, zamienia się w złoto. O czym przekonałem się ostatnio boleśnie, próbując oglądać drugi sezon serialu „Sense8" (okazał się równie nudny i pretensjonalny jak pierwszy) czy dystrybuowaną przez serwis francuską animację dla dzieci „Sahara" (była mniej więcej tak zabawna jak jej tytuł). Największym jednak rozczarowaniem okazał się szumnie zapowiadany i mocno promowany film „War Machine". Miało być przecież tak pięknie: Brad Pitt w roli głównej, dodatkowo Russell Crowe (długo trzeba czekać na jego cameo), ekranizacja bestsellera i wszystko to nie w kinie, ale od razu na ekranie własnego telewizora czy komputera. Premiera Netflixa.

WSZYSCY LUDZIE GENERAŁA

Poznajcie Glena. Generał Glen McMahon to dowódca kochany przez żołnierzy i współpracowników, absolwent elitarnych uczelni, świetny żołnierz, perfekcyjny organizator. Sprawdził się w Iraku. Oddany pracy sercem i duszą, od czasu ataku na World Trade Center i rozpoczęcia wojny z terrorem spędza z żoną przeciętnie osiem dni w roku. Śpi cztery godziny na dobę, co rano przebiega 10 km, nie wymaga od swych podwładnych niczego, czego sam nie zrobił. McMahon to jest gość. W chwili, gdy zaczyna się opowieść, Glen trafia do Afganistanu, gdzie staje na czele sił koalicji. Jest przekonany, że wreszcie wygra tę wojnę. Przyczyna dotychczasowych niepowodzeń zdaje mu się jasna: niekompetentni dowódcy. To się jednak zmieni. Przecież już przybył na miejsce.

Ambitnego generała obserwujemy oczami reportera magazynu „Rolling Stone". Został dopuszczony do bliskiego kręgu McMahona, bo jeden z doradców generała uznał, że potrzebuje on lepszej prasy. Co z tego wynikło, można zobaczyć w filmie. Nie zdradzę wielkiej tajemnicy, jeśli powiem, że cała ta historia (wojna w Afganistanie, sarkanie na prezydenta i wiceprezydent, który nie chce wesprzeć nowej ofensywy, harce z prasą) nie kończy się dla głównego bohatera dobrze. Przecież to wiecie. W końcu gdyby jakiś McMahon (czy jakikolwiek inny amerykański dowódca) rzeczywiście odmienił losy wojny w Afganistanie i dokonał tego, co nie udało się poprzednikom, pisałyby o tym wszystkie gazety świata, informowały wszystkie telewizje (nawet polskie, które mają zwykle wiadomości ze świata w głębokim poważaniu).

„War Machine" to ekranizacja reportażu Michaela Hastingsa w Polsce wydanego pod tytułem „Wszyscy ludzie generała" (Znak 2017). W oryginale rzecz zwała się „The Operators: The Wild and Terrifying Inside Story of America's War in Afghanistan" i w USA wydano ją w roku 2012, niezbyt długo po opisywanych wydarzeniach. Jej prawdziwy bohater nie nazywa się McMahon (jak w filmie), lecz Stanley McChrystal. Reszta mniej więcej się zgadza. Ambitny dowódca, który rozpoczynał służbę jeszcze w latach zimnej wojny, okrył się chwałą i został legendą w Iraku, gdzie zorganizowane przez niego siły skutecznie wyszukiwały i eliminowały przywódców Al-Kaidy (w tym niesławnego Abu Musaba az-Zarkawiego). I rzeczywiście uważał, że wojnę w Afganistanie wygra, jeśli tylko dostanie dodatkowych 40 tys. żołnierzy. Prezydent Barack Obama, który myślał już tylko o minimalizacji strat i wycofaniu sił amerykańskich, miał inne plany. Generał ruszył w tournée po Europie, by namówić sojuszników do większego udziału w misji – odwiedził Francję i Niemcy. To właśnie podczas tych podróży jego ludziom i samemu McChrystalowi towarzyszył reporter, który na podstawie rozmów nagranych z generałem i jego współpracownikami napisał tekst do magazynu „Rolling Stone". Tekst, którym zakończył karierę. A potem rozszerzył go do rozmiarów książki.

BEZ SENSACJI

Film Davida Michôda (wcześniej reżysera znakomitego „Królestwa zwierząt" i mniej udanego filmu „Rover") to czarna komedia, w odróżnieniu jednak od takich klasyków gatunku jak „Dr Strangelove" wszystko jest w niej dość umiarkowane – humor, suspens, akcja. Wszystko oprócz Brada Pitta, który stworzył sugestywną

eprasa.pl d2fc640a08

FOT. FRANCOIS DUHAMEL / NETFLIX

kreację. Sugestywną, lecz jednowymiarową, co właściwie można powiedzieć o całym filmie. Najzabawniejsze fragmenty to rozmowy generała z prezydentem Afganistanu Hamidem Karzajem, którego brawurowo zagrał Ben Kingsley. Inna sprawa, że robiąc z niego postać niczym z bulwarowej farsy. Jak widać ostrożność procesowa, która sprawiła, że wyszydzany amerykański generał nie został sportretowany w filmie pod prawdziwym nazwiskiem, nie obejmuje przywódców innych krajów.

Być może tak po prostu było – może Karzaj to głupek, gen. McMahon (McChrystal), a jego ludzie to postacie płaskie i niezbyt interesujące. Film jednak jednowymiarowy być nie powinien, tymczasem „War Machine" to piosnka grana na jedną nutę. Dwie chwile prawdziwego dramatu na dwie godziny projekcji to trochę za mało. Pierwszy to krótkie chwile między generałem a jego żoną, kiedy nagle widzimy dwoje samotnych ludzi złączonych małżeńskim węzłem, ale żyjących z dala od siebie. Drugi to scena, w której rwący się do akcji amerykański żołnierz w Afganistanie błąka się w labiryncie podwórek i pustych uliczek wioski, którą widzi pierwszy raz w życiu, o której niczego nie wie, wypełniając misję, której nie rozumie i która do niczego nie jest potrzebna. Ładna metafora. To jednak mało, mało, mało. Reszta opowiedziana została sprawnie, gładko i wywołuje u widza umiarkowane zainteresowanie na zmianę z umiarkowanym uśmiechem.

Książka jest lepsza (wiem, wiem, żadna sensacja), ale sposób, w jaki ją opakowano, też jest humbugiem. Główne hasło reklamowe pochodzi z amerykańskiego serwisu „The Daily Beast": „Przejmująca kronika świata, który zmierza do szaleństwa". Tymczasem, owszem, „Wszyscy ludzie generała" to dowód na szaleństwo, ale nie świata, który nie stał się nagle za sprawą McChrystala zdecydowanie inny czy gorszy, lecz na szaleństwo, które dotknęło świat dziennikarstwa i popkultury XXI stulecia.

Po pierwsze, kompletne zgłupienie tzw. recenzentów, którzy zamiast przeczytać uważnie, co w książce jest, bezmyślnie powtarzają i przepisują to, co dostali w materiałach promocyjnych od wydawnictwa, plotąc androny, o tym, jak to opisuje ona prawdę o ludziach Donalda Trumpa. Akcja rozgrywa się tymczasem w roku 2010, a to, że wśród współpracowników McChrystala był także gen. Mike Flynn, przez chwilę pracownik nowej prezydenckiej administracji, nie dowodzi absolutnie niczego. Tyle że żyjemy w czasach zaczadzenia antytrumpowego, czyli gorączkowego poszukiwania czegokolwiek, czym można byłoby uderzyć w najbardziej znienawidzonego przez elity – od czasów Ronalda Reagana – prezydenta. Wstyd dla wydawnictwa, wstyd dla tych, którzy powtarzają bzdury.

Szaleństwo kolejne, znacznie szersze. Budowanie fałszywego przekonania, że jesteśmy świadkami czegoś niesłychanego, niezwykłego i nieznanego dotąd w historii. Hm. Czego dowiadujemy się z opowieści Michaela Hastingsa (i filmu „War Machine")? Że generałowie bywają nie najmądrzejsi, choć jednocześnie skuteczni. Trudno to uznać za sensację. Że lubią otaczać się swoimi zaufanymi ludźmi, często miernymi, lecz wiernymi. Może jestem zbyt mądry, ale to też wiedziałem. Że imprezują, i to czasem ostro. Wiem, nawet parę razy sam imprezowałem. Że często uważają swoich cywilnych zwierzchników za niekompetentnych idiotów. Naprawdę coś w tym nowego? Naprawdę sensacją jest, że Amerykanie średnio wyznają się na sprawach Europy, albo to, że żołnierzy bawi żart o francuskim ministrze, który jest podobno „pieprzonym gejem"? Tak, świat oszalał, a właściwie oszaleli ci, którzy machając plikami depesz WikiLeaks, oburzają się, że ktoś kogoś w świecie dyplomacji nazwał grubym słowem, ustalał co nieco przy kubku gorzałki albo ubijał moralnie ryzykowne deale. Naprawdę uważacie, że to coś nowego w historii świata?

KTO MA KREW NA RĘKACH?

A przecież są takie miejsca, w których i film „War Machine", i wcześniej książka Hastingsa dotykają prawdziwych problemów. Tyle że te prawdziwe problemy idą akurat pod prąd wywodu o „głupich generałach". Irytacja wojskowych na zapowiedź wyprowadzenia wojsk z Afganistanu była szczera i nie została wywołana ich nadmierną miłością do pacyfikowania jaskiń z talibami. Ogłoszenie przeciwnikowi, że opuści się front za półtora roku, naprawdę zachęciło terrorystów do nasilenia ataków na siły koalicji. Tę krew na rękach ma Obama, a nie jego generałowie.

Podobnie jest z narzekaniem na to, że Ameryka zbyt chętnie wybiera się na wojny, których nie potrafi wygrać i prowadzi je w niewłaściwy sposób. To przecież nie jest wina ludzi, takich jak bohater „War Machine", nazwany przez sekretarza obrony Roberta Gatesa najlepszym żołnierzem i dowódcą, jakiego w życiu poznał. Tylko tych, którzy ruszyli na podbój Iraku, nie mając żadnych planów wygrania pokoju i weszli do Afganistanu, nie rozumiejąc przyczyn klęsk poniesionych w tym kraju przez Sowietów i wcześniej Brytyjczyków. O nich jednak film „War Machine" już nie opowiada.

★★★☆☆☆
REŻ. DAVID MICHÔD „WAR MACHINE" USA 2017, NETFLIX
wyst. Brad Pitt, Anthony Hayes, John Magaro

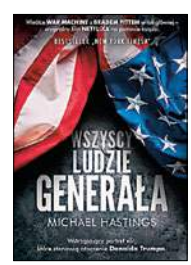

★★★★☆☆
MICHAEL HASTINGS „WSZYSCY LUDZIE GENERAŁA" ZNAK 2017

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d2fc640a08

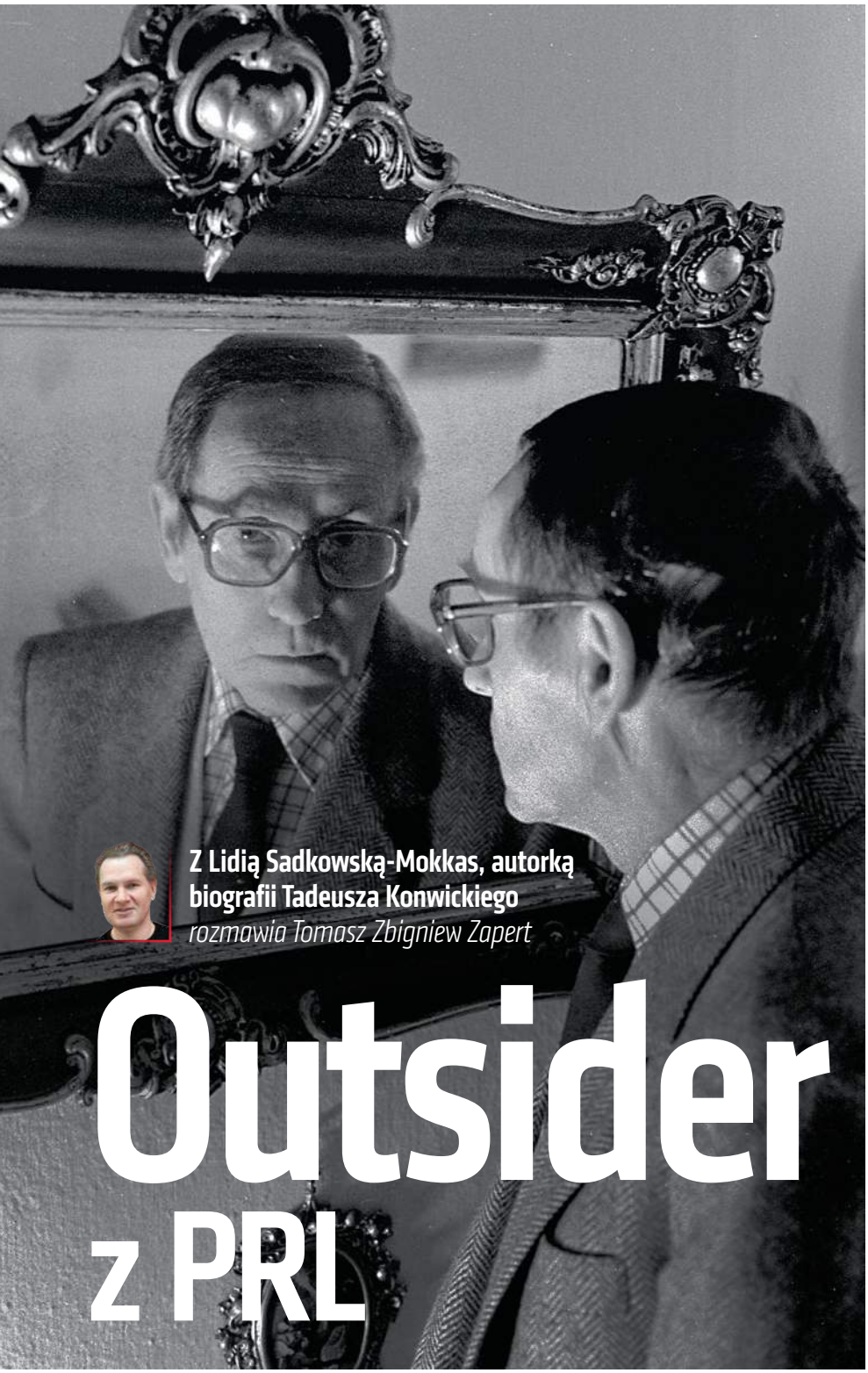

Z Lidią Sadkowską-Mokkas, autorką biografii Tadeusza Konwickiego
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Outsider z PRL

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/EAST NEWS

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego matka oddała przyszłego autora „Małej apokalipsy" na wychowywanie?

LIDIA SADKOWSKA-MOKKAS: Z powodu braku poczucia stabilizacji i biedy po śmierci męża Michała Konwickiego. Musiało to być niezwykle traumatyczne przeżycie dla dziecka, tułającego się po domach krewnych. I choć Jadwiga Konwicka pojawiała się okazjonalnie w życiu syna, a nawet kilka miesięcy podczas wojny spędziła w Kolonii Wileńskiej, to nigdy nie udało im się nawiązać silnej więzi. Wsparcie otrzymał od ciotecznych dziadków, Malwiny i Przemysława Blinstrubów, za co był im niezmiernie wdzięczny. A kiedy sam założył rodzinę, mówił, że tkwiła w nim „nadwrażliwość odpowiedzialności", w pewnym sensie pochodna półsierocego dzieciństwa.

Z czego żył podczas wojny?

Za okupacji niemieckiej musiał wypełnić obowiązek pracy. Zatrudniono go na kolei, przy wyrębie drzew, podczas prac polowych. W lazarecie dla ochotniczych oddziałów, tworzonych z jeńców sowieckich, przyjęto Konwickiego na posadę elektromechanika. Przez niedopatrzenie otrzymał prowiant przysługujący żołnierzom Wehrmachtu. Przy pierwszej dostawie tak sowicie uraczył się herbatą z rumem, że 6 km, dzielące Nową Wilejkę od Kolonii Wileńskiej, przemierzył na... czworakach.

Pod koniec wojny walczył z Sowietami, a kilka miesięcy potem poparł zainstalowany przez nich w Polsce ustrój. Koniunkturalnie?

Znalezienie się wraz z innymi w zastępie „pryszczatych", może i nieco koniunkturalne, było też przejawem mody, walki z syndromem mięczaka. Pamiętajmy, że Konwicki nie miał na terenie „nowej" Polski kontaktów. Był skazany wyłącznie na siebie. Nowy ład, zwłaszcza dla tych niezakorzenionych, mógł stanowić drogowskaz.

Przed przemianą ideową zamierzał zbiec na Zachód?

Resztki oddziału Armii Krajowej, dowodzonego przez Ryszarda Kiersnowskiego, umknęły polującemu na nich w Puszczy Rudnickiej NKWD i przedarły się do Polski. Chciały dotrzeć przez Bałtyk do Anglii, ale plan został zarzucony. Konsekwencją będzie w przypadku Konwickiego zaangażowanie w budowanie Polski Ludowej oraz pięć socrealistycznych, jak oceniał je sam autor, „nieudałych" książek.

W akcesie do PZPR pomógł mu pewien poeta, którego potem pasował na aktora...

Nie wiem, czy nie przeceniamy roli Włodzimierza Boruńskiego, notabene kuzyna Juliana Tuwima i Kazimierza Krukowskiego, „Lopka". Trudno powiedzieć, czy do końca odegrał rolę wprowadzającego, ale na pewno był przychylnie nastawionym protokolantem i dokonał drobnych, korzystnych zmian w zapisie wypowiedzi kandydata na

eprasa.pl d2fc640a08

członka partii. Przez długi czas z uporem lansowano tezę, że Konwicki był niezmiernie przydatny, ponieważ wypełnił lukę po samobójczej śmierci Tadeusza Borowskiego. On sam od roli „zamiennika" miłoszowskiego „Bety" kategorycznie się odcinał. Zanim został – w roku 1953 – pełnoprawnym członkiem PZPR, przez dwa lata odbywał staż kandydacki.

Kariery literackiej o mało nie zwichnął mu miłosny trójkąt z wyższych sfer PRL...

Jak szeptano w kuluarach siedziby Związku Literatów Polskich, na kanwie tego melodramatu (przypomnijmy „aktorów": Bohdan Czeszko – Joanna Broniewska-Kozicka – Stefan Kozicki) zbudował opowiadanie „Miłość", ignorujące poetykę socrealizmu, stąd surowy osąd i frontalna krytyka ze strony speców od partyjnej nowomowy: Melanii Kierczyńskiej oraz Adama Ważyka. Dokładny przebieg zjadliwej „debaty" barwnie relacjonował w „Dzienniku 54" Leopold Tyrmand. Uniform socrealisty chyba nieco Konwickiego uwierał, bo pomimo trzymania się konwencji, zbaczał na ideologiczne manowce. Po dokonaniu znaczących poprawek tekst ukazał się pt. „Godzina smutku".

Żył oraz tworzył w cieniu czy blasku Pałacu Kultury i Nauki?

W zależności od pory dnia. A tak poważnie, żaden inny twórca nie nadał „dwuznacznemu podarkowi od przyjaciół Moskali" tylu określeń, funkcji i znaczeń. Mieszkając przez 60 lat w domu przy ul. Górskiego 1, widział PKiN codziennie, w różnych odsłonach, porach roku, fazach dnia. Nic dziwnego, że wzbudzający tak skrajne i ambiwalentne emocje niebotyk stał się fragmentem mitologii miasta oraz architektonicznym bohaterem pierwszego planu. Zarówno w jego książkach, jak i filmach.

Opozycyjność Konwickiego wychodziła poza stołówkę Czytelnika?

Nie miał chyba zadatków na opozycjonistę, o czym świadczy odmowa wzięcia udziału – w charakterze obserwatora – w procesie Kazimierza Świtonia w Katowicach. Taką ofertę złożył pisarzowi w 1979 r. Andrzej Celiński, wówczas działacz KOR. Konwicki po doświadczeniach partyjnych odcinał się od wszelkich zbiorowych emocji i przynależności środowiskowych. Przyjął postawę „łagodnego sceptycyzmu". Znalazł się, jak mówił, na aucie, na pozycji outsidera. Na pewno był postrzegany jako twórca opozycyjny w latach 1977–1986, kiedy figurował na indeksie, wydając kolejne utwory w drugim obiegu i współpracując z „Zapisem". Symbolicznym powrotem do oficjalnego nurtu był dopiero wydany w Czytelniku tom „Nowy Świat i okolice", gdzie przyjął konwencję autocenzury i prowadził swoisty „dialog" z cenzorem.

„Kompleks polski" tkwił w nim także w III RP?

Zawsze powtarzał, że czuje się odpowiedzialny za nieszczęsny PRL. Już w 1995 r. wydał „Pamflet na siebie", prozę niejako pożegnalną. Uznał, że nowe czasy powinni zapisywać nowi ludzie – pokoleniowo młodsi. Miał świadomość, że wyszedł z wartkiego nurtu, a rzeka zdarzeń już go nie niesie, co wcale nie znaczy, że kompletnie zobojętniał i nie był krytyczny wobec transformacji ustrojowej. Drażniła go, jak mówił przy wielu okazjach, podskórnie wyczuwalna atmosfera „fetniactwa", wszechobecnego cwaniactwa, powszechnej pogoni za pieniądzem i narodowej hucpy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

KLINIKA UZDROWIskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II w Ciechocinku

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Czy cierpisz na?
- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- rwę kulszową
- migreny kręgopochodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu

Przyjedź na pobyt leczniczy z zabiegami.
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 18.06-25.06.2017 r. oraz 25.06 - 27.08.2017 r.

25 zabiegów na 7 dni pobytu
posiłki w formie bufetu szwedzkiego
- dwa badania lekarskie oraz badanie postawy lub stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl
rezerwacja@podtezniami.pl
tel. 54 416 70 00

eprasa.pl d2fc640a08

Mapka ideolo

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Andrzej Horubała

Poruszona mapa. Wyobraźnia geograficzno-kulturowa polskiej literatury przełomu XX i XXI wieku" to książka przedziwna. Połączenie wysokich naukowych kompetencji i rzeczywiście błyskotliwych pomysłów interpretacyjnych z rozbrajającą, żenująco zideologizowaną wizją świata. Jakże wielu naukowców zapada na podobną chorobę! Na ołtarzu zaangażowania poświęcają swój zmysł analityczny, a obiektywną, czynioną nierzadko z chirurgiczną precyzją wiwisekcję deformują ideologiczną stronniczością.

Gdyby prof. Przemysław Czapliński poprzestał na – zajmującej prawie połowę książki – części poświęconej Rosji, otrzymalibyśmy elektryzujący, lekko tylko zdeformowany ideologicznymi predylekcjami autora, przykład analizy literackiego obrazu wielkiego sąsiada. Czapliński jest czujny, doskonale pokazuje, jak poczynając od „Imperium" Kapuścińskiego, nasza opowieść o Rosji jest zarazem prezentacją Polski wobec zachodniego odbiorcy, jak poprawiać ma ona nasze samopoczucie i lokować w Europie. Wnikliwie punktuje elementy narracji orientalizującej, w której oczywiście Polak-obserwator występuje jako racjonalny reprezentant Zachodu.

Pytając o receptę dla Rosji, wyśmienicie pokazuje zabawną sprzeczność w relacjach Krystyny Kurczab-Redlich, która z jednej strony zaserwowałaby walącemu się imperium kurację kolonialną – narzucenie wzorców demokracji liberalnej, z drugiej najwyraźniej chciałaby znaleźć jakieś modus vivendi między modelem katolickiej zachowawczej Polski a tradycjonalnej w wielu aspektach Rosji. Późniejsze analizy prozy reporterskiej Hugo-Badera, który z obserwatora staje się współuczestnikiem ruskiej biedy i degeneracji, pokazują, jak dziwne emocje może budzić zbratanie się z Rosją i pokazywanie światu naszego podobieństwa, a czasem wręcz tożsamości.

Czapliński, z temperamentu strukturalista i systematyk, daje tu pokaz swoich najwyższych umiejętności krytycznych, rekonstruując modele komunikacji, pokazując, jak dyskurs o Rosji może być czytany jako znak samowiedzy i aspiracji Polaków.

RAŻĄCE POMINIĘCIE

W „Poruszonej mapie" Czapliński pokazuje uniwersalny problem, przed jakim staje krytyk literacki. Odnosi czytane dzieła do świata, o którym ma blade pojęcie, który zna najczęściej z drugiej ręki, który często otrzymuje w pakiecie ideologicznym od jakiegoś starszego pana lub redaktora. Ale – gdy czyta się passusy o Rosji – jest to naprawdę interesujące, a ideologia nie przeszkadza tak straszliwie w lekturze i podziwianiu kunsztu analitycznego poznańskiego polonisty.

Gorzej jest w następnych partiach książki. Po pierwsze, zdradzają one rażącą niekompletność. Czapliński biorąc Rosję za cały Wschód, odrzucając apodyktycznie nasze umiejscowienie na emocjonalno-kulturowo-cywilizacyjnej mapie wobec Ukrainy, Litwy czy Białorusi, czyni to mimo tak potężnych artystycznych manifestacji jak choćby „Wołyń" Wojtka Smarzowskiego czy literatura kresowa. Ten gest pominięcia jest tym bardziej niezrozumiały, że przecież zmieny stosunku do Ukrainy – od powszechnej fascynacji pomarańczową rewolucją, przez przemilczanie i walkę z pamięcią o rzezi, później do nabywania trudnej wiedzy o społecznym i cywilizacyjnym zacofaniu naszego idealizowanego partnera i sojusznika, przyniosły Polakom niezwykle ważną lekcję politologii. Czapliński wie o tym, ale dla wygody wybiera pominięcie, sugerując, że Rosja jako Wschód wystarczy do umiejscowienia nas na mapie.

Ale przecież ten ewidentny kiks i tak blaknie w porównaniu z drugą częścią książki, gdzie ideologia dominuje nad chłodną analizą. Czapliński pisze o Niemczech i literackich obrazach naszego zachodniego sąsiada, nie tylko nie kryjąc swego utopijnego marzenia o likwidacji państw narodowych, lecz także zupełnie nie biorąc pod uwagę kulturowej kolonizacji, jaką Niemcy prowadzą wobec Polski. Czapliński, entuzjasta Unii Europejskiej w wersji jak najbardziej radykalnej, zupełnie ignoruje fakt, że pod wizją Europy bez granic i państw kryła się hegemonistyczna polityka Berlina, twardo realizującego swój interes narodowy. Kraje Południa dojone za pomocą Deutsche Euro? Agresywna polityka historyczna Niemiec realizowana przez system grantów i stypendiów? To wszystko jakoś nie mieści się w polu widzenia Czaplińskiego, który udaje naiwnego w opowieściach o dobrotliwej Europie, której przewodzą Niemcy,

eprasa.pl d2fc640a08

i o krnąbrnych ciemnych Polakach niepotrafiących zaakceptować raju, jaki chce nam ufundować Zachód.

POLSKOŚĆ JAKO NIEDOROZWÓJ

W pierwszej części książki Czapliński przygotował świetne instrumentarium do lektury jej drugiej połowy. Na 180 stronach uczył nas, jak lektura dyskursu o innym kraju więcej może powiedzieć o autorze niźli o opisywanym przedmiocie, jak lepiej służyć może odtworzeniu obrazu Polski niż dotarciu do prawdy o naszych sąsiadach.

Jaka więc Polska wyłania się z drugiej części książki Czaplińskiego? Przede wszystkim polskość jest czymś w oczywisty sposób nieodmiennie wartościowanym negatywnie. Nienormalność, ciemnota, przemoc. W zasadzie po wyplenieniu wad nasza narodowa tożsamość okazałaby się zbiorem pustym. Czapliński nie odnajduje żadnych pozytywów, które warto byłoby przenosić w przyszłość, które mogłyby być atrakcyjne dla Europy. Wszystko powinno stać się przedmiotem inżynierii społecznej i przeobrażenia.

Po rozwianiu złudzeń z końca lat 80. – lakonicznie i celnie opisanych przez Czaplińskiego, że Zachód da nam kasę, a my jemu wartości duchowe – nie pozostaje nam nic innego jak imitacja i otwarcie się na kolonizację. Oczywiście nie może to być proces bezpośredniej implantacji zachodnich rozwiązań, materia społeczna rządzi się swoimi prawami, ale Czapliński, uznając polską specyfikę za relikt niedorozwoju i błędów, czyta naszą literaturę przez pryzmat pożądanego projektu skolonizowania nas przez Zachód.

Politykę historyczną winniśmy podporządkować wizji Niemiec, które mają swój wyborny uniwersalny projekt opowieści o wypędzonych. Doskonałym wcieleniem tak pojmowanej „refleksji" jest dla Czaplińskiego spektakl „Transfer" Jana Klaty. Przemilcza on fakt, że akurat owa realizacja, wespół z późniejszym „Titusem Andronicusem", dla każdego chłodnego obserwatora teatru była dokonywaną na oczach wszystkich żenującą, prowadzoną na chama transakcją kupna-sprzedaży samodzielnego niegdyś twórcy. I oczywiście omawiając polskie opowieści o spotkaniach z Europą, Czapliński pominie wcześniejszą „… córkę Fizdejki", spektakl, w którym niesprzedany jeszcze Klata pokazywał jak neo-Krzyżacy zawładnęli Polską, mamiąc błyskotkami, a ludek polski w obozowych pasiakach, żebrząc o czipsy, ma podziwiać rasę nadludzi zza Odry i ich wytwory.

No tak, ale przecież Czapliński zachłystuje się wręcz wizją symbiozy Polski i Niemiec, i opowiadając o pogranicznym mieście Gubin zjednoczonym z niemieckim Guben, krwi, która dzieli, przeciwstawia ze swoistym wdziękiem gówno, które mieszając, łączy (bo wspólna kanalizacja, wspólne życie)… Przywołuje stworzony pod Niemca „Początek" Andrzeja Szczypiorskiego, pisząc o powszechnym entuzjastycznym przyjęciu tej książki w Polsce (no to nie czytaliśmy tych samych krytyków, mnie na zawsze pozostał w głowie szyderczy śmiech, jakim kwitował tę książkę śp. Jan Walc).

Pisząc o Czechach, Czapliński odsłania się jeszcze bardziej. Dający się poznać już w poprzednich publikacjach jako krytyk tradycyjnej rodziny (w blurbie do hedonistycznych „Ości" Ignacego Karpińskiego pisał z entuzjazmem, że „zdrady i romanse pozamałżeńskie prowadzą nie do rozbicia, lecz do poszerzenia związków"), teraz przy okazji omawiania baśniowego obrazu Czech, jaki namalował w swych reportażach Mariusz Szczygieł, rozwija kuriozalną wizję antropologiczną, w której wyzwolony człowiek porzuca jakąkolwiek religię i poczucie winy, odrzuca grzech pierworodny i dzięki temu uzyskuje błogie szczęście. Na próżno szukałem w wywodzie poznańskiego literaturoznawcy jakiejkolwiek ironii, zdaje się, że mój rówieśnik naprawdę ma tak prostoduszną wizję kondycji ludzkiej! Brzmi to trochę jak „Imagine" Lennona, a przecież od profesora humanistyki można by oczekiwać nieco mniej naiwnego podejścia do natury ludzkiej.

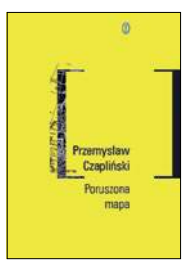

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI „PORUSZONA MAPA" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2016

Muszę powiedzieć, że te fragmenty wstrząsnęły mną najbardziej. Bo jakieś tam polityczne rzeczy, dobrze, to zawsze da się uzgodnić, przegadać, zresztą można zawsze przytoczyć jakieś fakty i przekonać adwersarza do korekty, ale tutaj widzę jakiś kompletny rozziew. Okazuje się, że Czapliński nie tylko wyrzuciłby ciemną część polskiej tradycji, lecz chciałby unicestwić wszelkie wątki głębszej duchowości. Czesława Miłosza – mówiąc przykładowo – też należałoby wyciąć w imię wyzwalania człowieka od religijnego brzemienia.

POLITYCZNA POPRAWNOŚĆ

Im dalej, tym więcej zasmucających znaków. Czapliński pisze o problemie imigrantów, zupełnie pomijając koszmarny błąd Willkommenspolitik Angeli Merkel. Opowieść o Niemczech pisze jak sentymentalną legendę o dobrych perfekcyjnych wujkach, wiedzę o Skandynawii czerpie z przewodników „Krytyki Politycznej", nie przyjmuje do wiadomości klęski projektu multi-kulti i do głowy nie przychodzi mu zakwestionowanie któregokolwiek z dogmatów politycznej poprawności. Widać to także przy okazji świadectwa lektury szwedzkich kryminałów, będących często w swej wymowie ideologicznymi agitkami.

Owszem, to sięgnięcie w rekonstrukcji mentalnej mapy Polaków do dziejów recepcji zachodniej literatury jest sensowne, ale nie wiedzieć czemu Czapliński nie uwzględnia Houellebecqa, o „Obozie świętych" Raspaila już nawet nie wspominając. A przecież to te książki dla dużej części polskiej inteligencji miały spore znaczenie w myśleniu o kryzysie współczesnego Zachodu.

Protestując przeciw pisowskiemu projektowi polityki zagranicznej kładącej kres naiwnemu marzeniu o roztopieniu się w Europie, kreuje więc silnie perswazyjny obraz „geografii wyobrażonej", próbując ocalić resztki wiary w modernizacyjne utopie.

Nie potrafi się cieszyć Czapliński polskim duchem wolności, nie fascynuje go nasz gest republikański, nie ma uznania dla faktu, że Polska – zgoda, może dzięki peryferyjności – ocalała przed dyktatem politycznej poprawności, nie dostrzega chociażby, jak szerokie spektrum poglądów, nieosiągalne na Zachodzie, reprezentowane jest w naszych tygodnikach opinii.

„Przesadziliśmy ze wstydem" – przyznał Przemysław Czapliński parę lat temu, podsumowując czas transformacji. Ten samokrytyczny ton nie utrzymał się długo u autora „Polski do wymiany". Stymulowany wizją wielkiej modernizacji Czapliński nadal przebywa w imaginarium salonowych pisarzy, czytających tę samą co on gazetę, i sądzi, że ma pełny kontakt z rzeczywistością. Polskość przerobiłby całą, do cna, bo tej, która jest, nienawidzi czystym, choć czasem niezdarnie skrywanym, naiwnym jak pierwsza miłość uczuciem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d2fc640a08

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Miłość uratuje ten świat

★★★★☆☆

REŻ. PATTY JENKINS „WONDER WOMAN" USA/CHINY 2017

wyst. Gal Gadot, Chris Pine, David Thewlis

Półnaga dziewoja z mieczem i tarczą kontra karabiny maszynowe i moździerze? Musiało w końcu do tego dojść. Jak wieść niesie, już w 10 państwach Europy szefami resortów obrony są kobiety (Polska jak zwykle wlecze się w ogonie postępu). Wonder Woman i tak jest spóźniona. O reaktywacji amazońskiej księżniczki mówiło się już na początku wieku, lecz żaden ze scenarzystów nijak nie potrafił opowiedzieć jej historii tak, by nie popaść w mimowolną śmieszność. Rzecz jasna, konkurencja wykorzystała impotencję Warnera i zasypała ekrany seksownymi wojowniczkami. Nawet Pixar wypuścił w bój Meridę Waleczną. Dopiero wtedy ktoś poszedł po rozum do głowy i zdecydował: nakręćmy komedię!

Nie mam zbytniego nabożeństwa do superprodukcji o superbohaterach, więc na film pani Jenkins wybrałem się jak na ścięcie. I może dlatego doznałem miłego zaskoczenia. Brak powagi zadziałał jak szczepionka. Maskuje brak logiki oraz przykrywa fabularne dziury. Pozwala nawet ścierpieć profanowanie mitu starego jak ludzkość. Antyczni Grecy twierdzili, że Amazonki obcinają sobie piersi, na ekranie tego nie widać. Zamiast w dzikim stepie panie mieszkają na rajskiej wyspie. Ponoć ich zadaniem jest strzec pokoju w świecie, jednak gdy wyjdzie na jaw, że od czterech lat w Europie trwa bezprecedensowa rzeź, nie rwą się do interwencji.

Misji walki o pokój podejmuje się Diana – poliglotka, która – kiedy się skupi – potrafi rzucić czołgiem jak torbą z zakupami, a pięścią rozwalić kościelną dzwonnicę. Żeby odróżnić się od warszawskiej syrenki, oprócz tarczy i miecza używa lassa, które każdego krętacza zmusi do mówienia prawdy. Psychicznie Wonder Woman nie jest aż tak mocna. Dołuje ją odkrycie, że ludzie bywają okrutni, podli i chętnie nadstawiają ucha podszeptom Aresa (który jest tu kimś w rodzaju Lokiego – zbuntowanym synkiem najważniejszego z bogów). Złym instynktom ulegają zwłaszcza Niemcy, w osobach gen. Ludendorffa i dr Maru – wzorowanej na postaci noblisty Fritza Habera, wielkiego orędownika gazów bojowych. Diana da im popalić z niewielką pomocą ekipy, dowodzonej przez przystojnego angielskiego szpiega i sabotażystę.

Gadot, jak na byłą Miss Izraela przystało, jest ładna. W „Szybkich i wściekłych" oswoiła się z kinem wyczynowym, w „Świcie sprawiedliwości" – z estetyką komiksu. Aktorka z niej średnia, lecz – o dziwo! – z fircykowatym Pinem tworzą udany duet. Wrażenie psuje jednak patetyczny finał. Gdy w bitewnym zgiełku nie słychać, co mówią do siebie Diana i Steve, filmowcy z lubością fundują nam powtórkę dialogu w Dolby Atmos.

I cały czar pryska. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „TRANSFORMERS: OSTATNI RYCERZ"

Piąty (i ostatni, jak twierdzi reżyser) film z serii superprodukcji o gigantycznych zmiennokształtnych robotach ostatecznie wyjaśniający, dlaczego to właśnie Ziemia jest miejscem przyciągającym tak bardzo uwagę transformerów. Oprócz znanej z poprzednich części obsady na ekranie pojawiają się gościnnie sir Anthony Hopkins jako astronom i historyk Edmund Burton, który wie niemal wszystko o sekretach walecznych maszyn. ©℗ *Piotr Gociek*

- ***reż. Michael Bay „Transformers: Ostatni Rycerz" („Transformers: The Last Knight"), USA 2017, wyst. Mark Wahlberg, Josh Duhamel, Gemma Chan, Laura Haddock***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***reż. Michael Apted „Tożsamość zdrajcy" („Unlocked"), Wielka Brytania 2017***
- ***reż. Mark Cullen „Jak dogryźć mafii" („Once Upon a Time in Venice"), USA 2017***
- ***reż. Michael Dudok de Wit „Czerwony żółw" („La tortue rouge"), Belgia/Francja 2016***

eprasa.pl d2fc640a08

Zło nie przejdzie

Do tego, że Tom Cruise ma się za herosa, zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Megalomania aktora przekroczyła jednak kolejną granicę. W „Mumii" daje do zrozumienia, że – pod pewnymi warunkami – zgodziłby się zostać bogiem. Trochę to irytujące, lecz jeśli spełnienie kaprysu gwiazdora uznać za warunek sine qua non powrotu „Mumii", to może warto było tę cenę zapłacić. Wkrótce minie okrągłe sto lat od odkrycia grobu Tutenchamona, co dało początek opowieściom o klątwie, którą ściągają na siebie żądni sławy archeologowie i pazerni rabusie.

Nickowi Mortonowi bliżej do tych drugich, lecz scenarzyści dali mu multum szans na rehabilitację (o popisaniu się odwagą, pomysłowością i krzepą fizyczną nie wspominając). Jeśli dodać do tego standardowe atrakcje – w postaci insektów, burzy piaskowej, hord zombie i wybuchów (demolowania Londynu nigdy dosyć!) – jasne się staje, że „Mumia" ożyła po to, by zarobić górę pieniędzy.

★★☆☆☆☆
REŻ. ALEX KURTZMAN
„MUMIA" („THE MUMMY")
USA 2017

wyst. Tom Cruise, Sofia Boutella, Russell Crowe

Filmowi Kurtzmana brakuje jednak luzu i humoru wersji Sommersa z 1999 r. Wiecznie narzekający kumpel Nicka jest osamotniony w swych staraniach, dopisanie zaś do listy bohaterów doktora Jekylla położyło fabułę na łopatki. Obronną ręką z katastrofy wyszła jedynie wierna estetyce horroru księżniczka Ahmanet, ponętna nawet pięć tysięcy lat po śmierci. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CHŁOPIEC Z POCIĄGU

Historia niezwykła i prawdziwa – pięcioletni Saroo z centralnych Indii w wyniku fatalnego zbiegu okoliczności ląduje w Kalkucie – 1,5 tys. km od miejsca urodzenia. Uznany wkrótce za sierotę bez domu trafia do adopcji. Wychowuje go australijska rodzina z Hobart (Tasmania). Po ćwierćwieczu próbuje odnaleźć swoją dawną rodzinę. W tej historii kryje się dużo więcej, niż sugeruje powyższe streszczenie. Film debiutanta Gartha Davisa (dotąd w reklamie i w TV) przez pierwszą godzinę to sugestywny obraz życia w Indiach, w drugiej połowie zaś próba zmierzenia się z trudnymi pytaniami. Każda figura w tej opowieści to bohater tragiczny – chłopiec rozdarty między kulturami i lojalnościami; jego biologiczna matka (nigdy nie pogodziła się ze stratą), jego przybrana matka (dokonała własnych trudnych wyborów). Podkreślenie na koniec, że to prawdziwa historia, trochę jej nawet szkodzi, bo jest to kino dużo mądrzejsze niż zwykła ekranizacja bestsellera non-fiction. ©℗

★★★★★☆
REŻ. GARTH DAVIS
„LION. DROGA DO DOMU" („LION")
USA/AUSTRALIA 2016, MONOLIT

wyst. Dev Patel, Nicole Kidman, Rooney Mara, dystr. Monolit

CZAS, MIŁOŚĆ I ŚMIERĆ

Obsada gwiazdorska, ale efekt żałosny. Howard (Will Smith), właściciel agencji reklamowej, nie może dojść do siebie po śmierci córeczki. Zaniepokojeni wspólnicy najpierw próbują mu pomóc, potem – skompromitować. O co nietrudno, gdy ktoś serio pisze listy do trojga wrogów, którymi są Czas, Miłość i Śmierć. Intryga jest okrutnie naciągana, ale nie to jest w „Ukrytym pięknie" najgorsze. Film udaje dzieło naszpikowane niesłychanie ważnymi przesłaniami, ale tak naprawdę częstuje widza mrowiem banałów, przy których proza Coelho to niemal Vargas Llosa. Ostatnie 10 minut z tzw. zaskakującą puentą doprowadzi was do szału, a jedyną rzeczą wartą wzmianki z całej półtorej godziny projekcji jest krótka scena z Keirą Knightley i Edwardem Nortonem (na zimowej ulicy). Wątła to jednak sensacja: Keira odważyła się pokazać, że ma na czole zmarszczki. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★☆☆☆☆
DAVID FRANKEL
„UKRYTE PIĘKNO" („COLLATERAL BEAUTY")
USA 2016, GALAPAGOS

wyst. Will Smith, Edward Norton, Kate Winslet, Keira Knightley, Helen Mirren

GRA TYGODNIA: „DIRT 4"

Dla miłośników rajdów seria sygnowana nazwiskiem Colina McRae'a nie ma tajemnic. Kiedy 10 lat temu wydano pierwszego „Dirta", wprowadzając nieco luzu do klasycznych zmagań rajdowych, fani przyjęli takie rozwiązanie z entuzjazmem. Od tego czasu „Dirt" ewoluował i przeszedł kilka (ostrych) zakrętów. Czwarta odsłona wraca do symulacyjnych korzeni. Na plus zaskakuje dopasowany do umiejętności model jazdy, generowane proceduralnie trasy i rozbudowany tryb kariery. Niestety, rozczarowują grafika, mało trybów gry i brak licencji WRC, o którą aż się prosi. Tych, których to nie zraża, „Dirt 4" powinien urzec. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

- ***Gatunek:*** *Wyścigi*
- ***Platforma:*** *PC/XONE/PS4*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Codemasters/Techland*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *3+*

eprasa.pl d2fc640a08

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Flaga na maszt!

Jagoda Hernik-Spalińska we wstępie do recenzowanej w tym miejscu książki słusznie zauważa, że literatura i dramaturgia polska początków XXI w. w istocie zwracały się do zagranicznego czytelnika. Dodam od siebie, że był to (i często jest nadal) czytelnik niemiecki. Literatura taka, „dzieląc świat na gorszych (opisywanych) i lepszych (opisujących), nie przybliża się do zrozumienia procesów społecznych, które na naszych oczach zachodzą. Tymczasem w dramatach Jakubowskiego obraz społeczeństwa polskiego pisany był nie z pozycji bezwzględnego krytyka wyolbrzymiającego i wyśmiewającego wady społeczeństwa, w którym żyje – lecz uważnego obserwatora, który widzi, opisuje, ale też kocha to, co opisuje […]".

Jarosław Jakubowski, jeden z naszych najciekawszych dramaturgów współczesnych, na dobrą sprawę w literaturze polskiej zaistniał sztuką „Generał", wprost nawiązującą do życia, wyborów, problemów i rozterek Wojciecha Jaruzelskiego. Autor otrzymał za nią Grand Prix Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych w Gdyni w 2011 r., a pierwszy tom jego tekstów scenicznych otrzymał tytuł „Generał i inne dramaty polityczne" (2014). Wydany ostatnio drugi zbiór utworów pisanych na potrzeby teatru zatytułowany jest „Prawda i inne dramaty". Po prostu już bez polityki.

W posłowiu Jakubowski zdradza, że nosił się z zamiarem dania książce innego podtytułu: „Sztuki o końcu". Końcu czego? „Przede wszystkim koncepcji człowieka jako stworzenia na obraz i podobieństwo Boga – odpowiada autor. – Widać wyraźnie, że w kręgu cywilizacji zachodniej, demoliberalnej czy też postchrześcijańskiej wyparł tę koncepcję pomysł, aby »wyzwolić« człowieka z wszelkich ograniczeń wynikających z religii. Sądząc po działaniach zwolenników owego »postępu«, dopiero taki człowiek może osiągnąć pełnię szczęścia. To oczywiście utopia […]".

Jarosław Jakubowski FOT. JAKUB SZYMCZUK/FORUM

Dramaturg opowiada też o Polsce i polskości, spierając się o nią, wadząc. Wcale nie jest przy tym jednoznaczny, może dlatego, że – jak deklaruje – z tego, co napisał Gombrowicz, najbliższe jest mu zdanie z „Trans-Atlantyku": „Nie jestem ja na tyle szalonym, żebym w Dzisiejszych Czasach co mniemał albo i nie mniemał". A w „Soni" pisze: „[…] nasz syn miał wiele pasji, ale największą z nich było rysowanie flag państwowych. Próbowałem go przekonać, że najpiękniejsza jest biało-czerwona, czyli nasza, polska i że nie ma na całym świecie ładniejszej flagi, bo nasza jest po prostu najładniejsza. Ale on wolał flagi Seszeli albo Czadu, albo nawet San Marino. Zamierzałem popracować nad tym, ale trochę było to trudne, bo żona z synem przebywali na Wyspach, które miały jakąś dziwną flagę z kilkoma przecinającymi się prostymi, które wyglądały zupełnie jak skrzyżowanie, na którym nie wiadomo kto ma pierwszeństwo".

Bohater „Soni" w swoich – no, powiedzmy, że raczej prostackich – rozważaniach dochodzi do takiego wniosku: „Otóż my Polacy potrzebujemy Króla […]. Bo Król to jest ojciec. Mieliśmy swojego ojca, ale dnia 2 kwietnia roku pamiętnego odszedł i odtąd zostaliśmy sierotami. Nie ma kto nas ostrzegać przed złem, ode złego bronić, a kiedy trzeba – skarcić po ojcowsku". I zaraz potem mamy następujący dialog:

„– Byłam kiedyś na papieżu – stwierdziła Sonia. – Z koleżanką.

– Ja nie byłem nigdy na papieżu. Na koleżance owszem – odparłem i parsknąłem śmiechem".

Zanim podrzemy obrazoburczą książkę na drobne kawałki, przeczytajmy następne zdanie: „To nie było na poziomie, ale nic nie potrafię poradzić, że kiedy robi się już tak naprawdę miło i na poziomie, ja muszę palnąć coś tak dennego".

Ta samokrytyka nie zmienia faktu, że Jarosław Jakubowski nie cenzuruje siebie samego i niezależnie od tego, że naszym milusińskim salonowcom daje do wiwatu, wyszydzając wszelkie poprawnościowe bzdury, także do chóralnych śpiewów nabożnisiów się nie przyłącza. Symptomatyczny pod tym względem jest wręcz brawurowy tekst „Licheń story". Nawiasem mówiąc, ta ostatnia to jedna z trzech sztuk z nowego tomu dramatów Jakubowskiego – obok „Człowieka, który nie umiał odejść" i tytułowej „Prawdy" – która trafiła na deski teatrów. Pozostałe osiem ma to dopiero przed sobą, a są wśród nich bardzo ciekawe „Znaki" i „Beatlesi. Zaginiona piosenka".

„Nie wymyślam niczego nowego – stwierdza autor – a jednak mam wrażenie, że to, co proponuję, na tle obecnego krajobrazu teatralnego jest czymś bez mała skandalicznym". Tak właśnie jest, ale to skandal bardzo potrzebny i pogrążonemu w totalnej zapaści teatrowi, i całej polskiej kulturze. ©℗

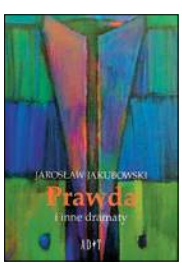

★★★★★☆

JAROSŁAW JAKUBOWSKI „PRAWDA I INNE DRAMATY"
AGENCJA DRAMATU I TEATRU, WARSZAWA 2017

eprasa.pl d2fc640a08

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Jak zmądrzeć na chwilę

Wszyscy lubią takie książki – na stoliku nocnym wyglądają mądrze, czyta się je z dużym zainteresowaniem, no i jest potem o czym porozmawiać ze znajomymi. O ile będziemy następnego dnia pamiętać, czego się dowiedzieliśmy. Z poradnikami psychologicznymi jest bowiem tak jak z książkami o dietach. Dowiadujemy się z nich masy przydatnych rzeczy, które wylatują nam z głowy na widok najbliższej pizzerii lub na dźwięk ciocinego zdania: „Zawsze tak ci smakował ten serniczek, weź jeszcze kawałek".

Autorzy są profesorami szanowanych uniwersytetów, a swoją pracę poświęcili przystępnemu objaśnieniu najistotniejszych odkryć psychologii społecznej. Zatem – jak wybiórczo szukamy argumentów, bo zamiast zmienić zdanie, wolimy utwierdzać się w raz powziętym przekonaniu. Jak łatwo nami manipulować, przedstawiając te same dane, ale w różny sposób. Jak łatwo dajemy się zwieść najbardziej rozpowszechnionym obiegowym opiniom. Jak padamy ofiarą naiwnego realizmu, zakładając, że nasze doświadczenie i nasze zdanie jest oczywiście tym, co podzielają inni.

Jest to też opowieść o rozmaitych manipulacjach i trickach stosowanych przez tych, którzy osiągnięcia psychologii wykorzystują dla własnej korzyści. Zatem oczywiście specach od reklamy i politykach. Choćby przykład Roosevelta „sprzedającego" pomysł ubezpieczeń społecznych. Ponieważ mało kto chciałby się zgodzić na altruistyczny pomysł „podziel się swoją wypłatą, żeby rząd miał z czego dać emerytury tym, którzy już nie pracują", ów amerykański polityk ubrał to w opowieść o „indywidualnych kontach emerytalnych", na których zbieramy pieniądze, by sfinansować własne życie na starość. Oczywiście to bzdura, żadne „nasze konta" fizycznie nie istnieją, wszystko, co jest od nas pobierane, zostaje natychmiast wydane na bieżące potrzeby. Jednak takie przedstawienie problemu pozwoliło przekonać do niego Amerykanów (a potem i resztę świata).

Warto przeczytać tę książkę dla własnego pożytku, choć ma na koniec feler. Autorzy wytykający innym ideologiczne zaślepienie sami wykazują podobną ułomność, opisując problem globalnego ocieplenia. Gdy gorąco przekonują, że istnieje i trzeba z nim walczyć, wygodnie nie dostrzegają kontrargumentu: a jeśli to dzięki temu nie ma epoki lodowcowej? Psychologu, lecz się sam. ©℗

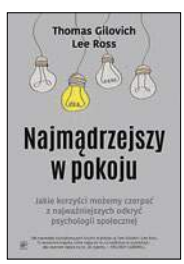

★★★★★★

THOMAS GILOVICH, LEE ROSS „NAJMĄDRZEJSZY W POKOJU" SMAK SŁOWA 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Nowa książka znanego dziennikarza sportowego od wielu lat nie tylko kibicującego polskiej piłkarskiej reprezentacji, lecz także opisującego sekrety szatni, trenerów i działaczy. Bogato ilustrowana.

ROMAN KOŁTOŃ „OD EURO DO MUNDIALU. PRAWDA O REPREZENTACJI" ZYSK I S-KA

Wykład jasny i prosty, nieskażony polityczną poprawnością. Wznowienie jednego z najpopularniejszych podręczników z czasów Polski międzywojennej. Jego autor zmarł w 1943 r. w niemieckim obozie na Majdanku.

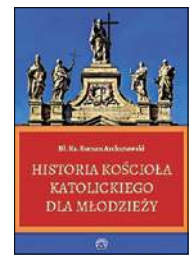

BŁ. KS. ROMAN ARCHUTOWSKI „HISTORIA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO DLA MŁODZIEŻY" PROHIBITA

Bibi Blair ma raka mózgu i wkrótce umrze. Jej niespodziewane ozdrowienie to dopiero pierwszy z zadziwiających elementów tej historii. Została ocalona, by uratować tajemniczą Ashley Bell. Jednak kto to jest i jakie siły zostały uruchomione?

DEAN KOONTZ „POSZUKIWANA" REPLIKA

„Poezja i miłość Mariny Cwietajewej", czyli kolejna po opowieści o Annie Achmatowej udana książka warszawskiej poetki i pisarki. Intrygujące skrzyżowanie eseju literackiego i biografii. ©℗

poleca Piotr Gociek

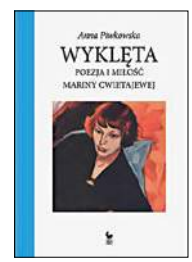

ANNA PIWKOWSKA „WYKLĘTA" ISKRY

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Marta Dymek „Nowa jadłonomia" (Marginesy) – roślinne przepisy z całego świata. Nowa książka specjalistki od kuchni wegańskiej i wegetariańskiej.***
2. ***Richard Hill-Whittal „Indie games. Podręcznik niezależnego twórcy gier" (Merlin Publishing) – projektowanie, finansowanie, dystrybucja. I dodatek o polskich grach.***
3. ***Peter Wohlleben „Sekretne życie drzew" (Otwarte) – jak krzewić wiedzę, czyli Wohlleben robi dla lasu to, co Jürgen Thorwald zrobił dla chirurgów.***
4. ***Sean Covey „7 nawyków szczęśliwego dziecka" (Znak Emotikon) – nauka przez czytanie i przykłady, czyli opowiadania inspirujące dzieci do pracy nad sobą.***
5. ***Małgorzata Barańska, Stefan Gąsieniec „Piosenki dla ciekawych świata" (GW Harmonia) – książeczka plus CD, propozycja dla klas I–III.***

(Najchętniej kupowane pozycje w sklepie internetowym Merlin.pl)

eprasa.pl d2fc640a08

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Garden party z Garbarkiem

Jan Garbarek z zespołem podczas koncertu na Białołęce FOT. MICHAŁ RADOCHOŃSKI

Zniedowierzaniem przyjąłem wiadomość, że Jan Garbarek zagra w Białołęckim Ośrodku Kultury. Pojawiają się tam wprawdzie największe gwiazdy, ale pamiętając tłumy na recitalu Adama Struga, zastanawiałem się, czy to odpowiednia sala i co z biletami. Sprawa wydała się jeszcze bardziej podejrzana, gdy okazało się, że na koncert wstęp jest wolny.

Szybko jednak rozwiązałem zagadkę. Koncert Garbarka zaplanowano w plenerze obok ośrodka w ramach obchodów 20-lecia placówki. Prawdziwe zaskoczenie przeżyłem już na miejscu. Urodziny w plenerze nie miały nic ze stadionowych spędów. Raczej było to klimatyczne party wśród monumentalnych topoli, gdzie na wypielęgnowanym trawniku usadowiliśmy się na leżakach i kocach. I teraz dopiero w tę scenerię należy wpisać dźwięki saksofonów lidera, koncertowego fortepianu, Rainera Brüninghausa, bogatego arsenału perkusyjnego hinduskiego bębnisty Triloka Gurtu i gitary basowej Yuri Daniela. Na płytach Garbarka wychowały się pokolenia, stąd trudność ułożenia programu polega pewnie na tym, z czego zrezygnować, a nie co zagrać. A nawet gdy pojawiał się mniej znany kawałek, rozwibrowany, mięsisty ton saksofonu tenorowego, a w innych miejscach szlachetny dźwięk sopranu są tak charakterystyczne dla mistrza, że cokolwiek zagra, brzmi znajomo, bo jest w tym 100 proc. Garbarka.

O takich artystach mówimy, że są klasą samą w sobie. Lider pozwolił docenić też towarzyszących mu muzyków i były to znakomicie skonstruowane minirecitale. Zapamiętam piękne solo pianisty – od klasycznych, dość oszczędnych pasażowych struktur przez narastające ragtime'owe przebiegi, jakby z Errolla Garnera, do totalnego akordowego grania z mocą McCoya Tynera. Po dwóch godzinach rozpoczął się bis, a artyści wcale nie mieli zamiaru schodzić ze sceny, przedłużając spotkanie, celebrując leniwie urok i atmosferę miejsca oraz miasta, w którym masowa plenerowa impreza może przebiegać spokojnie, bez szturmowych oddziałów prewencji i kordonów antyterrorystów. ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Płyta do czytania

Wydany przed 24 laty „Tata Kazika", osiągając ponad 600-tysięczny nakład, wywindował Kult do rockowej pierwszej ligi. Po części drugiej wyszła płyta z archiwalnymi nagraniami Staszewskiego seniora, a w 1997 r. Kazik zaśpiewał w „12 groszach": „Niedługo przyjdzie pora… Tata Kazika kontra Hedora". Czekaliśmy na to 20 lat.

Po drodze ukazała się biografia Taty i zbiór jego tekstów poetyckich – „Samotni ludzie" – który przygotował Przemek Lembicz z Kwartetu ProForma, więc powstanie trzeciej części było nieuniknione. Muzykę skomponował poznański kwartet, gdyż do wykorzystania zostały jedynie wiersze. Efekt? Nowego „Baranka" ani „Celiny" nie da się wykroić, ale całość broni się bezwzględnie.

To przede wszystkim płyta literacka. Teksty o nieudacznikach szukających szczęścia, mimo zmiany realiów utrudniających chwilami zrozumienie kontekstów, sprawiają, że rozczulona dusza sama sięga po kieliszek. Jak nikt inny Staszewski umiał pisać o bólu życia. A muzycznie? Udział Kwartetu ProForma dawał nadzieję na przełom, a tu aranżacje są „kultowo" przewidywalne. Dlatego w połowie album „siada". Na szczęście kończące album „Nie dali ojce" i „Nic nie słyszę" w interpretacji Kazika rozkładają na łopatki, a i muzycznie są najlepsze.

„Pod słońcem neonów uczą nas żyć / przed nocy powodzią umiemy kryć / skarlałych pożądań niepełny kształt / w fortecach knajp, w pancerzach aut". ©℗

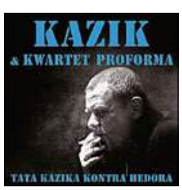

★★★★★☆
KAZIK & KWARTET PROFORMA
„TATA KAZIKA KONTRA HEDORA"
SP RECORDS

★★★★☆☆
ZŁE PSY
„DUMA"
POLSKIE RADIO

Weterani pod wodzą Andrzeja Nowaka (TSA) nagrali patriotyczną płytę o potężnym rockowym brzmieniu wzmocnionym sekcją dętą. Są wypowiedzi Starzyńskiego, Andersa, Jana Pawła II i przeróbka „Rozkwitały pąki białych róż". ©℗

★★★★☆☆
NEW CAGE
„WSZYSTKO JUTRO"
LADO ABC

Rodzimy duet mieszany przerobił piosenki z repertuaru Johnny'ego Casha, do których dołożył cztery własne kompozycje. Zmysłowy żeński wokal, duszny klimat, brudne dźwięki – jakby to było żywcem wyjęte z soundtracku do „Twin Peaks". ©℗

eprasa.pl d2fc640a08

II EDYCJA KONKURSU,

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

100 % polski produkt

**ZGŁOŚ PRODUKT NA
POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL**

ORGANIZATOR: PMPG POLSKIE MEDIA SA, DO RZECZY

PARTNER MERYTORYCZNY: pwc

PARTNERZY: ALIOR BANK, asseco, ORLEN, Enea, Paged COLLECTION, pesa Bydgoszcz SA, PHN, URSUS, CEDROB

eprasa.pl d2fc640a08

Piotr Gociek

Przystawka

Nowoczesna wkracza na tę samą drogę, która wyprowadziła z parlamentu jej niesławnego poprzednika – Ruch Palikota

Na kogo wkurzony jest dziś Ryszard Petru? Na pewno na Grzegorza Schetynę, który dziś jest liderem opozycji i odebrał szefowi Nowoczesnej szarfę przechodnią z napisem: „Potencjalny przyszły premier". Na pewno na Jarosława Kaczyńskiego – uzasadnienie niepotrzebne. Pewnie też na dziennikarzy, których wciąż najbardziej interesują relacje Petru z poseł Joanną Schmidt. Jednak czy można się im dziwić? Kiedy ostatnio w życiu i karierze szefa Nowoczesnej zdarzyło się coś równie ciekawego? Najbardziej wkurzony powinien być jednak na to, że musi zaczynać wszystko od początku.

DWIE SCENY

Porównajmy dwie sceny. Rok 2015, 31 maja, spotkanie założycielskie stowarzyszenia Nowoczesna. Na warszawskim Torwarze kilka tysięcy ludzi, którzy w zdecydowanej większości nie mają wiele wspólnego z polityką (co nie znaczy, że nie mają politycznych, głównie antypisowskich poglądów). Imprezę prowadzi eventowiec i dziennikarz Paweł Rabiej, nieznany szerszej publice. Na scenie Ryszard Petru, w powietrzu wiele haseł o zmianie, o tym, że trzeba przywrócić ludziom politykę, walczyć z biurokracją, promować przedsiębiorczość. Jest i wkurzenie – na Pawła Kukiza, na Andrzeja Dudę, który kilka dni wcześniej wygrał wybory prezydenckie. „Człowiekiem wkurzonym" określa się także przed kamerami Ryszard Petru. Polski kandydat na lidera oburzonych. Czyli – Polsko, czas na zmiany.

I obrazek drugi – rok 2017, Arena Ursynów, konwencja programowa już nie stowarzyszenia, lecz partii Nowoczesna. Także przemawia Ryszard Petru, ale publiczność już inna – przede wszystkim działacze partii ze wszystkich 17 regionów, oprócz tego klub parlamentarny Nowoczesnej (Petru dopiero co zrezygnował z kierowania nim). No i po konwencji programowej także posiedzenie władz partii. Jak relacjonowała „Wyborcza", „posłowie przyznawali, że za bardzo skupili się na byciu anty-PiS-em, za mało zaś pokazywali propozycji programowych", co do lidera to „seria wpadek kosztowała Nowoczesną spadek w sondażach do poziomu progu wyborczego", a impreza „miała być okazją do sondażowego odbicia i »nowego otwarcia«, o którym w partii mówi się od kilku tygodni. Tylko organizator był ten sam – Paweł Rabiej (dziś kandydat na prezydenta Warszawy), któremu na przygotowanie całej konwencji musiało wystarczyć 10 dni.

„Nowe otwarcie", „spadek w sondażach" – Nowoczesną czeka mozolna próba odbudowania pozycji, ale przecież nie jest łatwo przekonać do siebie kogoś, kto raz się na nas zawiódł. Partia Ryszarda Petru roztrwoniła kapitał, z którym wchodziła jesienią 2015 r. do polskiego Sejmu. Inna sprawa, jak wiele go tak naprawdę miała. Myślę, że w sondaże dające Nowoczesnej pozycję lidera i poparcie na wysokości dwudziestu kilku procent nie wierzyli ani ci, którzy je zamawiali, ani ci, którzy w nich wygrywali. Jednak na pewno dziś w szeregach tego ugrupowania widać zaniepokojenie i rozczarowanie (stąd choćby odejście grupy posłów do PO).

Jedynym prawdziwym sondażem jest wynik w wyborach. Tutaj twarde dane są

eprasa.pl d2fc640a08

albo niebyt

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

jasne: Nowoczesna zdobyła jesienią 2015 r. 7,6 proc. głosów – ponad trzy razy mniej niż Platforma (24 proc.). Czy dzisiejszy dołek sondażowy (poparcie od 4 do 8–9 proc.) to zatem katastrofa, czy jedynie urealnienie siły Nowoczesnej? Partii, która przez minione półtora roku była ewidentnie przeszacowywana – chyba najbardziej przez niektóre media widzące w Petru „nowego Tuska".

ODWRÓCONY PALIKOT

Z tego puntu widzenia wiele od jesieni 2015 do wiosny 2017 r. musiało się zmienić, żeby wszystko zostało po staremu. Główną siłą opozycyjną wobec PiS jest Platforma Obywatelska, Nowoczesna zaś pozostaje maluchem próbującym wepchnąć się między mocarzy. To, co zaobserwowaliśmy podczas ostatniej konwencji programowej, pokazuje jednak, że partia Petru próbuje szukać nowej drogi do serc wyborców. Na spotkaniu założycielskim dwa lata temu eksponowano hasła gospodarcze, były utyskiwania na urzędników, żądania likwidacji ZUS, wspierania przedsiębiorców i oddania sterów kraju w ręce fachowców, a nie polityków. Sprawy światopoglądowe pozostawały głęboko ukryte. Tak było również podczas kolejnych konwencji Nowoczesnej w roku 2015 (już jako partii) – programowej i wyborczej. W wywiadach, których udzielał Petru, kwestie światopoglądowe zajmowały bardzo niewiele miejsca, odpowiedzi trzeba było mozolnie wydobywać z szeregowych posłów, którzy bywali bardziej spontaniczni w odpowiedziach.

Pisałem w książce „POgrobowcy. Po co partii Petru Polska" (2016), że choć w bardzo wielu miejscach Nowoczesna przypomina Ruch Palikota, to różni ją przede wszystkim eksponowanie innych akcentów. Palikot wypłynął nie tylko na chamstwie i brutalnych atakach na

eprasa.pl d2fc640a08

braci Kaczyńskich. Również na głośno manifestowanym antyklerykalizmie, liberalizacji prawa aborcyjnego, wsparciu dla małżeństw homoseksualnych i transseksualistów, legalizacji miękkich narkotyków itd. W programie i praktyce jego ruchu było też sporo o gospodarce (wraz z wołaniem o „przyjazne państwo"), ale te kwestie pozostawały w cieniu. Nowoczesna czyniła odwrotnie, choć koktajl poglądów serwuje podobny.

To, co działo się podczas ostatniej konwencji Nowoczesnej, pokazuje, że nadchodzą nowe czasy. Proszę mi wybaczyć jeszcze jeden cytat z „Wyborczej": „Nowoczesna postawiła też – jak wcześniej zapowiadała – na sprawy światopoglądowe, wykorzystując niezdecydowanie i konserwatyzm Platformy Obywatelskiej. Zapowiedziała: wprowadzenie związków partnerskich, likwidację klauzuli sumienia, Funduszu Kościelnego i finansowania religii z budżetu państwa, wprowadzenie edukacji seksualnej w szkole podstawowej. Joanna Scheuring-Wielgus zapowiedziała również nową ustawę o planowaniu rodziny. Żeby podkreślić te różnice, na konwencji wyświetlono film »Artykuł osiemnasty«, którego autorzy nakreślają problem braku możliwości sformalizowania związków osób tej samej płci".

Nowoczesna będzie więc chciała obejść Platformę od lewej strony hasłami światopoglądowymi, a w sprawach gospodarczych pokazać, kto tu jest prawdziwym liberałem. Grzegorz Schetyna ułatwił jej to zadanie, wchodząc w licytację z PiS, kto ma serce bardziej po lewej stronie, i opowiadając o potrzebie rozszerzenia programu „500+", wyrównywania szans, pomocy emerytom itp. Ta strategia jest o tyle zrozumiała, że duża partia poważnie myśląca o przejęciu władzy musi prezentować wiele rozmaitych twarzy dla rozmaitych grup wyborców, a także starać się zneutralizować przewagi głównego przeciwnika, wytrącając mu z rąk najważniejsze argumenty. Na ile to wiarygodne deklaracje, to już zupełnie inna sprawa, zresztą PO wiele już takich zakrętów przechodziła i rozmaite maski zakładała.

Nowoczesna po stratach wizerunkowych i utracie poparcia w ciągu minionego roku musiała porzucić narrację o „głównej sile opozycji", nikt też już nie wierzy, że to Ryszard Petru jest przyszłym premierem. Politycy Nowoczesnej w wywiadach deklarują, że sukcesem byłoby osiągnięcie w sondażach stabilnego poparcia na wysokości 15 proc. Sądzę, że i tu robią trochę dobrą minę do złej gry. Tak naprawdę Nowoczesna powinna być zadowolona, jeśli taka sztuka uda się na poziomie 10 proc. Będzie zatem grała w jednej lidze nie z PO, lecz z próbującą się odbudować lewicą starą (już nie koalicją Zjednoczona Lewica, tylko po prostu Sojuszem Lewicy Demokratycznej) oraz nową, czyli Partią Razem i jej ewentualnymi sojusznikami.

Będzie to zatem walka nie o pierwsze miejsce w Sejmie, lecz o wejście na podium – na razie bowiem trzecią siłą polskiej polityki pozostaje Ruch Kukiz'15, od dłuższego czasu regularnie notujący wyższe poparcie od Nowoczesnej. Tutaj pojawia się problem, bo choć na konwencji Nowoczesnej Petru atakował PO i zrównywał ją z PiS w haśle o „szkodliwym duopolu" rządzącym polską polityką, to był w tych hasłach mało wiarygodny. Dużo mniej wiarygodny od Pawła Kukiza i jego posłów, którzy przecież nie dali się wkręcić w szopki Komitetu Obrony Demonstracji i marsze niby dla wolności, a tak naprawdę za powrotem status quo, który wyborcy masowo w roku 2015 odrzucili.

Nowoczesna dołączyła do ugrupowań, których nie tylko przyszłość, lecz także w ogóle istnienie wisi na włosku cienkim jak kartka wyborcza

Partia Ryszarda Petru znalazła się więc w pułapce. Jeśli zbyt mocno będzie atakować PO, to zostanie oskarżona o działanie na rzecz PiS. Jeśli za bardzo będzie akcentować radykalizm obyczajowy, to odetnie sobie drogę do odebrania PO bardziej umiarkowanych wyborców. Jednocześnie antyklerykalizm i gloryfikacja środowisk LGBT nie pomogą jej w walce z tzw. nową lewicą, dla której Petru i jego sojusznicy to banksterzy oraz neoliberałowie. Jeśli skoncentruje się jedynie na kwestiach gospodarczych jako „ludzka twarz" Leszka Balcerowicza i jego akolitów, to skazuje się na niewielką niszę na polskiej scenie politycznej. Popyt na taką ofertę jest bowiem niewielki.

Gdy ustępuje efekt nowości, każda nowa partia mierzy się z codziennością polskiej polityki, a ta mimo rozmaitych wstrząsów i zakrętów jest od kilkunastu już lat dość stabilna. Dwa wielkie bloki sprawują na zmianę władzę i zwalczają się nawzajem. Wszystkie drobniejsze ugrupowania, które próbowały znaleźć sobie miejsce pomiędzy PiS a PO po roku 2005 (zarówno nowo założone, jak i istniejące wcześniej), kończyły albo jako przystawki dużych partnerów, albo po prostu w niebycie. Samoobrona i Liga Polskich Rodzin zniknęły. Ruch Palikota zniknął. SLD i PSL balansują na krawędzi progu wyborczego. Jedynym politykiem spoza PO-PiS, który realnie wpłynął w tym czasie na kształt sceny politycznej, okazał się Paweł Kukiz, bez którego wybory prezydenckie w roku 2015 miałyby zupełnie inny przebieg.

WALKA O BYT

Nowoczesna dołączyła do ugrupowań, których nie tylko przyszłość, ale w ogóle istnienie wisi na włosku cienkim jak kartka wyborcza, a kalendarz jest wyjątkowo trudny. Najbliższy sprawdzian to wybory samorządowe, w których najprawdopodobniej kandydaci Nowoczesnej nie będą się specjalnie liczyć. Możliwe są wyjątki, jeśli w poszczególnych miastach o prezydentury będą walczyć politycy naprawdę rozpoznawalni, ale ilu ich tak naprawdę ma Nowoczesna? Szansą na odrobienie strat będą odbywające się latem 2019 r. wybory do Parlamentu Europejskiego. Tutaj niska frekwencja może pomóc mniejszym partiom o niedużym, lecz wiernym elektoracie, czego dowodzi obecność w europarlamencie Janusza Korwin-Mikkego i trzech innych posłów wprowadzonych tam z list Kongresu Nowej Prawicy. Pytanie, czy elektorat partii Petru będzie w latem 2019 r. zdyscyplinowany czy zdemoralizowany.

Zatem: już nie nowa jakość, już nie cudotwórca, już nie lider opozycji, już nie przyszły premier – Ryszard Petru dziś staje przed wyborem skromniejszym: przystawka albo niebyt. Część działaczy Nowoczesnej już to zrozumiała, stąd ich exodus do Platformy. Kalkulacja jest oczywista – lepiej już teraz znaleźć się w silniejszym obozie, bo potem może być różnie. Co do samego Petru – wielkie ambicje i przerośnięte ego przydają się w polityce, bo wyborcy lubią ludzi o cechach zwycięzców. Jednak jeśli owa ambicja i ego to jedyne, co ma się im do zaoferowania, to prędzej czy później kończy się tam, gdzie Radek Sikorski, Roman Giertych czy Janusz Palikot.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d2fc640a08

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.
Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

V EDYCJA
NIEZWYKŁEJ NAGRODY

PARTNERZY STRATEGICZNI:

ORLEN

Energa

PARTNER GŁÓWNY:

PGNiG

PARTNER WYDARZENIA:

LOTTO

MECENAS:

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

WIĘCEJ INFORMACJI NA
www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/

eprasa.pl d2fc640a08

Mikołaj Drozdowicz

Gorsi od nieuczciwych sędziów są tylko ci, którzy dążą do zostania celebrytami w togach. Powodów kryzysu wizerunku wymiaru sprawiedliwości jest więcej

Błąd systemu

Od pewnego czasu atmosfera wokół wymiaru sprawiedliwości jest bardzo gorąca. Informacje o kolejnych zatrzymaniach sędziów przyłapanych na zwykłych kradzieżach słusznie wywołują powszechne zgorszenie. Podobnie mogą bulwersować przypadki niezrozumiałych czy wręcz szkodliwych orzeczeń, które w oczywisty sposób uderzają w bezpieczeństwo publiczne lub są przyczyną ludzkiej krzywdy.

Prawda jest taka, że gorszy od nieuczciwego sędziego jest tylko sędzia widowiskowy, który traktuje swoją funkcję jako pretekst do wygłaszania urbi et orbi osobliwych manifestów, pouczania całego świata czy budowania własnej popularności. Sami sędziowie wysoko zawiesili poprzeczkę, mówiąc o sobie jako o „nadzwyczajnej kaście ludzi". Jednakże sprowadzanie problemu do odosobnionych przypadków skandalicznych działań sądów czy niezbyt przemyślanych wypowiedzi sędziowskich niewiele wnosi do poważnej dyskusji. Jest też dalece niesprawiedliwe wobec stygmatyzowanych w ten sposób sędziów, spośród których przecież zdecydowana większość nie kradnie, nie miesza się do polityki ani nie wypowiada publicznie głupot. Nie oznacza to, że z polskimi sądami jest wszystko w porządku. Fatalne oceny wymiaru sprawiedliwości w badaniach opinii publicznej mają swoje konkretne przyczyny, które jednak w większości przypadków pozostają niewarte relacji prasowych.

GRZECHY TRZECIEJ WŁADZY

Autorytet sądów najbardziej upada podczas oczekiwania na opóźnioną rozprawę lub doręczenia uzasadnienia wyroku, które przychodzi czasem po kilku miesiącach od złożenia wniosku.

Niedawno znajomy notariusz opowiadał mi o tym, jak wezwany w charakterze świadka stawił się w wyznaczonym terminie w sądzie odległym o kilkadziesiąt kilometrów od siedziby swojej kancelarii tylko po to, aby się dowiedzieć, że rozprawa została odwołana. Nikt nie raczył go o tym poinformować, chociaż telefon notariusza jest ogólnie dostępny w Internecie. Kosztów przejazdu i utraconego zarobku sąd oczywiście nie zwrócił. Tego rodzaju postępowanie wiąże się z upokorzeniem obywatela przez bezkarną w jego ocenie trzecią władzę.

Innym problemem jest trudność w uzyskaniu w sądzie informacji. W ostatnich latach w sądach powstały biura obsługi interesanta i czytelnie akt. W założeniu chodziło o to, aby usprawnić kontakt z petentami oraz pracę sekretariatów. W praktyce jednak oznacza to potworne utrudnienia. Biura obsługi interesantów udzielają jedynie podstawowych informacji, gdyż pracują w nich ludzie, którzy nie mają bezpośredniej styczności ze sprawami.

W wielu sądach obowiązuje idiotyczna praktyka polegająca na odmowie udzielania informacji o zapadłym wyroku drogą telefoniczną. Oczywiście strona lub jej pełnomocnik mogą sobie do sądu przyjść, aby przejrzeć akta. Może się jednak okazać, że akt akurat w sądzie nie ma, bo sędzia zabrał je do domu, by napisać uzasadnienie. Poza tym trudno wymagać, aby adwokat czy radca prawny ze Szczecina jechał do sądu w Krośnie tylko po to, aby ustalić treść orzeczenia. Co prawda działa system informatyczny, który – po zalogowaniu się – pozwala uzyskać informacje, ale dane często wprowadzane są z wielodniowym opóźnieniem. W odróżnieniu od terminów instrukcyjnych przewidzianych dla sędziów te dotyczące stron lub ich pełnomocników obowiązują naprawdę.

Przykładem podejścia do obywatela w polskich sądach jest zbudowana niedawno nowa siedziba Sądu Okrę-

eprasa.pl d2fc640a08

FOT. FOTOLIA

gowego w Poznaniu. Nowoczesny obiekt wyposażono w zamki szyfrowe uniemożliwiające swobodny dostęp do sędziów i ich sekretariatów. Na sale rozpraw sędziowie zmierzają „prywatnymi" korytarzami wykluczającymi zetknięcie się z petentami.

Przed salami rozpraw umieszczono elektroniczne wokandy, z których jednak trudno szybko się czegoś dowiedzieć, gdyż poszczególne strony wyświetlają się co kilkadziesiąt sekund. Działa nawet całkiem niezły bufet. Wszystko, jak to w sądzie, sprawia wzniosłe i straszne zarazem wrażenie.

Tyle że nikt nie pomyślał o tym, aby przed sądem lub w jego okolicy zorganizować parking dla zwykłych ludzi szukających sprawiedliwości. Przyjezdny, zanim niczym współczesny Józef K. dostanie się w tryby machiny sądowej, musi najpierw zaparkować gdzieś samochód. Jeżeli już znajdzie miejsce, a rozprawa będzie miała opóźnienie, to z pewnością zapłaci mandat za przekroczony czas parkowania, chyba że przezornie uiści opłatę parkingową za cały dzień.

Odrębną sprawą jest kontakt z sędziami. W praktyce jest on wykluczony. Zwykły obywatel może oczywiście udać się do przewodniczącego wydziału lub prezesa sądu na dyżur. Zazwyczaj trzeba się umawiać z dużym wyprzedzeniem. Może się oczywiście zdarzyć, że umówiony petent odejdzie z kwitkiem, gdyż akurat wypadło szkolenie i przewodniczący na dyżur nie dotarł.

W polskich realiach sceny znane z amerykańskich filmów, gdy adwokaci w obecności sędziego na nieformalnym spotkaniu ustalają szczegóły pozwalające usprawnić załatwienie sprawy, są niespotykane, mimo że procedury tego nie zabraniają.

Zapewne jednym z powodów ograniczających bezpośredni kontakt z sędziami jest obawa o korupcję czy choćby fraternizację. Jednakże w sądach co roku wywieszane są plakaty informujące o oficjalnych meczach piłkarskich adwokaci vs. sędziowie. O tym, co się dzieje po końcowym gwizdku,w środowiskach prawniczych krążą pikantne legendy.

Przewlekłość spraw tłumaczona jest zazwyczaj obciążeniem sądów, zbyt małą liczbą sędziów lub wadliwymi procedurami. To wygodny dla sędziów mit. W rzeczywistości liczba spraw w sądach oraz liczba sędziów przypadających na jednego obywatela mieszczą się w średniej europejskiej. Po licznych reformach polskie procedury stanowią natomiast całkiem niezłe narzędzia pozwalające na sprawne załatwianie większości spraw. Największe opóźnienia powstają w sprawach cywilnych.

Zgodnie z art. 6 § 1 Kodeksu postępowania cywilnego sąd powinien przeciwdziałać przewlekaniu postępowania i dążyć do tego, aby rozstrzygnięcie nastąpiło na pierwszym posiedzeniu, jeżeli jest to możliwe bez szkody dla wyjaśnienia sprawy. Nie jest to pobożne życzenie. Przepisy pozwalają na skoncentrowanie materiału procesowego przed pierwszą rozprawą. Sąd może nie tylko zażądać odpowiedzi na pozew, lecz także wymiany dalszych pism między stronami w celu rozstrzygnięcia kwestii spornych oraz zgromadzenia dowodów.

Na posiedzeniach niejawnych sąd może wydawać zarządzenia i postanowienia przygotowujące oraz usprawniające przebieg rozprawy. Może m.in. wezwać na pierwszą rozprawę wszystkich świadków, zażądać okazania dokumentów, a nawet zamówić opinię biegłego.

Dopuszczalne jest wyznaczanie rozpraw kaskadowo, ustalając z góry kilka terminów w krótkich odstępach czasu. Nawet jeśli na pierwszą rozprawę trzeba będzie poczekać, to strony i ich pełnomocnicy mają pewność, że proces nie będzie się ciągnął w nieskończoność. Tego rodzaju planowanie i zarządzanie czasem pracy w polskich sądach to rzadkość. Zdarza się natomiast, że na pierwszej rozprawie sędzia dyskretnie czyta akta, próbując zorientować się, o co właściwie chodzi.

KONIECZNA REFORMA

Największym grzechem polskich sądów nie jest bowiem nieuczciwość sędziów, lecz powszechna dezynwoltura. Na fatalny wizerunek sądów w największym stopniu składają się nie tyle patologiczne przypadki współczesnych „zbrodni sądowych" czy skandale relacjonowane przez media, ile mnóstwo drobnych źle funkcjonujących elementów systemu. Dlatego też reforma wymiaru sprawiedliwości jest nieuchronna. Pomysłów na usprawnienie jest zapewne wiele. Wszystkie one na końcu sprowadzają się do zagadnienia, jak wyegzekwować stosowanie wprowadzonych rozwiązań od sędziów bez uszczerbku dla ich niezawisłości oraz niezależności sądów.

Być może rozwiązaniem byłaby parametryzacja pracy sądów. Wymagałoby to szczegółowego ustalenia kryteriów załatwiania poszczególnych czynności przez sędziów i ich sekretariaty, z uwzględnieniem marginesu na sprawy wyjątkowe i nietypowe. W takim przypadku to równie niezawisły system informatyczny oceniałby efektywność i rzetelność pracy sędziów. Jednocześnie system pozwalałby na elastyczne zarządzanie czasem pracy oraz dbał o równomierne obłożenie sprawami poszczególnych sędziów, kontrolował terminowość załatwiania spraw itp. Zero polityki, nacisków i naruszania zasady trójpodziału władz.

Na końcu jednak w samym środowisku sędziowskim musi pojawić się refleksja, że zapewne nie wszyscy nadają się do pełnienia zaszczytnej funkcji sędziego orzekającego w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prawnikiem.

eprasa.pl d2fc640a08

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Polacy z siłowni

Od pewnego czasu mam pewien kłopot. Oto bowiem moja najbliższa rodzina chodzi mocno posiniaczona. Fioletowe plamy na nogach, rękach, czasem jakiś guz na głowie. Pojawiły się nawet dyskretne pytania do mojej żony i syna, czy przypadkiem ich nie tłukę i czy nie należy powiadomić odpowiednich służb.

Owszem, tłukę. Jednak robię to całkowicie legalnie – na rodzinnych zajęciach z krav magi. Oni też mnie biją (szczególnie mocno oczywiście synek, który nie ma dla mnie litości), a nawet duszą. Jednak jakoś tak się dzieje, że siniaki na szyi mężczyzny nikogo nie niepokoją. To tak jak z Dniem Ojca – nikt nie wie, kiedy jest, a Dzień Matki to prawie drugie Boże Narodzenie.

Zostawmy już jednak przemoc domową. Otóż na zajęciach samoobrony uderzyły mnie – nomen omen – dwie rzeczy. Pierwsza jest taka, że bicie ludzi to strasznie ciężka praca. Pięć minut kopania i boksowania zwala z nóg kopiącego. Druga obserwacja: w Polsce zmieniają się nawet takie miejsca, których byśmy o to nie podejrzewali. Na przykład siłownie.

Z siłownią pierwszy raz miałem do czynienia pod koniec lat 80. ubiegłego wieku. I – no cóż – dla subtelnego, choć otyłego licealisty, jakim byłem, miejsce to jawiło się upiornie. Było wylęgarnią bandytów, a prymitywni bywalcy wyśmiewali grubiańsko każdego, kto był mniej prymitywny od nich. Okropność.

Dlatego z pewną nieśmiałością udaliśmy się do naszej kravmagowni, będącej w istocie siłownią i halą sportów walki w jednym. Miejsce wyglądało jak z amerykańskich filmów o bokserach. Wielka postindustrialna hala, worki, trochę przyrządów kulturystycznych, sztangi i imponujący ring. Ciekawie, ale można by tam kręcić sceny więzienne albo gangsterskie. Wciąż byłem nieufny.

Natomiast ludzie, których tam spotkałem… Zupełnie inna bajka. O naszym instruktorze można powiedzieć wszystko, ale nie to, że jest osiłkiem. Inteligentny, kulturalny facet, który jeszcze w dodatku puszcza świetną muzykę (elektronika i rap z późnych lat 90.). Inni ćwiczący rozmaite crossfity, workouty czy boks to sympatyczna klasa średnia z bardzo różnych parafii, która chce zadbać o formę, a dla rozluźnienia strzelić czasem kogoś w pysk (na zajęciach oczywiście). Jest malarka, są menedżerowie, są biznesmeni, studenci, inteligenci. Są i umięśnieni łysole z tatuażami, ale z gatunku zwariowanych atletów, a nie zbójcerzy. Jest w końcu mnóstwo rodziców z dziećmi. I wszyscy są ogromnie życzliwi dla innych. Jesteś początkujący? I w dodatku jesteś pierdołą? Ależ oczywiście, chętnie ci pomogę. I nie będę się z ciebie śmiał, chociaż jest z czego.

Mam chyba pecha, ale trudno mi znaleźć tych strasznych, chamowatych, ksenofobicznych Polaków, którymi straszy się tu i ówdzie. Nawet ci z siłowni są bardzo mili. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Strach odłożony na później

Jednym z objawów uwiądu współczesnego świata jest postępujące zdziecinnienie. Wszechwładne media rugują z przestrzeni świata powagę. Nic nie jest już serio. Jak mówił ongiś Beaumarchais: „Bawmy się. Kto wie, czy potrwa ten świat dwa tygodnie?”. Nie potrwał, egzystencję starej Europy przerwał świst gilotyny.

Miałem kiedyś przyjaciela, który pytany o zagadnienia wiary, Boga, życia pozagrobowego, odpowiadał nerwowo, że są to sprawy zbyt denerwujące, by się nad nimi zastanawiać. A i tak dopadły go w ostatnich miesiącach życia, kiedy – choć protestant – odwiedzał sanktuaria maryjne, szukając tam ratunku. Podobny syndrom zauważam wśród elit, a co gorsza – również społeczeństw Zachodu, które, nawet jeśli odczuwają strach, jakiekolwiek reakcje odkładają na później. Podziwiam naiwność Francuzów, którzy kupują Macrona, tego Hollande’a bis, udzielając mu bezkrytycznego poparcia. Na co liczą, fundując sobie własnego Petru, kość z kości klasy politycznej i esencję establishmentu, który się nie sprawdził? Wierzą, że pożerający ich rak zniknie lub złagodnieje?

> „Lepiej być czerwonym niż martwym”

Można mi zarzucić, że mam obsesję na punkcie imigrantów, ale przecież gdybym był Francuzem bez klapek na oczach, musiałbym zauważać, że z roku na rok jest ich więcej, że się nie asymilują i podlegają radykalizacji. Do niedawna można było się łudzić, że to problem dla pokolenia wnuków, może dzieci…

Dzisiaj nie mam złudzeń – wielka wojna cywilizacyjna wybuchnie w Europie w ciągu dekady, a rzezie wojny trzydziestoletniej będą przy niej zabawą. Chyba że Niemcy, Francuzi i Włosi przyjmą dobrowolnie islam oraz prawo szariatu. Francuzki nałożą burki, Bawarczycy zrezygnują z golonki i piwa, a Toskańczycy zaprzestaną produkcji wina. Kiedyś w obliczu sowieckiego zagrożenia mówiono na Zachodzie: „Lepiej być czerwonym niż martwym”. Czy wkrótce hasło wróci w formie: „Lepiej pięć razy dziennie bić pokłony Mekce, niż zaznać smaku noża”. Dzień próby jest bliższy, niż ktokolwiek z mieszkańców starej Unii przypuszcza.

Już w obecnych wyborach we Francji startowały trzy partie muzułmańskie. W dorastających pokoleniach mieszkańców Galii przeważa młodzież o korzeniach z Orientu i nie robi się niczego, co mogłoby odwrócić tendencję. Ustępstwa, udawanie, że problem nie istnieje, wiara, że policja zapewni bezpieczeństwo, to jedynie strach odłożony na później. Kiedy więc widzę, jak bardzo atakuje się Polskę, Węgry i Czechy za niechęć do przyjmowania tzw. uchodźców, przed oczami staje mi obraz furii psa na łańcuchu na widok swego kolegi wolno biegającego po ulicy. ©℗

eprasa.pl d2fc640a08

SZEWACH WEISS

Energia niezadowolenia

Analizując wyniki wyborów w Wielkiej Brytanii, można dojść do wniosku, że są to kolejne ważne dla świata wybory rozstrzygnięte na tle protestu. Jest to etap pewnego procesu socjopolitycznego. Prawie wszyscy w pokoleniu ludzi mających dziś poniżej 45 lat w kolejnych wyborach głosują na inną partię lub tworzą nowe ugrupowania, które albo szybko znikają ze sceny, albo dają sobie radę i stają się początkiem czegoś nowego. Coraz mniej osób jest przywiązanych do jednej partii, ludzie szukają czegoś innego, nie zawsze dokładnie wiedzą czego. Wybory są dla nich okazją, by powiedzieć komuś „nie", i takie podejście wyparło tradycyjne głosowanie na „tak".

zwiększa się grupa ludzi, dla których najistotniejsza jest większa sprawiedliwość społeczna, ekonomiczna czy edukacyjna.

Kiedyś bogactwo było dalej od zwykłych ludzi. Zamożne osoby mieszkały w swoich enklawach. Dzisiaj przepych widzą codziennie nawet osoby mające najmniejsze dochody. Różnice klasowe rzucają się w oczy. Biedni widzą bogatych jeżdżących najlepszymi samochodami, mieszkających w najpiękniejszych apartamentach, ubierających się modnie w drogich sklepach, jedzących w ekskluzywnych restauracjach. Bogactwo pokazują media, bo jest ono ciekawe dla biedniejszych. Z drugiej strony bardzo rozszerzył się dostęp do edukacji, za pomocą nowoczesnych i niedrogich technologii ludzie obserwują cały świat. Mogą ze sobą rozmawiać poprzez serwisy społecznościowe i to tam przede wszystkich tworzą się i umacniają ruchy protestu. W ludziach powstaje energia jakiegoś niezadowolenia, energia na „nie".

Kiedyś bogactwo było dalej od zwykłych ludzi. Zamożne osoby mieszkały w swoich enklawach. Dzisiaj przepych widzą codziennie nawet osoby mające najmniejsze dochody

Być może jest to sytuacja przejściowa, a za jakiś czas nastąpi powrót partii z jasnym profilem ideologicznym. Jeśli tak się stanie, to wiele wskazuje na to, że najważniejsze dla wyborców będą dwie sprawy. Na pierwszym miejscu – bezpieczeństwo. Już nie bezpieczeństwo rozumiane jako potęga militarna państwa, ale – w obecnej sytuacji ciągłego zagrożenia przez terroryzm – bezpieczeństwo wewnętrzne, osobiste obywateli. Drugą sprawą, być może jeszcze ważniejszą, jest poziom życia ludzi. To efekt powolnego procesu przeciwko tzw. dzikiemu kapitalizmowi, zwracania się ludzi w kierunku polityki prosocjalnej. System demokratyczny stworzony jest dla dobra jednostki, ale istnieje też element patriotyczny – dobro państwa. On ciągle jest, ale

Partie polityczne zapewne wrócą więc do polityki socjalnej – czy to socjaldemokracji, czy socjalkonserwatyzmu. Problem nierówności społecznej nie zniknął, te różnice są wręcz coraz większe. System demokratyczny stał się jedyną drogą do osiągnięcia większej sprawiedliwości społecznej bez rezygnowania z wolności i swobód.

Mamy przykłady tej zmiany. We wspomnianych wyborach w Wielkiej Brytanii bardziej socjalna Partia Pracy co prawda nie wygrała, ale nie można powiedzieć, by wynik głosowania był dla niej przegraną. Nowy lider tego ugrupowania, Jeremy Corbyn, podkreśla wartości socjaldemokratyczne, prawa socjalne i prawa każdego konkretnego człowieka do sprawiedliwego i godnego życia, poszanowania praw pracownika oraz dostępu do szerszego parasola socjalnego.

To samo zjawisko obserwowaliśmy w Stanach Zjednoczonych, gdzie przez długi czas wielką popularnością i poparciem cieszył się Bernie Sanders, mający do tych spraw takie samo podejście. Ostatnie wybory w Grecji wygrał polityk z sentymentem komunistycznym. Szeroka opozycja w Hiszpanii również idzie w kierunku socjalnym, a we Włoszech sama partia rządząca podkreśla te wartości. Trudno powiedzieć, w jakim kierunku pójdzie nowy prezydent Francji Emmanuel Macron, bo tam program socjalny jest tak szeroki, że trudno go już finansować z budżetu. W Niemczech Angela Merkel prowadzi tę samą politykę socjalną, którą prowadzili socjaldemokraci. Nie wiadomo, kto wygra tam wybory, ale jeśli w dalszym ciągu ugrupowania Merkel i Schulza będą najsilniejsze na scenie politycznej, to właśnie z powodu tej polityki socjalnej. Tak samo jest w państwach skandynawskich. W Izraelu nadal w centrum zainteresowania polityków i społeczeństwa jest bezpieczeństwo. Nie tylko wewnętrzne, lecz także cały czas zewnętrzne. Na tym tle już czwartą kadencję rządzi koalicja prawicowa, ale i ona zajmuje się polityką socjalną, a czasem nawet ją poszerza.

Tak więc te wybory na „nie" mają też swoje „tak". „Tak" dla powrotu do polityki socjalnej i polityki troszczącej się o każdego konkretnego człowieka, jego codzienność. Ogólnikowe hasła nie są już wystarczające. ©℗

oprac. raw

eprasa.pl d2fc640a08

Maciej Bartków

Franciszek Sawicki, który osobiście zastrzelił Danutę Siedzikównę i Feliksa Selmanowicza „Zagończyka", świetnie odnalazł się w PRL

Morderca

Historia Danuty Siedzikówny „Inki" należy do najtragiczniejszych spośród wszystkich opowieści o żołnierzach wyklętych. Aresztowana 20 lipca 1946 r. w jednym z lokali kontaktowych 5. Wileńskiej Brygady AK w Gdańsku-Wrzeszczu, oskarżona fałszywie m.in. o kierowanie akcją zbrojną przeciwko milicjantom, umieszczona w pawilonie V więzienia w Gdańsku jako więzień specjalny, poddana została okrutnemu śledztwu. Nie załamała się i odmówiła składania zeznań obciążających członków brygady wileńskiej AK. W zemście za to 31 lipca 1946 r. oficer śledczy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Gdańsku Andrzej Stawicki sporządził akt oskarżenia i skierował go do miejscowego wojskowego sądu rejonowego. Siedzikównie postawiono zarzuty udziału w nielegalnym związku zbrojnym, którego celem było obalenie siłą władzy ludowej, oraz mordowania milicjantów i żołnierzy KBW. Kłamliwie zarzucono jej m.in., że we wsi Tulice „wydała rozkaz swoim współtowarzyszom z bandy rozstrzelania dwóch pracowników UB […] tym samym publicznie nawoływała do popełnienia zbrodni, która została wykonana".

Wojskowy Sąd Rejonowy w Gdańsku rozpatrzył sprawę „Inki" w trybie doraźnym. Już 3 sierpnia 1946 r. sąd w składzie: przewodniczący mjr Adam Gajewski, kpr. Wacław Machola jako ławnik i kpt. Kazimierz Nizio-Narski jako asesor, wydał wyrok śmierci, który nawet w ówczesnych warunkach był sprzeczny z obowiązującym prawem. „Inka" bowiem nie skończyła jeszcze 18 lat i jako młodociana na taką karę skazana być nie mogła.

Danuta Siedzikówna odmówiła napisania prośby o łaskę, więc takie pismo przygotował przydzielony jej z urzędu wojskowy obrońca. Ponieważ użył w nim zwrotu „banda" dla określenia żołnierzy „Łupaszki", „Inka" prośby nie podpisała. 19 sierpnia Bolesław Bierut odmówił zastosowania prawa łaski. Wyrok został wykonany 28 sierpnia 1946 r. Danuta Siedzikówna została rozstrzelana w gdańskim więzieniu razem z innym żołnierzem 5. Wileńskiej Brygady AK – Feliksem Selmanowiczem ps. Zagończyk.

O tym, jak wyglądała egzekucja, wiemy z relacji złożonej przed prokuratorem IPN przez ks. Mariana Prusaka, który został na nią ściągnięty przez ubeków: „[...] W końcu zaprowadzono mnie do sali egzekucyjnej. [...] Tam była cała gromada UB, jacyś żołnierze, lekarz, prokurator. Chyba z trzydzieści osób. Było ciemno. Oszołomiła mnie ta sytuacja. W końcu wprowadzili skazańców. Prawdopodobnie mieli skute albo związane ręce. Ubecy zachowywali się grubiańsko. Nie chciałbym przytaczać tu wyzwisk, które sypały się na dziewczynę i tego pana. Ustawiono ich pod słupkami przy ścianie. Przed rozstrzelaniem dałem im krzyż do pocałowania. Chciano im zawiązać oczy, nie pozwolili. Prokurator siedział za małym stolikiem okrytym czerwonym suknem. Odczytał wyrok i powiedział, że nie było ułaskawienia. Potem padła komenda: »Po zdrajcach narodu polskiego ognia«. W tym momencie oni krzyknęli: »Niech żyje Polska«, tak jakby się umówili. Padła salwa i oboje osunęli się na ziemię. Żołnierze strzelali z trzech, może czterech metrów".

Jednak 10-osobowy pluton Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, mierząc do „Inki" i „Zagończyka" z niewielkiej odległości, chybił (żołnierze strzelali

eprasa.pl d2fc640a08

Danuta Siedzikówna „Inka" (na dole, pierwsza z lewej) z żołnierzami 4. Szwadronu 5. Brygady Wileńskiej AK w 1945 r. FOT. WIKIMEDIA

„Inki"

w powietrze). Oboje uśmiercił ppor. Franciszek Sawicki z gdańskiego KBW – strzałem z pistoletu w głowę. W chwili oddania strzału miał krzyknąć: „Nie chciała gadzina zdechnąć, trzeba ją dobić". Z kolei „Inka" w ostatniej chwili życia zdążyła jeszcze zawołać: „Niech żyje »Łupaszka«". To ostatnie musiało szczególnie rozwścieczyć Sawickiego, który brał udział w ubeckich operacjach przeciwko legendarnemu dowódcy.

ZWALCZAJĄCY ANTYKOMUNISTÓW

Franciszek Sawicki urodził się 16 kwietnia 1916 r. w niewielkiej wsi Bolarka w powiecie łuckim na Wołyniu. Był jednym z siedmiorga dzieci Franciszka Sawickiego i Łucji Bernackiej. W latach 1923–1930 uczęszczał do szkoły powszechnej w nieodległej Wólce Kotowskiej. Po jej ukończeniu, do roku 1938, Sawicki pomagał rodzicom na roli (rodzina miała 6 ha pola) oraz przy różnych pracach sezonowych. W miesiącach letnich pracował dorywczo u gospodarzy, m.in. pasąc krowy, a zimą dorabiał przy wyrębie lasu. Jak czytamy w sporządzonym własnoręcznie przez Franciszka Sawickiego życiorysie:

„W 1938 roku zostałem powołany do czynnej służby wojskowej w Polskiej Armii Sanacyjnej. Służbę pełniłem w 23 pp w kompanii łączności w stopniu szeregowca we Włodzimierzu Wołyńskim. W czasie wybuchu wojny w 1939 roku nadal pełniłem służbę w tym samym pułku i brałem udział w wojnie z Niemcami w Uściługu nad Bugiem. Po kapitulacji zostałem przez Armię Radziecką zwolniony do domu. Po powrocie nadal pomagałem rodzicom na roli i pracowałem w lesie przy obróbce drewna.

Od lipca 1943 roku pracowałem z partyzantką Czerwonej Armii do marca 1944 roku jako informator. Faszyści ukraińscy, poszukując mnie, w 1943 roku zamordowali mojego ojca".

Komunistyczny informator Sawicki w marcu 1944 r. powołany został do 4. Dywizji Piechoty formowanej w miejscowości Sumy, skąd przeniesiono go do Samodzielnego Batalionu Specjalnego. Utworzony pod nadzorem Stanisława Radkiewicza batalion był zalążkiem wojskowych oddziałów Resortu Bezpieczeństwa Publicznego przy PKWN. Szkoleniem tego oddziału zajmowali się sowieccy specjaliści z NKWD, z których niektórzy objęli następnie kluczowe stanowiska w bezpiece. Jednym z zadań Batalionu Specjalnego było rozpoznawanie antykomunistycznych oddziałów partyzanckich, głównie NSZ i AK.

W ramach przeszkolenia Sawicki 28 sierpnia 1944 r. ukończył w radiowej szkole oficerskiej w Żytyniu kursy radiotelegrafisty, szyfranta i spadochroniarza. Przeniesiony został na stanowisko radzisty do sowieckiej jednostki dywersyjnej nr 70718 dowodzonej przez Bohatera Związku Radzieckiego ppłk. Pawła Biełowa. Wraz z nią zrzucono go jako desant sowiecki na tyły niemieckie w Kostrzynie na Odrą. W tym czasie używał pseudonimu Jerzy Kwiatkowski. Opisując ten okres swojego życia, Sawicki podawał:

„Pracując na radiostacji, dawałem wszelkie potrzebne dane mojej jednostce o nieprzyjacielu. Pod koniec marca 1945 roku po złączeniu się z Armią II Białoruskiego Frontu zostałem z powrotem przesłany do mojej macierzystej Jednostki 70718 ppłk. Biełowa. Jednostka ta po wypoczynku, i, ponieważ zadanie zostało wykonane, skierowała mnie z powrotem do Spec. Batalionu, a że baon został rozformowany, został stworzony Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, to zostałem przydzielony do KBW. Pracowałem jako oficer informacji".

Sawicki miał żoną Annę – pochodzącą również z Bolarki. Jak wynika z dokumentów zachowanych w archiwum, Anna wraz ze swoją teściową przez niemal półtora roku ukrywały się w lasach województwa wołyńskiego z obawy przed bandami UPA. W 1945 r. Anna przyjechała do wsi Lisięcice w powiecie głubczyńskim. Tam umarła w październiku tamtego roku na gruźlicę płuc. Z tego związku Sawickiemu został syn Henryk, urodzony w 1941 r.

ŚLUB PRZED ZABICIEM „INKI"

15 grudnia 1945 r. Franciszek Sawicki otrzymał awans na stopień podporucznika. Odznaczono go też medalami „Za Odrę, Nysę i Bałtyk", „Za Warszawę 1939–1945", Odznaką Grunwaldzką oraz sowieckimi: „Za zwycięstwo nad Niemcami" i „Za Warszawę". Dalej o swojej pracy pisał tak:

„Od połowy 1945 r. do października 1945 r. pracowałem jako dowódca korpusu łączności w 4 Spec. Pułku KBW w Łodzi, a następnie w Gdańsku.

Od 1.10.45 r. do 1.09.1946 r. pracowałem jako Komendant Ochrony Sztabu 4 Spec. Pułku KBW w Gdańsku".

W swoim życiorysie Franciszek Sawicki dość oszczędnie wspominał o zasługach dla utrwalania władzy ludowej. Nie znajdziemy w nim nic o wykonanym wyroku na „Ince" ani o innych działaniach, w których uczestniczył. Można jednak o tym przeczytać w niektórych odnalezionych dokumentach, np. w „Charakterystyce służbowej z dnia 14 sierpnia 1948 roku". Jej autorzy – dowódca i zastępca dowódcy 13. Pułku KBW – o przeszłości Sawickiego piszą m.in.:

„Brał udział w operacjach w 1945 roku w okolicach Spały przeciw bandom NSZ, przeciw bandzie »Łupaszki« w Lasach Tucholskich, bandzie Pniewskiego w okolicach Starogardu w 1946 roku i w 1947 w okolicach Bydgoszczy przeciw bandzie NSZ, także w woj. poznańskim oraz w woj. rzeszowskim przeciw bandom UPA".

Cztery dni przed zamordowaniem „Inki" Franciszek Sawicki wziął ślub z Ireną, maszynistką zatrudnioną w sekcji personalnej 13. Pułku KBW w Gdańsku.

eprasa.pl d2fc640a08

Rok później na świat przyszła ich córka Krystyna. Jego kariera zawodowa nabrała rozmachu. 1 września 1946 r. awansowany został na stanowisko pomocnika szefa sztabu WBW w Gdańsku. Następnie pracował jako oficer dochodzeniowy, a potem referent Sekcji Operacyjno-Rozpoznawczej 13. Pułku KBW. Pełnił w nim także, w okresie od kwietnia do października 1949 r., funkcję sekretarza POP PZPR. Jak podkreślał w swoim życiorysie, przez cały ten czas brał udział w „walkach z bandami". Uzupełniał też wykształcenie. W latach 1947–1949 uczęszczał do Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych w Gdańsku o profilu matematyczno-przyrodniczym. Na poziom życia nie narzekał. W charakterystyce z sierpnia 1948 r. czytamy:

„Warunki materialne dość dobre. Posiada mieszkanie umeblowane dobrze, ma na utrzymaniu żonę, 2 dzieci, matkę i brata".

W styczniu 1950 r., awansowany wcześniej na stopień kapitana, Franciszek Sawicki objął funkcję szefa Inspektoratu Szkolnictwa WIO, a następnie szefa całego Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony 9. Pułku KBW w Bydgoszczy. 16 sierpnia 1953 r. został przeniesiony do Wrocławia – na stanowisko szefa WIO 11. Brygady KBW w tym mieście. Tę funkcję pełnił do 30 kwietnia 1956 r., kiedy to w związku z „organizacyjną niemożnością dalszego wykorzystania" jako major został przeniesiony do rezerwy KBW ze specjalnością wojskową nr 5 – inspektorską.

NAGRADZANY ZA SŁUŻBĘ

Morderca Siedzikówny świetnie odnalazł się w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Za swoją wierną służbę był wielokrotnie nagradzany, także pieniężnie, oraz odznaczany medalami. Pochwał nie szczędzili mu przełożeni, pisząc w kolejnych charakterystykach m.in.:

„Z powierzonej mu pracy wywiązuje się dobrze, przejawiając dużo chęci i zapału do pracy po linii partyjno-politycznej. Pod względem wyszkolenia, tak politycznego, jak i liniowego, stoi na wysokim poziomie. Jest oficerem zdyscyplinowanym i koleżeńskim, przez co cieszy się szacunkiem wśród przełożonych i autorytetem wśród żołnierzy.

Kpt. Sawicki politycznie dobrze wyrobiony. Podnosi swój poziom ideologiczny przez studiowanie literatury Marksistowsko-Leninowskiej. Systematycznie śledzi prasę codzienną, zapoznając się z sytuacją międzynarodową. Jest aktywnym członkiem Partii, systematycznie uczęszcza na zebrania partyjne i często zabiera głos w dyskusji. W pracy swojej w pełni realizuje linię polityczną Partii i Rządu jako jedyną i słuszną w budowaniu socjalizmu. Wyraża zadowolenie z osiągnięć politycznych i gospodarczych Związku Radzieckiego i Kraii Demokracji Ludowej. W pracy swojej przywiązuje dużą rolę do organizacji Partyjnej w wychowaniu podległych mu oficerów. […] Powierzone mu obowiązki wykonuje dobrze. Poza służbą wolny czas spędza przy rodzinie. Ogólnie jest oficerem dobrym, zajmowanemu stanowisku odpowiada".

13 stycznia 1967 r. Franciszek Sawicki uzyskał dyplom magistra administracji, broniąc na Uniwersytecie Wrocławskim im. Bolesława Bieruta pracę magisterską pt. Powstanie, rozwój i perspektywy miejskiej komunikacji autobusowej w miastach Dolnego Śląska". Od dnia 8 lipca 1961 r. katowi Danuty Siedzikówny decyzją Wojskowego Komendanta Wojewódzkiego we Wrocławiu została przyznana renta za wysługę lat z datą od dnia 14 lutego 1960 r. W jednej z ostatnich przed odejściem do rezerwy charakterystyk Sawickiego dowódca 11. Brygady KBW zapisał: „Stopa życiowa dobra. Utrzymuje się z pobieranych poborów. Z dodatkowych dochodów nie korzysta".

Decyzją ministra obrony narodowej z dnia 22 kwietnia 1970 r. Franciszek Sawicki został awansowany do stopnia podpułkownika. Zmarł w 1989 r. we Wrocławiu. Za swoje zbrodnie, podobnie jak wielu jego towarzyszy, w III RP nigdy nie odpowiedział.

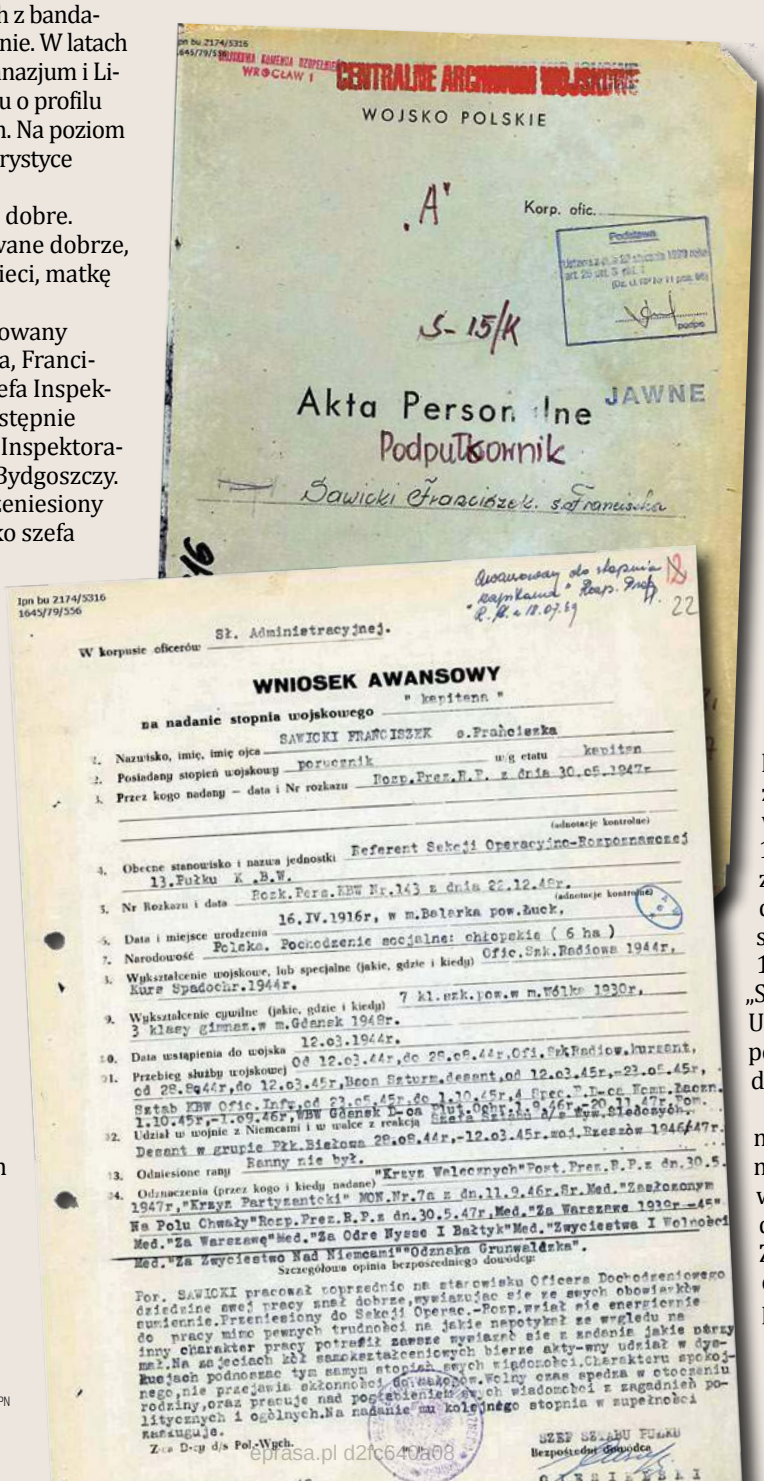
Ipn bu 2174/5316
1645/79/556
CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE
WROCŁAW I
WOJSKO POLSKIE
„A"
Korp. ofic.
S-15/K
Akta Personalne
JAWNE
Podpułkownik
Sawicki Franciszek s. Franciszka

Awansowany do stopnia kapitana • Rozp. Prez. R.P. z 18.07.69 22

W korpusie oficerów Sł. Administracyjnej.

WNIOSEK AWANSOWY

na nadanie stopnia wojskowego „ kapitana "

1. Nazwisko, imię, imię ojca SAWICKI FRANCISZEK s.Franciszka
2. Posiadany stopień wojskowy porucznik w/g etatu kapitan
3. Przez kogo nadany – data i Nr rozkazu Rozp.Prez.R.P. z dnia 30.05.1947r
(adnotacje kontrolne)
4. Obecne stanowisko i nazwa jednostki Referent Sekcji Operacyjno-Rozpoznawczej 13.Pułku K.B.W.
5. Nr Rozkazu i data Rozk.Pers.KBW Nr.143 z dnia 22.12.49r.
(adnotacje kontrolne)
6. Data i miejsce urodzenia 16.IV.1916r, w m.Bełzerka pow.Łuck.
7. Narodowość Polska. Pochodzenie socjalne: chłopskie (6 ha)
8. Wykształcenie wojskowe, lub specjalne (jakie, gdzie i kiedy) Ofic.Szk.Radiowa 1944r, Kurs Spadochr.1944r.
9. Wykształcenie cywilne (jakie, gdzie i kiedy) 7 kl.szk.pow.w m.Wólka 1930r, 3 klasy gimnaz.w m.Gdańsk 1949r.
10. Data wstąpienia do wojska 12.03.1944r.
11. Przebieg służby wojskowej Od 12.03.44r,do 28.08.44r,Ofi.Szk.Radiow.kursant, od 28.8.44r,do 12.03.45r,Bcon Saturm.desant,od 12.03.45r,-23.05.45r, Sztab KBW Ofic.Inf.,od 23.05.45r,do 1.10.45r,4 Spec.P.D-ca Komp.Łączn. 1.10.45r,-1.09.46r,WBW Gdańsk D-ca Plut.Ochr.1.9.46r,-20.11.47r Pom. Szefa Sztabu d/s Wyw.Siedzibowych.
12. Udział w wojnie z Niemcami i w walce z reakcją Desant w grupie Płk.Bielowa 28.08.44r,-12.03.45r.woj.Rzeszów 1946/47r.
13. Odniesione rany Rany nie był.
14. Odznaczenia (przez kogo i kiedy nadane) "Krzyż Walecznych"Post.Prez.R.P.z dn.30.5.1947r,"Krzyż Partyzantcki" MON.Nr.7a z dn.11.9.46r.Sr.Med."Zasłużonym Na Polu Chwały"Rozp.Prez.R.P.z dn.30.5.47r.Med."Za Warszawę 1939r.-45r" Med."Za Warszawę"Med."Za Odrę Nysę I Bałtyk"Med."Zwycięstwa I Wolności Med."Za Zwycięstwo Nad Niemcami""Odznaka Grunwaldzka".

Szczegółowa opinia bezpośredniego dowódcy

Por. SAWICKI pracował poprzednio na stanowisku Oficera Dochodzeniowego dziedzinie swej pracy znał dobrze,wywiązując się ze swych obowiązków sumiennie.Przeniesiony do Sekcji Operac.-Rozp.wziął się energicznie do pracy mimo pewnych trudności na jakie napotykał ze względu na inny charakter pracy potrafił zawsze wywiązać się z zadania jakie przy mał.Na zajęciach kół samokształceniowych bierze akty-wny udział w dyskusjach podnosząc tym samym stopień swych wiadomości.Charakteru spokojnego,nie przejawia skłonności do nałogów.Wolny czas spędza w otoczeniu rodziny,oraz pracuje nad podniesieniem swych wiadomości z zagadnień politycznych i ogólnych.Na nadanie mu kolejnego stopnia w zupełności zasługuje.

Zca D-cy d/s Pol.-Wych. mgr Cz.

SZEF SZTABU PUŁKU
Bezpośredni Przełożony

Franciszek Sawicki w PRL doczekał się wielu awansów i odznaczeń. Nigdy nie odpowiedział za zamordowanie „Inki" FOT. IPN

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

epfasa.pl d2fc640a08

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

W imieniu Rzeczypospolitej...

Działalność sądów Polskiego Państwa Podziemnego budzi spory. Większość badaczy jest zdania, że odegrały one niezwykle pozytywną rolę, bo dzięki nim udało się przykładnie ukarać wielu zbrodniarzy, zdrajców, konfidentów gestapo i szmalcowników. Nie do przecenienia był też ich wymiar „odstraszający".

Z kolei inni historycy wskazują na tragiczne pomyłki podczas orzekania wyroków śmierci. A czasami wręcz – jak to miało miejsce w przypadku niesłusznie skazanego Józefa Mackiewicza – załatwianie za pomocą wyroków sądowych prywatnych czy partyjnych porachunków. Osobnym tematem wzbudzającym kontrowersje są olbrzymie obciążenia psychiczne, jakim poddani byli – z reguły niezwykle młodzi – wykonawcy wyroków wydawanych „w imieniu Rzeczypospolitej". Do skazanych strzelali z bliskiej odległości, często na oczach płaczących żon i dzieci.

Książka Bartłomieja Szyprowskiego jest niezwykle kompetentnym opisem wczesnego okresu działania podziemnych sądów. Autor w oparciu o imponującą bazę źródłową – wiele dokumentów jest wręcz rewelacyjnych – przedstawia dzieje sądu kapturowego przy Komendzie Głównej ZWZ. Możemy, krok po kroku, zobaczyć, jak wyglądały podziemne dochodzenie, proces i wykonanie wyroku.

Bez wątpienia najciekawsza jest część poświęcona konkretnym sprawom. Możemy przeczytać w niej o głośnej likwidacji Emila Macielińskiego, oskarżonego o współpracę z Sowietami dowódcy lwowskiego ZWZ. A także o sprawie Bolesława Zymona, groźnego agenta NKWD na Wołyniu.

Szyprowski podkreśla, że większość spraw rozpatrzonych przez sąd kapturowy przez KG ZWZ dotyczyła współpracy z bolszewikami. Jak słusznie pisze, wynikało to z faktu, że sowieckie służby były o wiele sprawniejsze i groźniejsze niż służby niemieckie. Udawało im się znacznie głębiej zinfiltrować polskie podziemie, a co za tym idzie – wyrządzić mu większe szkody. ©℗

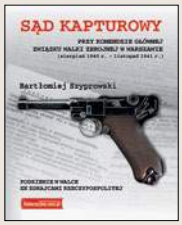

★★★★★★

BARTŁOMIEJ SZYPROWSKI „SĄD KAPTUROWY PRZY KG ZWZ W WARSZAWIE (1940–1941)" KSIĘGARNIA HISTORYCZNO-MILITARNA 2017

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Noblista i studentki

Czesław Miłosz nie był najłatwiejszym partnerem życiowym, o czym nieraz miała okazję przekonać się jego pierwsza żona, Janina. Nawet gdy dzięki posadzie poety na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley doczekali się wreszcie stabilizacji materialnej, lata spędzone nad Pacyfikiem nie przyniosły jej szczęścia.

> **„Z tą Eriką to mnie zafrapowałeś"**
> **– zazdrościł Miłoszowi Zygmunt Hertz**

Jednym z powodów była niewierność partnera, który zdawał się przeżywać drugą młodość. Kontakt z młodzieżą akademicką znakomicie działał na jego samopoczucie, do tego zawsze miał pozytywny stosunek do alkoholu i płci pięknej, a w Berkeley lubił łączyć te upodobania.

W liście do jednego z przyjaciół chwalił się poziomem testosteronu, którego podobno miał dwa razy więcej niż przeciętny mężczyzna w jego wieku (a ukończył już 60. rok życia), co uznał za usprawiedliwienie jego podbojów erotycznych. I choć przed kolegami literatami uskarżał się na wyrzuty sumienia, to ogólny ton jego korespondencji bardziej przypominał przechwałki mężczyzny wchodzącego w smugę cienia.

„[...] z tą Eriką to mnie zafrapowałeś – zazdrościł Miłoszowi Zygmunt Hertz. – Moja dobra rada (starej świni, oczywiście), prześpij się z nią, ale w sposób dyskretny, nie należy mieć dzwonka przyczepionego do materaca, nie musisz się tym chwalić, mimo że to bardzo przyjemne, nie angażuj się uczuciowo, bo to bzdury".

Poeta był doświadczonym mężczyzną i wiedział, w jaki sposób zrobić odpowiednie wrażenie na studentkach. Pozował na samotnego psychicznie, co w połączeniu z intelektem, literacką sławą i demonstracyjnie podkreślaną różnicą wieku przynosiło pożądane efekty.

Sytuację ułatwiało to, że wśród jego wielbicielek nie brakowało pięknych dziewcząt, z których niejedna miała ambicję odegrania roli muzy poety. Miłosz zresztą nie ukrywał, że miejscowe studentki „do rozpaczy doprowadzają go niekiedy swoją urodą, a i nierzadko inteligencją".

Uniwersytecką aktywność erotyczną pana Czesława w pełni popierał również inny jego przyjaciel, Konstanty Jeleński. Radził mu nawet, aby w pełni korzystał z możliwości, jakie daje mu jego stanowisko, gdyż to może pozytywnie wpłynąć na wenę twórczą. Z tego też powodu całkowicie go rozgrzeszał, gdy poeta – mniej lub bardziej szczerze – zwierzał mu się ze swoich wyrzutów sumienia:

„Zbyt łatwo ulegasz nakazom moralnym [...]. Masz przed sobą dziesięć lat przynajmniej, w ciągu których możesz kochać życie, dziewczyny, przecież kampus jest dla Ciebie terenem naturalnym".

I faktycznie był. ©℗

eprasa.pl d2fc640a08

Nieposkromiona siła

Kongres Morski w Szczecinie wpisał się już na stałe w harmonogram konferencji, w których zwyczajnie trzeba wziąć udział. To symbol tego, że polska gospodarka morska staje się prawdziwą potęgą

FOT. FUNDACJA KONGRES MORSKI

W edycję szczecińskiej konferencji w całości poświęcony gospodarce morskiej swoją obecnością uświetnili liczni przedstawiciele rządu. W swoim przemówieniu premier Beata Szydło podkreślała istotną dla niej symbolikę dobrej kondycji rodzimego przemysłu stoczniowego. – To nie tylko ważny dział gospodarki, to symbol przemian, symbol polskiej niepodległości – głosiła prezes Rady Ministrów. – Rozwój gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej to jeden z priorytetów mojego rządu. Podejmowane przez nas działania mają szerszy kontekst, jakim jest bezpieczeństwo naszego kraju – podkreśliła Beata Szydło.

Na stoczniach skupił się także Marek Gróbarczyk, minister gospodarki wodnej i żeglugi śródlądowej (MGMiŻŚ). Szef tego resortu nakreślił „stoczniowy masterplan", którego celem jest unowocześnienie polskiego przemysłu morskiego. – Polskie stocznie mogą być bardzo konkurencyjne wobec podmiotów zagranicznych. Stocznie muszą funkcjonować na zasadach rynkowych, korzystać z całego potencjału gospodarki – wyrażał pogląd Gróbarczyk.

Kierujący MGMiŻŚ zaakcentował priorytetowość przywrócenia żeglowności polskim rzekom i zapowiedział kolejne kroki, jakie zostaną podjęte na drodze do tego celu.

– Ratyfikowana na początku roku Konwencja AGN zobowiązuje nas do rozwoju polskich rzek i uzyskania IV klasy ich żeglowności. Bardzo ważnym elementem planu jest przystąpienie do studium wykonalności, w celu uzyskania odpowiedniej klasy żeglowności – zauważył Marek Gróbarczyk.

W GÓRĘ RZEKI

To właśnie żegludze śródlądowej i jej wpływie na rozwój portów poświęcony był jeden z bloków tematycznych tegorocznego szczecińskiego Kongresu Morskiego. Przysłuchując się debacie „Rzeka w biznesie", można było dojść do konstatacji, że z użeglownienia Wisły płyną – nomen omen – same korzyści. Stąd warto podkreślać i promować to, jak istotną rolę w budowie i rozwoju infrastruktury pełnią podmioty z sektora prywatnego.

Z kolei podczas dyskusji z przedstawicielami europejskich organizacji związanych z żeglugą śródlądową wyraźnie zaznaczono, że podstawą rozwoju sektora transportu jest długoterminowe, systematyczne i stabilne wsparcie na poziomie politycznym. Konieczne są zarówno kreślenie planów rozwoju o dalekim horyzoncie czasowym, jak i współpraca między regionami wewnątrz kraju oraz kooperacja transgraniczna – pomiędzy rządami krajów ościennych.

Żaden projekt infrastrukturalny nie obejdzie się też bez włączenia weń świata nauki. Panel „Nowe technologie w transporcie śródlądowym" poświęcono powołanemu w ramach Przedsię-

eprasa.pl d2fc640a08

polskiego morza

wzięcia Horyzontalnego Dolna Wisła ISP1 konsorcjum naukowo-przemysłowemu. Przedstawiciele tego podmiotu podjęli się realizacji budowy jednostek dla transportu śródlądowego i żeglugi przybrzeżnej przeznaczonych dla Dolnej Wisły z uwzględnieniem ochrony środowiska naturalnego poprzez ograniczanie szkodliwego wpływu transportu śródlądowego.

PIENIĄDZE, PIENIĄDZE...

Zarówno przywrócenie żeglowności polskim rzekom, jak i modernizacja nadbałtyckich stoczni to przedsięwzięcia wymagające dużych nakładów finansowych. Na szczęście interesariuszy jest wielu, jednak to wymusza stworzenie złożonego systemu finansowania. Podniesienia tej kwestii nie mogło zabraknąć na najważniejszym dla polskiej branży morskiej i żeglugi śródlądowej wydarzeniu. Aspekt „pieniężny" rozpatrywali m.in. Paweł Brzezicki, zarządca komisaryczny Polskiej Żeglugi Morskiej, i Konrad Konefał, prezes MS TFI MARS. Przy tej okazji zwrócono uwagę na konieczność zapewnienia stałego zaplecza konstrukcyjno-remontowego dla marynarki jako gwarant bezpieczeństwa, tj. umożliwienie budowy i remontów w trybie bezpieczeństwa państwa.

WODA DODAJE ENERGII

Szczecin od Świnoujścia dzieli półtorej godziny drogi, a mówiąc o gospodarce morskiej i bezpieczeństwie (tym razem energetycznym), nie sposób pominąć polski terminal LNG. Gdyby pretekstów do podniesienia kwestii dywersyfikacji kierunków dostaw gazu było mało, to akurat pierwszego dnia Kongresu Morskiego wpływała do świnoujskiego gazoportu pierwsza dostawa amerykańskiego gazu pozyskanego z łupków.

W Szczecinie tymczasem toczyły się debaty. Referat dotyczący LNG w imieniu mgr. inż. st. of. pokł. Kingi Drwięgi z Akademii Morskiej w Szczecinie wygłosił dr inż. kpt. Ż.W. Andrzej Bąk, profesor nadzwyczajny AM, prorektor Akademii Morskiej w Szczecinie. Skroplony gaz w zupełnie innym kontekście pojawił się podczas dyskusji poświęconej stoczniom. Otóż debatujący wskazali, że siłą polskiej branży stoczniowej jest oparcie produkcji na wytwórstwie statków napędzanych LNG. Przy tej okazji udowodniono, że polskie stocznie konkurują już jakością, a nie ceną.

PRZEMYSŁ ZDRÓW JAK RYBA

Zrównoważone gospodarowanie zasobami morskimi to nie tylko budowa jednostek pływających i konstrukcyjnych czy zarządzanie portami. To równolegle dbałość o środowisko i odpowiednie zarządzanie rybołówstwem. Podczas tegorocznego Kongresu Morskiego zagadnienie to zostało przedyskutowane m.in w panelu „Ekologia w gospodarce morskiej", który rozpoczął się prelekcją, w której w sposób holistyczny zostało ocenione środowisko Bałtyku. Wykład bazował na pracach wykonanych przy projekcie „Helcom Holas II", który ma na celu wsparcie nadbałtyckich państw członkowskich w wywiązaniu się z obowiązków wynikających z ramowej dyrektywy ws. strategii morskiej. Podobną ocenę stanu wód morskich, opartą na wskaźnikach biologicznych i abiotycznych, opracowują inne kraje zrzeszone w Unii Europejskiej.

Wieńcząca prelekcję dyskusja na temat wód pochodzących z oczyszczania spalin na statkach okazała się perfekcyjnym wstępem do kolejnego wykładu. Doktor inżynier Tadeusz Borkowski, profesor nadzwyczajny Akademii Morskiej w Szczecinie, w swoim wystąpieniu odniósł się do konieczności obniżenia emisji spalin pochodzącej z żeglugi morskiej. Przedstawił kompleksową ocenę efektów ograniczenia emisji SOx w kontekście wyboru sposobu oczyszczania gazów odlotowych i zastosowanego paliwa.

Uczestnicy szczecińskiej konferencji mogli również wysłuchać prelekcji na temat inwazji gatunków obcych, na których introdukcje narażone są wody portowe. W portach i im przyległych obszarach wypuszczane są wody balastowe statków i aby nie dopuścić do środowiskowo niekorzystnej wspomnianej introdukcji gatunków obcych, istnieją akty normujące systemy i metody obróbki wód balastowych.

Dwa dni szczecińskiej konferencji były wyczerpujące i uzbroiły polityków, zarządzających w przemyśle morskim oraz naukowców w niezbędną wymianę doświadczeń, która wystarczy im na najbliższy rok, kiedy ponownie spotkają się nad jeziorem Dąbie, aby porozmawiać o sile polskiej gospodarki, jaką bez wątpienia jest przemysł skupiony wokół Bałtyku.

Ewelina Kwiatkowska

eprasa.pl d2fc640a08

Jacek Przybylski

Donald, ale

Amerykański prezydent odwiedzi Warszawę przed Paryżem, Londynem i Berlinem. Nie ma lepszego argumentu, że izolacja Polski w świecie to mit

Air Force One z Donaldem Trumpem na pokładzie na polskiej ziemi ma wylądować wieczorem 5 lipca. Biały Dom podkreśla, że celem wizyty Donalda Trumpa będzie potwierdzenie „niezłomnego zobowiązania wobec jednego z naszych najbliższych europejskich sojuszników". Administracja 45. prezydenta USA dodaje również, że amerykański przywódca podkreśli podczas wizyty nad Wisłą swoje zaangażowanie we wzmocnienie „kolektywnej obrony" NATO.

To ważna zapowiedź, bo podczas majowej wizyty w kwaterze generalnej sojuszu w Brukseli amerykański przywódca nie wyraził dosłownie wsparcia dla artykułu 5 traktatu północnoatlantyckiego, który mówi, że napaść na jedno z państw członkowskich NATO jest traktowana jako agresja na cały sojusz. Podczas kampanii prezydenckiej Donald Trump deklarował zaś, że Stany Zjednoczone nie mogą tolerować faktu, iż większość sojuszników z NATO nie spełnia wymogu minimalnych wydatków na obronność na poziomie 2 proc. PKB. Wśród pięciu z 29 krajów sojuszu, które wydają co najmniej tyle, są m.in. Polska, a także Stany Zjednoczone, które na obronę przeznaczają 3,6 proc. PKB. Według nieoficjalnych wiadomości za zamkniętymi drzwiami Donald Trump wzywał nawet sojuszników do zwiększenia wydatków do minimum 3 proc. PKB.

Być może z tego powodu – jak podał serwis Politico – chociaż doradcy prezydenta umieścili w tekście jego przemówienia stosowny fragment, który wprost odnosił się do artykułu 5, Donald Trump, nie informując nikogo, miał wykreślić go tuż przed wygłoszeniem brukselskiej mowy. Brak zapewnienia o poważnym podejściu prezydenta USA do kolektywnej obrony mocno zaniepokoił wówczas europejskich liderów, obawiających się, że zmiana retoryki Waszyngtonu może zachęcić Moskwę do przetestowania stabilności sojuszu.

– W pełni zobowiązuję USA do artykułu 5 – podkreślał więc już po powrocie do Waszyngtonu Donald Trump, stojąc obok rumuńskiego prezydenta. – Zdecydowanie jesteśmy tu po to, aby bronić. Dlatego chcę, abyśmy dysponowali bardzo dużymi siłami, do czego konieczne są wystarczające fundusze – dodał.

Inna rzecz, że kontrowersyjna retoryka Trumpa może być skuteczna: prezydent Rumunii Klaus Iohannis chwalił się bowiem podczas tej samej konferencji prasowej, iż jego kraj podjął właśnie decyzję o zwiększeniu wydatków na zbrojenia z 1,4 proc. do ponad 2 proc. PKB.

U POLSKICH PRZYJACIÓŁ

Pierwsza podróż zagraniczna 45. prezydenta po Bliskim Wschodzie i Europie – m.in. w siedzibie NATO w Brukseli i na szczycie G7 we włoskiej Taorminie – nie dała gospodarzowi Białego Domu politycznych punktów. Nie zyskała bowiem najlepszych ocen wśród amerykańskich publicystów. Również sam Trump, znany z awersji do podróży zagranicznych, nie mógł czuć się zbyt dobrze wśród europejskich liderów, którzy nie ukrywali

eprasa.pl d2fc640a08

nasz

FOT. REUTERS/FORUM

chłodnego stosunku do nowego gospodarza Białego Domu.

Aby poprawić notowania Donalda Trumpa w USA i zatrzeć złe wrażenie po pierwszej zagranicznej wyprawie, doradcy 45. prezydenta najwyraźniej podjęli decyzję o ofensywie dyplomatycznej, której efekty ma być widać podczas lipcowego politycznego tournée Donalda Trumpa po Europie.

Jednocześnie wizyta amerykańskiego prezydenta w Polsce – zapewne niezbyt mile widziana przez Władimira Putina, z którym Trump spotka się już po wizycie nad Wisłą – może mieć istotne znaczenie dla gospodarza Białego Domu. Pozwoli bowiem zneutralizować potencjalnie negatywny dla przywódcy USA wydźwięk jego spotkania z prezydentem Rosji. Rządy Trumpa od samego zaprzysiężenia paraliżuje bowiem teza o rzekomych tajemnych powiązaniach jego i jego politycznego zaplecza z najważniejszymi ludźmi w Moskwie. Amerykanie niczym dobry serial polityczny oglądają zaś w barach i przed domowymi telewizorami kolejne odcinki „Russiagate", jak nazywane są przesłuchania przed senacką komisją ds. wywiadu, badającą potencjalne powiązania sztabu Trumpa z Rosją. To utrudnia prezydentowi przeprowadzenie zapowiadanych w kampanii reform, które obniżyłyby podatki, wprowadziły zachęty dla przedsiębiorców i doprowadziły do zmiany systemu opieki zdrowotnej.

Wizyta w Polsce – kraju wyjątkowo przychylnym Stanom Zjednoczonym – może być więc dla Trumpa okazją nie tylko do odbudowy wizerunku oraz własnego ego, lecz także do wyraźnego pokazania amerykańskim mediom, że choć pomysły Trumpa nie podobają się w państwach starej Europy (w bezprecedensowy sposób krytykują je zarówno kanclerz Niemiec Angela Merkel, jak i prezydent Francji Emmanuel Macron), to w Europie Środkowo-Wschodniej są oceniane wyjątkowo przychylnie. I nie chodzi tylko o podobieństwa w retoryce obu rządzących obozów – Donald Trump nawołuje, aby „uczynić Amerykę znowu wielką", a premier Beata Szydło wzywa Europę, aby wzorem Polski „powstała z kolan". Nowe władze zarówno w Waszyngtonie, jak i w Warszawie sceptycznie podchodzą do różnego rodzaju organizacji międzynarodowych, takich jak choćby Unia Europejska, a zwłaszcza krytycznie oceniają próbę ograniczania suwerenności konkretnych krajów. Prezydent Donald Trump na początku roku wprost przyznał, że jest mu wszystko jedno, czy Unia Europejska przetrwa, czy pozostanie jednością, i zapowiadał, że za Wielką Brytanią pójdą inne kraje. Nad Wisłą do wzrostu nastrojów eurosceptycznych prowadzą np. niezrozumiałe działania unijnych biurokratów, choćby decyzja Komisji Europejskiej o wszczęciu procedury w sprawie naruszenia prawa UE wobec Polski, Czech i Węgier za odmowę relokacji uchodźców.

W przeciwieństwie do Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii – gdzie dużo bardziej popularny od Trumpa był Barack Obama – w Polsce nowy gospodarz Białego Domu nie musi obawiać się protestów.

Jest więc bardzo prawdopodobne, że korzystając z niezwykle przychylnego nadwiślańskiego audytorium, będzie chciał wygłosić w Polsce jedno z najważniejszych przemówień swojej prezydentury. Jego główne tezy mogą przejść do historii jako „doktryna Trumpa" i ułatwić trudne rozmowy z innymi europejskimi przywódcami podczas lipcowego szczytu G20 w Niemczech.

To, że tak ważne słowa padną w Warszawie, podkreśli również znaczenie naszego regionu na światowej sza-

eprasa.pl d2fc640a08

chownicy i będzie jednocześnie jasnym sygnałem dla Moskwy. Wymiar tej wizyty nie musi być jednak tylko symboliczny. Polski i amerykański prezydent z pewnością będą bowiem rozmawiali m.in. o przedłużeniu rotacyjnej obecności amerykańskich żołnierzy w Polsce, a być może nawet o możliwym zwiększeniu ich liczby.

ISLAMSKIE ZAGROŻENIE

Gospodarza Białego Domu i rządzących w Polsce polityków łączą nie tylko polityczne hasła, lecz także konkretne punkty programu politycznego i gospodarczego. Jednym z nich jest ocena polityki migracyjnej prowadzonej przez niemiecką kanclerz Angelę Merkel. Donald Trump ponad pół roku temu w wywiadzie dla dziennika „Bild" stwierdził, że popełniła ona „skrajnie katastrofalny błąd, wpuszczając do kraju wszystkich tych nielegalnych".

Trump wprost przedstawia Państwo Islamskie oraz terroryzm islamski jako jedno z największych zagrożeń dla Ameryki, któremu zapobiec może zahamowanie imigracji z państw Bliskiego Wschodu lub przynajmniej ścisła kontrola nad tym, kto przyjeżdża do danego kraju.

W grudniu 2015 r., kilka dni po masakrze w kalifornijskim mieście San Bernardino, gdzie 29-letnia Tashfeen Malik i jej mąż, 28-letni Syed Rizwan Farook, zastrzelili 14 osób i ranili 21, Donald Trump wezwał do wprowadzenia całkowitego zakazu wjazdu do USA dla muzułmanów. – Dopóki nie jesteśmy w stanie zrozumieć tego problemu i związanych z nim zagrożeń, dopóty nasz kraj nie może być ofiarą straszliwych ataków ze strony ludzi, którzy wierzą w dżihad – oświadczył wówczas.

– Ci, którzy nie wierzą w naszą konstytucję, w nasze wartości, nie będą wpuszczeni do naszego kraju. Wizy będą wydawane tylko tym, którzy akceptują i popierają nasz system. Nie potrzebujemy zwolenników prawa szariatu. Nasz kraj ma dość problemów, nie potrzebujemy innych – zapowiadał Trump latem zeszłego roku, jeszcze jako republikański kandydat na prezydenta.

Już jako gospodarz Białego Domu, mimo olbrzymiej krytyki ze strony środowisk liberalnych, Donald Trump dwukrotnie wydał tzw. dekret antyimigracyjny, wprowadzający czasowy zakaz wjazdu dla obywateli Iranu, Libii, Syrii, Somalii, Sudanu i Jemenu. Jego realizacja została jednak wstrzymana po wyroku sądu, który uznał go za dyskryminujący ze względu na religię i z tego powodu sprzeczny z amerykańską konstytucją.

CZARNE ZŁOTO

Donald Trump – ku niezadowoleniu wielu zachodnich przywódców, w tym władz w Paryżu i Berlinie – wycofał również Stany Zjednoczone z paryskiego porozumienia klimatycznego. Porozumienia, które wielu przywódców państw G20 wychwalało jako przykład wzorcowego traktatu, który może uchronić świat przed zmianami klimatu.

Za ten ruch na amerykańskiego przywódcę może czekać w Niemczech wiele gorzkich słów. Trump nie będzie musiał się jednak obawiać krytyki ze strony rządu Beaty Szydło, który również wspiera górnictwo, dotując spółki węglowe miliardami złotych.

Donalda Trumpa i rząd PiS łączy nie tylko polityczna retoryka, lecz także konkretne punkty programu politycznego i gospodarczego

Nowa amerykańska administracja wycofała się także z tzw. wojny z węglem. Prezydent Trump podpisał też wiosną dekret o „niezależności energetycznej", który zmienił regulacje wprowadzone za rządów Baracka Obamy ograniczające emisję gazów cieplarnianych w elektrowniach węglowych. Amerykański przywódca przekonuje bowiem, że należy pozbyć się regulacji ograniczających swobodę ekonomiczną stanów i jednocześnie pozwolić górnikom na powrót do pracy (od czasu, gdy Trump został prezydentem, w USA powstało ok. 1 tys. nowych miejsc pracy dla górników).

AMERYKA KONTRA GAZPROM

Poza potencjalnymi politycznymi zyskami z wizyty w Polsce dla niezwykle pragmatycznego przywódcy Stanów Zjednoczonych ważne mogą być też aspekty biznesowe.

Amerykański prezydent w Polsce ma bowiem spotkać się nie tylko z prezydentem Andrzejem Dudą, lecz także z przywódcami inicjatywy Trójmorza. W inicjatywę tę zaangażowanych jest 12 państw Europy Środkowo-Wschodniej, położonych między Bałtykiem, Morzem Śródziemnym i Morzem Czarnym: Polska, Czechy, Słowacja i Węgry, Litwa, Łotwa i Estonia, Słowenia, Chorwacja, Bułgaria, Rumunia, a także Austria. Potencjalnie w grę wchodzą więc intratne kontrakty w branży energetycznej, zbrojeniowej i logistycznej.

Stany Zjednoczone za rządów Donalda Trumpa stają się coraz silniejszym graczem wśród eksporterów skroplonego gazu ziemnego (LNG). Na początku czerwca w ceremonii powitania pierwszego transportu ok. 100 mln m sześc. LNG ze Stanów Zjednoczonych do gazoportu im. Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu – ogromny gazowiec o długości niemal 300 m przypłynął z Luizjany do Polski w niespełna półtora miesiąca – wzięła udział premier Beata Szydło. Amerykanom zależy na nowych rynkach zbytu, bo sukces rewolucji łupkowej wspiera powstawanie w USA nowych miejsc pracy, tymczasem władzom w Warszawie na dywersyfikacji źródeł energii i wzmocnieniu bezpieczeństwa energetycznego w czasach, gdy przez pobłażliwą politykę Berlina wobec Moskwy Rosjanie nie tylko mogli wybudować Nord Stream I, lecz także pokonują kolejne bariery stojące na drodze do budowy Nord Stream II (kilka tygodni temu Komisja Europejska wbiła rządowi w Warszawie nóż w plecy, stwierdzając, że unijne prawo nie stosuje się do morskiej części gazociągu, przez co niekorzystny dla Polski projekt, który będzie finansował reżim w Moskwie przez kilkadziesiąt lat, staje się coraz bardziej realny).

TARCZA I SAMOLOTY

Polski resort obrony podpisał też w kwietniu z amerykańskim koncernem Boeing kontrakt wart ponad pół miliarda dolarów (ok. 2 mld zł) na zakup trzech średniej wielkości samolotów do przewozu najważniejszych osób w państwie. A to przecież tylko początek zakupów, które planuje MON.

Na rozstrzygnięcie czeka choćby wart kilka miliardów złotych przetarg na śmigłowce dla naszej armii, w którym oferowane są m.in. amerykańskie black hawki. Szef MON zamierza też wydać ok. 30 mld zł na system obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej w ramach programu „Wisła". Minister Antoni Macierewicz pod koniec marca zapowiedział, że ma nadzieję, iż pod koniec obecnego roku zostanie podpisana umowa na system antyrakietowy Patriot, produkowany przez amerykańską firmę Raytheon.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d2fc640a08

FOT. PIXABAY

ZBURZĄ EUROPARLAMENT I ZBUDUJĄ NOWY?

W ubiegłym tygodniu – jak ujawniło Radio RMF FM – władze Parlamentu Europejskiego dyskutowały na temat tego, czy nie należy zburzyć ich brukselskiej siedziby. Europosłowie nie boją się napływu nielegalnych imigrantów, a wręcz go mocno wspierają, za to obawiają się, że w przypadku zamachu terrorystycznego siedziba PE w Brukseli może się zawalić. Budynek nie ma zbyt stabilnych fundamentów i oparty jest na belkowo-słupowej konstrukcji. Luksusowa siedziba powstała zaledwie 18 lat temu za ponad 300 mln euro. Ten wydatek przed laty okrzyknięto „kaprysem Bogów". Jak wynika ze wstępnych analiz, wzmocnienie budynku pochłonęłoby kolejne setki milionów euro. Ekspertyza techniczna ma wyjaśnić, czy nie taniej będzie zburzyć budynek PE i wybudować nowy.

POMOC PRAWNA DLA TERRORYSTY

Dżihadysta, który odsiedział dziewięcioletni wyrok, stara się o możliwość pozostania w Wielkiej Brytanii. Państwo dało mu fundusze w ramach pomocy prawnej – 250 tys. funtów. Mężczyzna, którego tożsamości nie ujawniono, przyjechał na Wyspy po atakach 11 września 2001 r. jako uśpiony agent. W sądzie został opisany jako „model nowoczesnego terrorysty Al-Kaidy". Znaleziono przy nim podręczniki z poradami o tym, jak atakować kluby nocne i lotniska. Teraz mężczyzna walczy o to, by nie być deportowanym. Uważa, że naruszy to prawa człowieka, bo po wydaleniu grożą mu tortury i śmierć. Z brytyjskimi urzędami spiera się teraz za pieniądze podatników.

BO NIE CHCIAŁA TĘCZOWEJ KOSZULKI

Piłkarka nożna – Jaelene Hinkle – zrezygnowała z gry w kobiecej reprezentacji USA. Nie chciała się zgodzić na udział w projekcie związanym z miesiącem dumy LGBTQ. Narodowa organizacja piłki nożnej włączyła się w niego w ten sposób, że piłkarki miały w lipcu występować w koszulkach z numerami namalowanymi w kolorach tęczy – symbolu środowisk LGBTQ. Hinkle powiedziała, że dla niej tęcza jest biblijnym symbolem. Już wcześniej, gdy w 2015 r. Sąd Najwyższy USA wydał pozytywne rozstrzygnięcie w sprawie małżeństw homoseksualnych, piłkarka na swoim Instagramie nie opublikowała gejowskiej flagi. Zamiast niej wkleiła zdjęcie krzyża.

RYBA GROŹNA JAK KRZYŻ

W tej rubryce opisywaliśmy już przypadek nauczycielki z Berlina, której władze szkolne zakazały noszenia łańcuszka z krzyżykiem – zdaniem urzędników i władz szkoły taka biżuteria naruszała zasadę neutralności państwa (placówka jest publiczna). Nauczycielka zakazowi się podporządkowała, ale jej kłopoty się nie skończyły. Jak poinformowały niemieckie media – zamiast krzyżyka zaczęła nosić rybę. Rzecznik szkoły zapowiedziała, że jeśli ryba noszona będzie jako symbol chrześcijański, to i z taką ozdobą nauczycielce nie wolno pokazywać się w szkole.

POLITYCZNA PORNOWPADKA

Ramon Perez, członek Izby Reprezentantów Stanowych w USA, rozesłał plik z artykułem z Wikipedii. Sprawa dotyczyła płatności dla kierowców, którzy uczestniczą w wypadkach z kierowcami nieposiadającymi licencji. Opinię publiczną zainteresował jednak inny wątek. Zdjęcie komputerowego ekranu obejmowało bowiem całą przeglądarkę internetową i widać było na nim otwarte w tle inne karty z tytułami „teen" i „young". Natychmiast pojawiły się podejrzenia, że legislator ujawnił, iż podczas pracy przeglądał też strony porno. Perez w lokalnej telewizji za ten incydent przeprosił, ale tłumaczył, że na zdjęciu był zrzut ekranu jego kolegi – to on miał mu wysłać zdjęcie artykułu z Wikipedii. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **ŁUKASZ ZBORALSKI**

eprasa.pl d2fc640a08

Taniej zabić, niż pomóc

Z Johnem Smeatonem, szefem najstarszej i największej brytyjskiej organizacji pro-life Society for the Protection of Unborn Children (SPUC)
rozmawia Piotr Włoczyk

FOT. VOICE OF THE FAMILY

PIOTR WŁOCZYK: Jak wygląda na Zachodzie przyszłość ludzi z zespołem Downa?

JOHN SMEATON: Tragicznie. U nas, w Wielkiej Brytanii, 92 proc. dzieci, u których przed narodzeniem diagnozuje się zespół Downa, czeka aborcja. Trudno w to uwierzyć, ale są miejsca, gdzie jest jeszcze gorzej. Przykładowo na Islandii ten odsetek wynosi... 100 proc., czyli ci wyjątkowi ludzie przestali tam właściwie przychodzić na świat.

Również w Polsce jest to duży problem: zdecydowana większość „legalnych" aborcji dokonywana jest u nas właśnie z powodu wykrycia zespołu Downa.

Niestety, jak widać, jest to problem ogólnoświatowy, choć są miejsca, gdzie eliminacja niepełnosprawności jest już oficjalną polityką – brytyjski Departament Zdrowia aprobuje i wspiera nowe testy, które sprawią, że jeszcze więcej dzieci z zespołem Downa będzie branych na cel. Trzeba protestować przeciwko temu właśnie dlatego, że jest to wymierzone w te najbardziej bezbronne z bezbronnych dzieci.

Jednak ciężko odmawiać rodzicom prawa do wiedzy. Lepiej chyba wiedzieć, co nas czeka, niż żyć w nieświadomości?

Oczywiście to prawda, tylko pytanie, co jest celem całej tej procedury. Jeżeli celem jest przygotowanie się rodziców na przyjście na świat niepełnosprawnego dziecka, to oczywiście nie ma w tym niczego złego. Jeżeli jednak chodzi o – a w tym przypadku nikt tego specjalnie nie ukrywa – otwarcie przed matką możliwości zabicia dziecka, to trzeba to głośno i stanowczo potępiać.

Niestety, mamy u nas do czynienia z rządem wspierającym zabijanie ludzi, których powinno się otoczyć najlepszą opieką. Celem jest stworzenie „doskonałego" świata, w którym ludzie niepełnosprawni po prostu przestaną się rodzić. W Wielkiej Brytanii ta polityka jest otwarcie promowana przez część instytucji medycznych, a także przez nasz rząd, głównie na gruncie ekonomicznym.

Co pan rozumie przez „otwarte promowanie"?

W 2005 r., pod rządami Tony'ego Blaira, ukazał się rządowy raport, w którym policzono, ile państwo musiałoby dodatkowo wydać, gdyby zakazać aborcji. Szczególnie dużo uwagi poświęcono w tym raporcie przedstawieniu kosztów opieki nad niepełnosprawnymi dziećmi na tle kosztów diagnozowania chorób w okresie prenatalnym oraz dokonywania aborcji. Ten rachunek jest bezlitosny dla ludzkiego życia: dla władz taniej jest abortować, niż otaczać opieką. I to się właśnie dzieje na naszych oczach.

Ten raport powstał jednak lata temu, Tony Blair to laburzysta, a przecież od 2010 r. Wielką Brytanią rządzą konserwatyści.

Pod tym względem przynależność partyjna rządu właściwie nie ma większego znaczenia. Partia Konserwatywna w swoim programie nie zajmuje wprawdzie oficjalnie stanowiska w sprawie aborcji, ale kolejni liderzy torysów

eprasa.pl d2fc640a08

opowiadali się w ten lub w inny sposób za szerokim dostępem do aborcji.

Pamiętajmy, że pod rządami Theresy May wprowadzono obowiązkowe zajęcia z edukacji seksualnej od czwartego roku życia.

Nie będę ukrywał: to olbrzymi cios dla ruchu pro-life, ponieważ to właśnie przez edukację seksualną tego typu kształtuje się u ludzi potworne przekonanie, że aborcja to właściwie zabieg medyczny jak każdy inny... Niestety, prawda jest taka, że Theresa May praktycznie niczym nie różni się w tym temacie od Margaret Thatcher.

Pańskie słowa mogą spowodować u części czytelników dysonans poznawczy. Czy pan wie, że Żelazna Dama to idolka polskiej prawicy, uważana za niezłomną konserwatystkę z krwi i kości?

Zdaję sobie sprawę, że Margaret Thatcher jest dla wielu ludzi legendą. Na pewno część jej działań była rozsądna i przysłużyła się dobrze nam wszystkim. Jednak to właśnie za jej rządów prawo zostało tak zmienione, by można było dokonywać aborcji do samego końca ciąży w przypadku wykrycia u dzieci chorób. Z kolei limit czasowy w większości innych przypadków został wówczas ustalony na 24. tydzień.

Jak to prawo jest realizowane w praktyce w Wielkiej Brytanii? Jakie wady pozwalają na zgodne z prawem dokonanie aborcji nawet pod sam koniec ciąży?

Niestety, nawet niewielkie wady otwierają taką furtkę. Przykładowo rozszczep podniebienia jest według naszego prawa wystarczającym powodem... (średnio rocznie w Wielkiej Brytanii dochodzi do 10 takich przypadków, obecnie rozszczep podniebienia z powodzeniem jest leczony operacyjnie – przyp. red.). Takie przypadki jak zabijanie dzieci tylko dlatego, że mają rozszczepione podniebienie, są nośne, ludzie o tym mówią, ale tak naprawdę nie ma znaczenia, czy aborcja przeprowadzana jest z powodu małej czy dużej wady. Właśnie zabijanie tych najbardziej chorych jest szczytem zła, ponieważ to im się należy najlepsza opieka z naszej strony.

Czyli Partia Konserwatywna i Partia Pracy to dla pana pod tym względem właściwie żadna różnica?

Nigdy nie prowadziliśmy naszej działalności pod kątem opowiadania się za tą czy inną partią. Zawsze prosimy ludzi, żeby dokładnie przyjrzeli się, jakie poglądy mają konkretni kandydaci.

Politycy reprezentujący zarówno obóz pro-life, jak i pro-choice są w obu partiach, ale statystycznie rzecz biorąc, w Partii Pracy jest o wiele więcej polityków proaborcyjnych. Dzieje się tak, ponieważ już od dekad lewicowe środowiska przykładają ogromną wagę do wyselekcjonowania kandydatów o takich właśnie poglądach.

Davida Camerona również zalicza pan do obozu przeciwnego ruchowi pro-life? Pamiętajmy, że ten były brytyjski premier sam miał niepełnosprawne dziecko.

Ciężko to zrozumieć, ale mimo śmierci tego chłopca David Cameron oraz jego żona otwarcie opowiadali się za prawem do aborcji aż do porodu.

Niestety, ten polityk poważnie szkodził ruchowi pro-life, opowiadając się za regulacjami osłabiającymi pozycję rodziny. To właśnie on robił wszystko, by przez parlament przeszła ustawa o tzw. małżeństwach homoseksualnych, chociaż w programie Partii Konserwatywnej nie było takiego rozwiązania. Wielu sympatyków torysów było zszokowanych tą polityką (więcej konserwatywnych posłów głosowało przeciw tej ustawie niż za nią, ale niemal cała Partia Pracy była za – przyp. red.). Wiele wskazuje na to, że był to jeden z głównych powodów rozpisania referendum w sprawie brexitu – chodziło o uspokojenie nastrojów wśród tych konserwatystów, którzy nie mogli się pogodzić z uchwaleniem tego prawa. Swoją drogą Theresa May też jest zwolenniczką tzw. małżeństw jednopłciowych.

Porozmawiajmy chwilę o Polsce. Jak pan patrzy na polskie prawo w kontekście tego wszystkiego, o czym rozmawialiśmy? Nasze prawo, nazywane przez wiele feministek „średniowiecznym", to na tym tle niemal ideał?

Absolutnie nie uważam polskiego prawa w tym zakresie za idealne ani jakkolwiek bliskie ideału. Jeżeli już, to podziwiam wysiłki polskich obrońców życia, które sprawiły, że w Polsce zabijanych jest o wiele mniej dzieci niż w innych krajach.

Niestety, polska ustawa aborcyjna również zakłada wyjątki pozwalające zabijać dzieci, które właśnie najbardziej potrzebują opieki społeczeństwa, a także te, które zostały poczęte w wyniku gwałtu. To bardzo niesprawiedliwe prawo, więc proszę się nie dziwić, że mocno kibicowałem wysiłkom Ordo Iuris, które starało się wprowadzić prawdziwie humanitarne prawo. Ustawy, które są tak jawnie niesprawiedliwe, nie są tak naprawdę prawem. Już św. Tomasz z Akwinu wskazywał, że są to w istocie akty przemocy.

Jeszcze ktoś pomyśli, że w gruncie rzeczy pod względem moralnym nie widzi pan większej różnicy między polskim a brytyjskim prawem w tej kwestii.

Odpowiem pytaniem: Czy prawo, które pozwala zabić dwie osoby na 10, jest naprawdę lepsze od prawa, które pozwala zabić osiem osób na 10? Według mnie jedno i drugie jest po prostu jawnie niesprawiedliwe.

Pańska organizacja obchodzi w tym roku 50-lecie. Rozpoczęliście działalność w odpowiedzi na legalizację aborcji w Wielkiej Brytanii. To półwiecze to ciągła walka?

Nie ukrywam, że jest bardzo ciężko. Najgorzej było w 1990 r., właśnie za rządów Margaret Thatcher, gdy doszło do legalizacji aborcji aż do porodu. Wtedy też zalegalizowane zostały u nas także in vitro oraz badania nad embrionem. Otworzyło to zupełnie nowy wymiar kultury śmierci.

Jednakże odnieśliśmy też sukcesy. Jednym z najważniejszych była skuteczna kampania mająca na celu niedopuszczenie do legalizacji aborcji na szeroką skalę w Irlandii Północnej, która jest częścią Wielkiej Brytanii. To był duży sukces, zważywszy na to, że Wielka Brytania pod wieloma względami jest „ojczyzną" kultury śmierci.

Zwykło się jednak myśleć, że to USA dzierżą w tej kwestii palmę pierwszeństwa.

A jednak Międzynarodowa Federacja Planowanego Rodzicielstwa (International Planned Parenthood Federation) rozpoczęła swoją działalność właśnie u nas. Również Marie Stopes International jest organizacją brytyjską. To właśnie Wielka Brytania „eksportowała" aborcję do miejsc, gdzie była ona niedostępna. Również dziś jesteśmy drugim największym zagranicznym sponsorem aborcji.

Musicie w Polsce uczyć się na błędach innych. Poszerzanie dostępności aborcji zawsze prowadzi do jednego – wolno absolutnie wszystko, a życie ludzkie nie jest nic warte.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d2fc640a08

Maciej Krasuski

Ukraińcy wyjeżdżający za pracą do UE nie uratują gospodarki swojego kraju. A wyludnianie może się skończyć nawet rozpadem naszego sąsiada

Wolny najmita

Po ponad trzech latach od rewolucji godności dla Ukraińców skończyły się długie kolejki przed placówkami konsularnymi unijnych państw. Od 11 czerwca mogą podróżować po UE bez wiz. To Majdan w radykalny sposób opowiedział się za integracją europejską i prawie przez 90 dni na mrozie walczył z reżimem Janukowycza, zmuszając go do ucieczki z kraju. Jednak czy na pewno ten ostatni okres w historii Ukrainy można uznać za jej sukces? I czy zniesienie wiz to zwycięstwo bohaterów Majdanu?

PRAWIE EGIPT

Przed rewolucją grabiona naddnieprzańska gospodarka była deficytowa. W gorące dni Majdanu białoruski analityk A. Pożydajew z agencji Regnum porównywał gospodarkę Ukrainy do gospodarki Egiptu. Twierdził, że ówczesny poziom życia Ukraińcy zawdzięczali nie tyle sile niegdyś najbardziej rozwiniętej i najlepiej zbilansowanej gospodarki republiki ZSRS, ile życiu na kredyt. Wyliczał: państwo Janukowycza i jego kamandy, utrzymując miejsca pracy, dokładało rocznie do nierentownego górnictwa ok. 2 mld dol. Na wypłatę zawyżonych emerytur i płac budżetówki z kasy państwa szło kolejne 5 mld dol. Zawyżony był również kurs hrywny, który generował ok. 2 mld dol. strat rocznie. Postępowało zadłużenie obywateli Ukrainy, a ceny błękitnego paliwa – zarówno dla energochłonnego ukraińskiego przemysłu, jak i zwykłych mieszkańców – kazały rządzącym sięgać do rezerw złotowo-walutowych po sumę 5 mld dol.

Trudno się dziwić, że budżet Ukrainy na rok 2014 zakładał deficyt na poziomie 15 mld dol. Trzeba jeszcze dodać, że według danych pionu analitycznego Służby Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU) w tym czasie na skutek korupcji państwo ukraińskie rocznie traciło ok. 10–15 proc. budżetu, a kolejne 10–20 mld dol. wyparowywało znad Dniepru do spółek typu offshore. I nie było odważnego, który chciałby tę nierentowność ukraińskiej gospodarki zmienić. Wystarczyło zlikwidować tylko te dwa ostatnie czynniki, aby rentowność przywrócić. Tego zabiegu bali się: Janukowycz, Tymoszenko, Juszczenko, a Kuczmę i Krawczuka można uważać za głównych architektów takiej sytuacji. Obecnego zaś włodarza trudno nazwać Naddnieprzańskim Odnowicielem.

EGIPT

Po trzech latach od rewolucji można powiedzieć, że gospodarka ukraińska w większości wyżej opisywanych przypadków się urealniła, a państwo zostało uwolnione z kajdan deficytu. W roku 2016 wynosił on nie 15 mld dol., lecz jedynie 2,5 mld dol. Tyle tylko, że sukcesy te są pozorne i osiągane kosztem obywateli. System grabienia państwa, odziedziczony przez rewolucjonistów, ma się dobrze, a nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, że został wręcz udoskonalony. Według ministra energetyki i przemysłu węglowego Igora Nasałyka górnictwo w 2015 r. przyniosło 4,4 mld euro strat wobec poprzednich 2 mld dol.

eprasa.pl d2fc640a08

Ukraińcy mogą już jeździć do UE bez wiz FOT. UKRAFOTO/EASTNEWS

Przy czym trzeba dodać, że dwie trzecie ukraińskich kopalń znajduje się po stronie kontrolowanej przez separatystów.

Korupcja również ma się dobrze. Według ostatnich dancyh Ukraina jest najbardziej skorumpowanym krajem w Europie.

Natomiast dzięki urealnieniu płac, emerytur i podniesieniu opłat komunalnych, w tym trzykrotnej podwyżce cen gazu, według oficjalnych danych już 60 proc. Ukraińców żyje poniżej granicy ubóstwa, a te nieoficjalne przesuwają tę granicę nawet do 80 proc. W efekcie nad Dnieprem pojawili się tzw. komunalni szahidzi, czyli osoby, które nie mogąc udźwignąć opłat komunalnych, popełniają samobójstwo.

W wymiarze makroekonomicznym dokonania rewolucyjnej władzy najlepiej odzwierciedla wysokość obecnego PKB, który w 2016 r. wyniósł 83,2 mld dol., a dla porównania w 2013 r. było to 183,3 mld dol.

Trudno więc mówić o sukcesie postmajdanowej gospodarki i uznać wzrost PKB na poziomie 2 proc. w 2016 r. i zapowiadany 2,2 proc. w roku obecnym za rzeczywisty progres, a nie jedynie wyhamowanie załamania gospodarczego.

W 2013 r. dochód statystycznego Ukraińca wynosił prawie 4 tys. dol. (3969 dol.), a obecnie Ukraińcy egzystują na poziomie niższym niż poziom mieszkańców Egiptu (Ukraina – 2052 dol., Egipt – 2700 dol.). Minimalna płaca na Ukrainie wynosi obecnie 1450 hrywien, czyli ok. 56 dol.

Majdan urealnił także siłę nabywczą hrywny. W epoce Janukowycza dolar kosztował osiem hrywien, potem jego wartość skoczyła nawet do 40. Obecnie za dolara trzeba zapłacić ok. 27 hrywien i to chyba głównie za sprawą gastarbeiterów (w 2015 r. transfery walutowe z Rosji wynosiły 1,1 mld dol., z Polski 5 mld dol.). Szkoda tylko, że to ekonomiczne urealnienie i zaciskanie pasa kosztem narodu tak naprawdę nie wpływa na poprawę kondycji ukraińskiego państwa. Jego zadłużenie zbliża się do rozmiaru PKB i wynosi ok. 70 mld dol., czyli 92,7 proc. PKB (za czasów Janukowycza dług ten praktycznie nie przekraczał 40 proc.).

BALCEROWICZ 2

To nie koniec złych wieści. Na siłę ukraińskiej gospodarki ma wpływ nie tylko popyt wewnętrzny ograniczony zubożeniem Ukraińców, lecz także deindustrializacja kraju. Nawet uwzględniając w statystykach ekonomicznych utratę Krymu i części Donbasu, trzeba przyznać, że proces zanikania przemysłu ukraińskiego na przestrzeni ostatnich trzech lat postępował w przyspieszonym tempie. Do czasu Majdanu Ukraina słynęła z przemysłu ciężkiego. Główną gałęzią jej eksportu była sprzedaż stali (dochód sięgał 17 mld dol.). Dzisiaj to jedynie 7,6 mld. Obecnie wkład w ukraińską gospodarkę bardziej realizują wspomniani gastarbeiterzy (6,45 proc. PKB).

W roku 2014 produkcja przemysłowa na Ukrainie spadła o 10,7 proc., a w następnym roku o 13,7 proc., by w roku 2016 osiągnąć wzrost 2,4 proc. I te dane tylko w niewielkim stopniu obrazują ogromną liczbę ukraińskich przedsiębiorstw, które przestały istnieć.

Czynnikiem dobrze obrazującym kondycję nowej gospodarki naszych sąsiadów jest wielkość eksportu, który na przestrzeni trzech lat spadł o 57 proc. Jedyną gałęzią, w której wielkość eksportu nie zmniejszyła się dwu-, trzy- lub czterokrotnie, jest sprzedaż produktów rolnych.

SIŁA NARODU

Na tle tych wszystkich statystyk jest jednak jeszcze jedna, która bardziej niepokoi niż wszystkie poprzednie.

Po upadku ZSRS Ukraina liczyła 51 mln obywateli. Liczba ta na skutek złej sytuacji ekonomicznej, szczególnie na początku lat 90. i obecnie, oraz braku przyrostu naturalnego stale się zmniejsza. Ukraińcy wyjeżdżają za chlebem za granicę. Ostatni spis powszechny z 2001 r. odnotował 48 mln Ukraińców, a po utracie Krymu i części Donbasu nieoficjalnie mówi się o 42 mln mieszkańców, choć niektórzy tę granicę przesuwają do 38 mln. Ekonomistka Larysa Szeslero szacowała liczbę naszych sąsiadów na podstawie opublikowanych 2 kwietnia danych Ukraińskiego Klubu Ekonomicznego, dotyczących spożycia nad Dnieprem chleba i mąki. Według tych wyliczeń obecnie na Ukrainie mieszka jedynie 24,5 mln obywateli.

Brak działań naprawczych obecnej ekipy zauważył obecny prezydent USA, który choć potępia aneksję Krymu i wojnę w Donbasie, to niekoniecznie chce umierać za obecną władzę w Kijowie.

29 maja Donald Tramp, przemawiając w Waszyngtonie przed przedstawicielami Rady Biznesu (Business Roundtable), oskarżył ukraińskie władze o rozpętanie ludobójstwa własnych obywateli – taką właśnie informację przekazało amerykańskie Radio CNN:

„Odnotowujemy znaczny spadek poziomu życia ludności Ukrainy. Widoczna jest niezdolność i niechęć władz ukraińskich do jakiejkolwiek poprawy sytuacji, wręcz przeciwnie, ich działania zmierzają do znacznego pogorszenia sytuacji w całej populacji. Trudno nie nazwać tego ludobójstwem własnego narodu" – stwierdził prezydent.

Na co dzień zza wschodniej granicy przeważnie docierają do nas informacje o wojnie w Donbasie i budowie „Nowej Ukrainy" opartej na ideologii UPA. Te czynniki ze zrozumiałych względów wywołują nad Wisłą niepokój, ale sytuacja ekonomiczna opisana powyżej nie jest mniej niebezpieczna zarówno dla nas, jak i samej Ukrainy. Zubożenie społeczeństwa i brak perspektyw wyludnia bardziej kraj niż tlący się konflikt na wschodzie kraju. Dalsze trwanie w takiej sytuacji może doprowadzić Ukrainę do rozpadu, co wróży spora część obserwatorów, lub zupełnie go wyludnić, co i tak w konsekwencji przyniesie podobny efekt. Lepiej będzie, jeśli słowa prezydenta Trumpa rządzący w Kijowie przyjmą nie jako groźbę utraty władzy, ale jako powód do niezwłocznej zmiany orientacji swych działań. Dalszy byt naszego sąsiada trudno uznać za rzecz oczywistą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d2fc640a08

Gdańsk na fali

Łukasz Zboralski

Dzięki portowi morskiemu w Gdańsku stajemy się morską potęgą. Obawiają się go najwięksi rywale na Bałtyku

Największy polski port morski od lat był jednym z liderów na Bałtyku. I wciąż się rozwija, w ostatnich latach bił więc kolejne rekordy ilości przeładowywanych towarów. O tym, jak szybko dogania dziś zagranicznych rywali, świadczy fakt, że już dwa lata temu Niemcy zaczęli się poważnie obawiać tej polskiej konkurencji dla Hamburga. Gdy kolejne kraje wyzwalały się spod jarzma ZSRS, zyskiwał właśnie tamten niemiecki port. W latach 90. rynki Europy Środkowo-Wschodniej zwiększały chłonność i towary dla nich przeładowywano w Hamburgu. To przeszłość. W Gdańsku wyrosła mu gigantyczna konkurencja. I choć wciąż jeszcze w Niemczech przeładowuje się dużo więcej towarów, to według analiz największy polski port za parę lat przejmie sporo tamtego ruchu.

DROGA DLA GIGANTÓW

Gdański port to drugi – po firmach transportowych – mocny dowód na to, że kiedy tylko Polakom stworzy się odpowiednie warunki, są w stanie wiele osiągać. Nasze ciężarówki zdominowały europejskie przewozy. Na morzu też wciąż rośniemy w siłę.

– Gdańsk w tej chwili jest na poziomie takich portów jak Ryga, Kłajpeda czy Göteborg – to przeładunki towarów na poziomie 40 mln ton rocznie – mówi Bogdan Ołdakowski, sekretarz generalny Baltic Ports Organization. Czy ma szansę stać się numerem jeden? – Największe na Bałtyku są porty rosyjskie: Sankt Petersburg, Ust-Ługa i Primorsk. Warto pamiętać, że porty rosyjskie obsługują ogromny rynek i poprzez nie eksportowane są przecież rosyjskie surowce naturalne. Z kolei Hamburg położony jest nad Morzem Północnym i obsługuje zdecydowanie większe rynki. Gdańsk ma natomiast predyspozycje, by być jednym z czołowych portów bałtyckich i zresztą już dziś nim jest.

Zdaniem ekspertów perspektywy są niezłe, ponieważ polskie porty obsługują rynki środkowoeuropejskie, a te rozwijają się szybciej niż pozostałe w Europie. Można więc zakładać, że wzrosty przeładunków w naszych portach będą większe niż w innych krajach.

Procentują też ogromne inwestycje, na które zdecydowano się w Gdańsku. Za ponad miliard złotych rozbudowano terminal DTC (Deepwater Container Terminal), w którym przeładowywane są kontenery. Dzięki temu nie tylko podwoiły się możliwości przeładunkowe z 1,5 mln TEU (jednostka określana pojemnością standardowego kontenera – przyp. red.) do 3 mln TEU rocznie, lecz także inwestycją w głębokowodne nabrzeże T2 otworzyliśmy polski brzeg na największe jednostki oceaniczne. Do tej pory towary z Azji trafiały do polskich portów mniejszymi statkami, po przeładunkach w portach-hubach na Morzu Północnym. Oceaniczne giganty wpływały głównie do portów w Hamburgu i Rotterdamie. Towary przeznaczone na rynki Europy Środkowo-Wschodniej i Południowej dalej płynęły na mniejszych jednostkach do wschodnich portów albo

eprasa.pl d2fc640a08

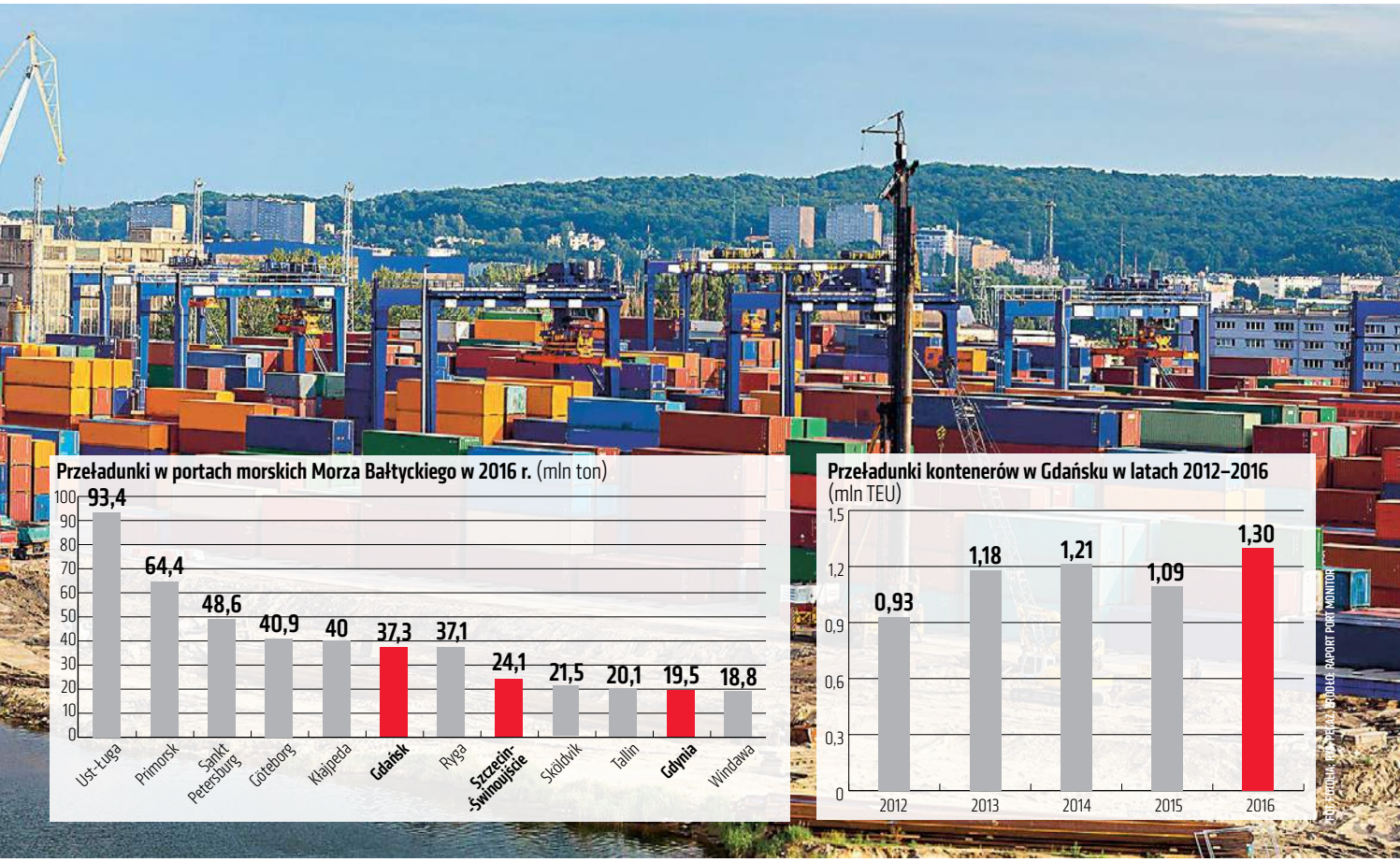

FOT. FOTOLIA, DTC PORT GDAŃSK, BIURO ZARZĄDU PORTU GDAŃSKIEGO, RAPORT PORT MONITOR

trafiały już w kontenerach na koła ciężarówek. Dzisiaj olbrzymie kontenerowce wpływają prosto do gdańskiego portu. Polski port jako jedyny z tych położonych na wschód od Cieśnin Duńskich ma takie możliwości.

W maju tego roku na współpracę z gdańskim terminalem DTC zdecydował się Ocean Alliance, w skład którego wchodzi czterech spośród największych armatorów kontenerowych świata. I już pod koniec tego miesiąca do portu zawinął największy w historii Polski kontenerowiec – chiński „Arctic Ocean", na którego pokładzie mieści się 19 tys. kontenerów. A w tym miesiącu zawinął już „Maya" o pojemności 19,9 TEU. I to nie koniec. Ponieważ niebawem w porcie zacumować ma statek „Hong Kong" zabierający na pokład 21 tys. kontenerów. Wielkie kontenerowce będą przybijać do polskiego brzegu co tydzień.

TRANSPORTOWY SZLAK

Głębokowodne nabrzeże to niejedyna inwestycja, która daje Gdańskowi możliwość stania się najważniejszym i najnowocześniejszym hubem przeładunkowym w Europie Środkowo-Wschodniej. Na gdańskim nabrzeżu działa już potężny nowy terminal naftowy umożliwiający magazynowanie blisko 700 tys. m sześc. ropy i produktów naftowych (zbudowany za ponad 400 mln zł). A niebawem za 300 mln zł powstanie największa na Morzu Bałtyckim baza do przeładunku i składowania towarów rolnych. W porcie i wokół niego w najbliższych latach powstaną jeszcze inwestycje za prawie 8 mld zł, bo sama infrastruktura portowa to nie wszystko.

– Warto pamiętać, że o konkurencyjnej pozycji portu nie świadczy sam port, ale też infrastruktura tzw. dostępowa. Czyli m.in. koleje i drogi, które łączą port z rynkiem – wskazuje Ołdakowski. – A rynek dla polskich portów to głównie centralna i południowa Polska, a w niektórych przypadkach trochę dalsze cele – Słowacja czy Czechy. Aby obsługiwać te rynki, musi być odpowiednia infrastruktura kolejowa i drogowa. Ta się w ostatnich latach zdecydowanie poprawiła. Wzrasta więc konkurencyjność nie tylko naszych portów, lecz także całych ciągów transportowych, które przez polskie porty prowadzą – dodaje.

Patrząc z tej perspektywy, trudno nie zauważyć, jakim zaprzepaszczeniem szans stałaby się niedokończona przez poprzedni rząd budowa jedynej autostrady przecinającej cały kraj od północy do południa. A1 ma bowiem w okolicach Częstochowy sporą wyrwę i PO-PSL zamierzały pozostawić tam jedynie trasę ekspresową. Obecny rząd zamierza tę drogę zbudować w klasie autostradowej.

Warto też zwrócić uwagę, jakim gospodarczym zagrożeniem dla konkurujących z Polską gospodarek jest plan użeglowienia polskich rzek, na który rząd chce przeznaczyć miliardy złotych. Powstanie przecież dodatkowy szlak wodny do transportu towarów. Czy również nie w takim kontekście należy oceniać protesty ekologów w tej sprawie?

O tym, co może być dalej, najlepiej świadczą liczby. W ubiegłym roku Port Gdański przeładował 37,3 mln ton towarów. Piąty rok z rzędu znalazł się na drugim miejscu w przeładunkach kontenerów (1,3 mln TEU) na Bałtyku. Największemu portowi kontenerowemu, jakim jest Sankt Petersburg, ustąpił o niecałe 500 tys. TEU. To tyle, ile według analityków w ciągu najbliższych lat Gdańsk odbierze portowi w Hamburgu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d2fc640a08

Unia na rzecz bogatych

Stefan Sękowski

Komisja Europejska prowadzi ofensywę przeciwko swobodzie przepływu usług. Chce, by kierowcy byli po trzech dniach pracy w innym kraju traktowani jako pracownicy delegowani, tych zaś chce obciążyć dodatkowymi kosztami

Wejście w życie pakietu drogowego będzie oznaczało ciężkie czasy dla transportowców z Europy Środkowej, w tym oczywiście z Polski. Wystarczy, że polski kierowca ciężarówki będzie pracował na terenie innego kraju Unii Europejskiej co najmniej trzy dni w miesiącu, a już będzie traktowany jak pracownik delegowany i w związku z tym obowiązywać go będą m.in. miejscowe regulacje dotyczące płacy minimalnej oraz ustalenia w ramach układów zbiorowych. Jest to najbardziej radykalne rozwiązanie spośród tych, które były rozważane; przedstawiciele branży transportowej byli skłonni zgodzić się na dziewięć dni w miesiącu.

To jednak nie wszystko, bo w pakiecie znajdują się także inne zapisy, które mogą zwiększyć koszty zatrudnienia. Po trzech tygodniach pracy za granicą kierowca będzie musiał na tydzień wrócić do domu, by odpocząć. Odpoczynek dłuższy niż 45 godzin musi odbywać się poza kabiną, co oznacza konieczność np. wynajęcia pokoju w hotelu. Uzasadnieniem jest oczywiście także bezpieczeństwo kierowcy i innych uczestników ruchu – wypoczynek w samochodzie jest tańszy, ale mniej regenerujący niż ten w pokoju z łóżkiem – jednak oczywiście także dodatkowo podnosi koszty wysłania takiego pracownika za granicę. Zmienić mają się zasady kabotażu, czyli sytuacji, w której np. polski kierowca przewozi dany towar tylko na terenie Niemiec. Obecnie można wykonać trzy takie transporty w ciągu tygodnia, KE proponuje zniesienie limitu, ale ograniczenie czasu, w którym mogą się one odbywać, do pięciu dni. W takiej sytuacji już od pierwszego dnia kierowca ma być traktowany jako pracownik delegowany.

OGRANICZENIA I SZYKANY

Pakiet zawiera także inne zapisy dotyczące choćby likwidacji winiet, z czym nie zgadza się np. Austria. Jednak nas interesują zwłaszcza szczegóły odnoszące się do naszych kierowców, zwłaszcza że sprawa ma szerszy kontekst. Projekt pojawia się w trakcie gorącego sporu o unijną dyrektywę, regulującą funkcjonowanie pracowników delegowanych. To choćby budowlańcy obsługujący inwestycje na Zachodzie oraz informatycy lub pracownicy obsługi biurowej zagranicznych firm, którzy co pewien czas muszą stawić się w siedzibie. Rocznie to ok. 500 tys. osób z samej Polski. A sprawa nie dotyczy tylko nas, bo wśród pracowników, których usługi się „eksportuje" do innych krajów Unii

eprasa.pl d2fc640a08

Unijna komisarz ds. transportu, Słowenka Violeta Bulc (w środku), zapowiada wprowadzenie pakietu drogowego; Bruksela, 31 maja 2017 r.
FOT. FRANCOIS WALSCHAERTS/EC

Europejskiej, zaledwie co czwarty jest Polakiem (reszta to głównie mieszkańcy innych „nowych" państw UE). Komisja Europejska chce, by tacy pracownicy mieli po przekroczeniu granicy płace zbliżone do wynagrodzeń swoich miejscowych konkurentów. Chodzi nie tylko o pensję, lecz także o ubezpieczenie, bonusy oraz dodatki.

Cel tych pomysłów jest widoczny już na pierwszy rzut oka – zmniejszenie konkurencyjności firm z Europy Środkowo-Wschodniej. W tym kontekście mówi się głównie o walce z „firmami-skrzynkami pocztowymi", czyli takimi, które nie tyle funkcjonują w Polsce czy w Czechach, ile mają tu jedynie swoje siedziby, de facto prowadząc działalność gospodarczą za granicą. Jako że mogą płacić swoim pracownikom mniej niż ich miejscowi odpowiednicy, mają nad nimi przewagę konkurencyjną. Nie wszystkie jednak firmy nadużywają tych rozwiązań – nie ma nic zdrożnego w tym, że jakiś przedsiębiorca realizuje inwestycje w różnych państwach, a tych także nowe regulacje uderzyłyby po kieszeni. Zresztą walka z polskimi firmami wysyłającymi pracowników za granicę trwa już od dłuższego czasu, czego przykładem jest np. objęcie polskich kierowców płacą minimalną w Niemczech i we Francji. Stosuje się także szykany administracyjne: niedawno „Dziennik Gazeta Prawna" opisała przypadek polskiej firmy budowlanej działającej we Francji, która przeszła w ubiegłym roku aż… 44 kontrole inspekcji pracy. „Mimo że reagujemy na każde wezwanie, kilka tygodni temu zastępca dyrektora inspekcji pracy wysłał do wszystkich naszych klientów pismo, w którym oznajmił, że działamy nielegalnie, i prosi ich o zakończenie współpracy z nami" – mówił „DGP" prezes firmy.

PROTEKCJONIZM WEWNĄTRZEUROPEJSKI

Paradoksalnie twarzą zjawiska staje się nowy prezydent Francji Emmanuel Macron. Ma wizerunek wzorowego Europejczyka i liberała, wręcz katechona powstrzymującego UE przed rozpadem (zwłaszcza po niedawnym zwycięstwie wyborczym z Marine Le Pen), jednocześnie w praktyce realizuje protekcjonistyczną politykę. Był pomysłodawcą prawa Macrona, które objęło płacą minimalną zagranicznych transportowców kursujących po francuskich drogach, teraz jest w awangardzie walki o zmianę regulacji dotyczących pracowników delegowanych. Trudno powiedzieć, na ile są to jego oryginalne pomysły, a na ile wynikają one ze świadomości, że obywatele krajów zachodnich mają dość integracji, która wiąże się z konkurowaniem z obcokrajowcami, i coraz częściej głosują na ludzi, którzy obiecują im opiekę i ochronę tego, co wydaje im się wieczne – ciepełka państwa socjalnego. Europejskie elity, chcąc utrzymać się u władzy w swoich krajach, przejmują część postulatów populistów narodowych, którzy chcą ograniczenia dostępu do rynku pracy obcokrajowcom, czy lewicowych dążących do wprowadzenia ogólnoeuropejskiej płacy minimalnej, co w ubiegłym roku zaproponował francuski socjalistyczny europoseł Guillaume Balas.

Ta walka z „dumpingiem socjalnym" (nawet gdyby owa „minimalka" określona była nie kwotowo, ale – dajmy na to – procentowo) mogłaby oznaczać wzrost bezrobocia w krajach naszego regionu i zmniejszyłaby naszą konkurencyjność. Płace we wschodniej części UE są niższe od tych na Zachodzie nie dlatego, że pracodawcy są pazerni (choć i tacy bywają), ale dlatego, że na tyle pozwalają ich możliwości.

POLSKA W AWANGARDZIE

Te proponowane regulacje nie uderzają jednak tylko w interes poszczególnych firm z Polski, Węgier czy Litwy, ale robią coś – z punktu widzenia Unii Europejskiej – znacznie gorszego. Podkopują cztery swobody wspólnego rynku UE, a szczególnie w tym przypadku swobodę przepływu usług. A to oznacza poważne zagrożenie dla integracji europejskiej jako takiej. Przecież zaczęła się ona od współpracy na niwie gospodarczej, co miało doprowadzić do zbliżenia między mieszkańcami Europy. I jeśli środkowoeuropejscy przedsiębiorcy będą musieli z przyczyn kosztowych ograniczyć się do własnego rynku wewnętrznego, to tego typu współpraca będzie rzadsza. Można wręcz powiedzieć, że bez owych czterech swobód (oprócz przepływu usług także osób, towarów i kapitału) integracja europejska staje się europejską kolonizacją, gospodarczą, polityczną i kulturową. Jest to widoczne zwłaszcza w momencie, gdy Komisja Europejska ignoruje głosy krytyczne, płynące np. od parlamentów 11 państw członkowskich (w tym Polski), które w ubiegłym roku pokazały projektowi dyrektywy dotyczącej delegowania „żółtą kartkę" w ramach funkcjonującego w UE mechanizmu wczesnego ostrzegania, ponieważ jest on ich zdaniem niezgodny z zasadą pomocniczości, czy wspólne oświadczenie premierów państw Grupy Wyszehradzkiej w tej sprawie z maja tego roku. W takiej sytuacji obowiązuje tylko naga siła, której z kolei państwa pokrzywdzone wcale nie muszą się poddać. A referendum brexitowe pokazuje, że opuszczenie Unii przez kraj, którego obywatele nie widzą dla siebie korzyści płynących z dalszego trwania w tym związku państw, wcale nie jest nierealne.

Wskazując na zagrożenia dla jedności europejskiej wynikające z tych regulacji, Polska może stanąć – przynajmniej w tej kwestii – w integracyjnej awangardzie. Paradoksalnie oskarżana o deptanie „europejskich wartości" broni tego, co leży u ich źródeł – pokojowej kooperacji. Warto używać tego argumentu, bo nie da się do niego przykleić łatki rzekomego egoizmu narodowego. Tym bardziej że sprawa nie jest jeszcze przegrana, a ewentualnego ostatecznego przyjęcia dyrektywy możemy się spodziewać dopiero za kilka lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji".

eprasa.pl d2fc640a08

Gorący czas dla energetyki

FOT. FOTOLIA

Agnieszka Łakoma

Polska ma kilka miesięcy na przekonanie Brukseli, że z przyczyn oczywistych nawet za 30 lat nasze elektrownie nie zrezygnują z węgla. To może się udać, jeśli udowodnimy, że robimy, co możemy, by nie zatruwać środowiska

Te kilka miesięcy to czas przygotowań i opracowań szczegółów tzw. pakietu zimowego, który łączy politykę klimatyczną z ideą bezpieczeństwa energetycznego. W praktyce zawiera nowe propozycje przepisów, które mają pomóc krajom wspólnoty w osiągnięciu celów polityki klimatycznej. A cele są jasne – mniejsza emisja szczególnie dwutlenku węgla, więcej energii z odnawialnych źródeł (czyli zielonej) i poprawa efektywności energetycznej. Teraz prace nad poszczególnymi zapisami trwają i w Parlamencie Europejskim, i w Radzie Unii Europejskiej, a to, co z nich wyniknie, będzie mieć – zwłaszcza dla krajów węglowych, takich jak Polska – ogromne znaczenie.

Polskie władze i energetycy od początku krytykują „pakiet zimowy", bo jeśli niektóre z propozycji w nim zawartych wejdą w życie, to będą wyjątkowo niekorzystne. I nie zmienia to tego, że nasz kraj wspiera politykę ochrony klimatu. Energetyka i przemysł emitują znacznie mniej szkodliwych substancji (w tym dwutlenku węgla) i jesteśmy pod względem redukcji emisji w pierwszej piątce w UE, a z roku na rok wytwarzamy więcej energii z wiatru, ze słońca i z biomasy.

Gdy miesiąc temu na Europejskim Kongresie Gospodarczym wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej Maroš Šefčovič mówił o gospodarce bez węgla do 2050 r., w kuluarach powiało grozą. A minister energii Krzysztof Tchórzewski niemal natychmiast zapowiedział, że to w polskim przypadku nie jest możliwe i w 2050 r. nadal połowę potrzebnej w kraju energii będą produkować elektrownie węglowe.

To i tak oznacza dla Polski znaczącą zmianę – niemal rewolucyjną, bo obecnie elektrownie na węgiel kamienny i brunatny dostarczają niemal 80 proc. energii.

– „Pakiet zimowy" jest dotkliwy ze względu na stan naszej energetyki, więc są powody, by zastanowić się nad przyszłością – mówi Herbert Gabryś, ekspert Krajowej Izby Gospodarczej.

Oprócz propozycji „pakietu zimowego" Komisja Europejska wprowadziła też nowe, ostrzejsze normy emisji zanieczyszczeń przemysłowych. Jak przyznał Henryk Baranowski, szef Polskiej Grupy Energetycznej, czyli największej firmy energetycznej w kraju, dostosowanie tylko własnych elektrowni do najnowszych norm emisji będzie kosztować ok. 1,8 mld zł.

Bruksela też szykuje zmiany w systemie handlu uprawnieniami do emisji dwutlenku węgla, które muszą kupować elektrownie węglowe. Dlatego zależnie od skali firmy energetyczne w Polsce wydają na ten cel setki milionów złotych

eprasa.pl d2fc640a08

– potentat, czyli Polska Grupa Energetyczna (PGE), w ubiegłym roku musiał zapłacić za pozwolenia 1,15 mld zł.

PROBLEM 550 KG

W Polsce budzi kontrowersje wiele propozycji z „pakietu zimowego" także odnoszących się bezpośrednio do rządów państw wspólnoty. Jeśli zostaną przyjęte, to np. każdy kraj będzie musiał przygotować plan w zakresie energii i klimatu i oddać go do akceptacji Brukseli. Zatem nawet jeśli polskie Ministerstwo Energii przygotuje optymalny – z punktu widzenia kraju – dokument, to Komisja Europejska i tak będzie mogła go zmienić lub zaproponować własne rozwiązania.

Najwięcej emocji wśród energetyków wzbudza jednak pomysł, by nowo budowane elektrownie mogły emitować nie więcej niż 550 kg dwutlenku węgla przy produkcji jednej megawatogodziny energii. Dlatego w niedawnym wywiadzie prezes Baranowski mówił, że „polskiej energetyce będzie niezwykle trudno sprostać tym wymaganiom i niestety tzw. pakiet zimowy w obecnej wersji uderza w interesy polskiej energetyki i całej naszej gospodarki". – A nowoczesne elektrownie węglowe muszą w Polsce powstać, bo w przeciwnym razie w perspektywie najbliższej dekady zabraknie nam energii elektrycznej. Pomysły, jakie proponuje Bruksela, czyli m.in. wymóg ograniczenia poziomu emisyjności CO_2 do maksymalnie 550 kg na MWh, pokrzyżują te plany inwestycyjne. I mało tego – jeżeli te nowe normy obejmą za pięć lat także elektrownie już działające, to część z nich trzeba będzie zamknąć. Jest to oczywiście najgorszy z możliwych scenariuszy dla Polski – dodał szef PGE.

Profesor Władysław Mielczarski z Politechniki Łódzkiej wyjaśnia, że problemem będzie finansowanie nowych elektrowni węglowych. – „Pakiet zimowy" narzuca normę 550 kg emisji w ten sposób, że przy jej przekroczeniu inwestorzy nie będą mogli skorzystać z pomocy publicznej. Bruksela więc formalnie nie zakazuje budowy elektrowni węglowych, ale nie chce, by zyskały wsparcie państwa, zatem tym samym finansowanie inwestycji przerzuca całkowicie na firmy. A w tej sytuacji zdobycie tego finansowania będzie niezwykle trudne – dodaje.

Ministerstwo Energii – obawiając się zastopowania inwestycji w elektrownie na węgiel – przygotowuje system pomocowy, ale musi on zyskać akceptację Komisji Europejskiej. Założenie (mechanizm zwany potocznie rynkiem mocy) jest takie, by elektrownie otrzymywały też wynagrodzenie za gotowość do produkcji energii, a nie tylko za samą produkcję. Rozmowy w tej sprawie na linii Warszawa – Bruksela trwają. Elektrownie mogą zyskać dodatkowe pieniądze, a chodzi o ogromne kwoty, liczone na miliardy złotych. Ministerstwo Energii szacuje wydatki z budżetu państwa na ten cel na ponad 10 mld zł do 2027 r. Obciążą one w znacznej części odbiorców.

Tak eksperci, jak energetycy zgadzają się, że szansą na przyszłość w kontekście unijnej polityki klimatycznej są elektrociepłownie, czyli nowoczesna kogeneracja. – Gdyby Bruksela zaakceptowała to, że w kogeneracji, czyli przy jednoczesnej produkcji ciepła i energii elektrycznej, łącznie emisja dwutlenku węgla jest mniejsza niż limit 550 kg, moglibyśmy w Polsce postawić na elektrociepłownie opalane węglem – wyjaśnia Jacek Szymczak z Izby Gospodarczej Ciepłownictwo Polskie.

Około 5 mln domów ogrzewanych jest w Polsce węglem

Profesor Mielczarski z Politechniki Łódzkiej dodaje, że elektrociepłownie mają tę zaletę, iż gwarantują stabilną produkcję energii, a jednocześnie zaliczane są do ulubionej przez Brukselę energetyki rozproszonej, czyli regionalnej.

„CZYSTE POWIETRZE", CZYLI DRUGA SZANSA DLA CIEPŁOWNI

Rząd niedawno przyjął program „Czyste powietrze", który ma ułatwić walkę ze smogiem w polskich miastach, czyli w praktyce z problemem tzw. niskiej emisji, a jednocześnie wpisuje się w unijną politykę klimatyczną.

Problem smogu to w znacznej mierze problem starych kotłowni i pieców na węgiel, w których często zamiast węgla „paliwem" są śmieci. Dlatego wiele polskich miast proponuje dopłaty do wymiany pieców na bardziej przyjazne środowisku. Czasem zdarza się tak, że chętnych na dopłaty jest więcej niż możliwości finansowych, ale też często właściciele domów zastanawiają się, co po wymianie i czy stać ich będzie na kupno lepszego, czyli droższego węgla.

Profesor Mielczarski uważa, że dopóki system jest dobrowolny, dopóty samymi zachętami sytuacji nie uda się poprawić. Jednak szansą w tym przypadku jest przebudowa ciepłowni.
– Mamy w kraju tysiące starych ciepłowni węglowych i od lat nic z nimi nie robimy. Wiadomo, że teraz część nadaje się tylko do likwidacji, ale tam, gdzie to możliwe, warto sięgnąć po unijne fundusze i przebudować je jako elektrociepłownie, opalane gazem lub biomasą – dodaje.

Tym bardziej że Polska należy do liderów europejskich, gdy chodzi o sieć ciepłowniczą. – Gdyby udało się z siecią dotrzeć do znacznej części gospodarstw domowych tam, gdzie tylko to możliwe, niska emisja nie byłaby już takim problemem – mówi Jacek Szymczak.

Około 5 mln domów ogrzewanych jest w Polsce węglem. Połowa zanieczyszczeń, które powodują smog, pochodzi właśnie z takich pieców.

RÓBMY SWOJE

Herbert Gabryś uważa, że skoro wiadomo, iż z węgla nie zrezygnujemy, to trzeba tylko znaleźć najlepszy sposób, by móc zbliżyć się do unijnych wymagań. – Pokazujmy Brukseli, co robimy w tym kierunku, że np. stawiamy na nowoczesne elektrownie i elektrociepłownie, ale też wspieramy produkcję z odnawialnych źródeł, choć jest kosztowna – dodaje.

Zdaniem prof. Mielczarskiego Polska nie powinna blokować „pakietu zimowego", lecz jedynie proponować pewne zmiany. – Nie warto iść pod prąd, bo przy obecnym układzie sił przegramy głosowanie – mówi. – Powinniśmy iść z prądem na tyle, na ile to jest możliwe. Nasza polityka powinna być aktywna i asertywna. Dopóki Komisja Europejska nie wprowadzi kar za niewykonanie jakiegoś wymogu, np. poziomu obniżenia emisji, dopóty nasza energetyka węglowa przetrwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest ekspertem w Centrum Gospodarczym im. Mikołaja Kopernika.

CENTRUM GOSPODARCZE im. Mikołaja Kopernika

Przyszłość polskiej energetyki, unijny pakiet klimatyczny i walka ze smogiem to główne tematy Energy News Congress, który odbędzie się 28 i 29 czerwca 2017 r. w Golden Floor Tower w Warszawie. Organizatorami są Centrum Gospodarcze im. Mikołaja Kopernika i tygodnik „Do Rzeczy".

Zgłoś swój udział: biuro@cgmk.pl

eprasa.pl d2fc640a08

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Mieszkanie Plus czy Minus

Obawiam się, że wcześniej czy później nazwa programu „Mieszkanie Plus" zostanie zmieniona na „Mieszkanie Minus". Z tego prostego powodu, że jest raczej wykluczone, by był on wykonalny. Czyli żeby się powiódł – jeśli za powodzenie, zgodnie z zamierzeniem jego twórców, uznać zlikwidowanie niedostatku mieszkań w Polsce.

Zgoda. Któż przy zdrowych zmysłach nie chciałby, żeby – jak zakłada ten projekt – po upływie najbliższych 13 lat zamiast 363 mieszkań na 1 tys. mieszkańców przypadało ich w Polsce 435? Czyli żeby do 2030 r. zbudowano w naszym kraju 2,8 mln mieszkań? A zatem by wznosić ich nie ok. 150 tys. rocznie, jak to się dzieje teraz – niemal wyłącznie za sprawą deweloperów – lecz 220 tys. I by w ramach całej puli 70 tys. mieszkań stawiano co roku zgodnie z państwowym programem „Mieszkanie Plus", a jednocześnie deweloperzy w dotychczasowym tempie rok w rok budowali co najmniej 150 tys. nowych lokali na zasadach rynkowych.

Otóż szanse realizacji tego pomysłu oceniam jako bliskie zera. Tym bardziej że już widać, iż napotyka on przeszkody, które były łatwe do przewidzenia od samego początku.

Po pierwsze, działki pod mieszkania pojawiają się nie w tych miastach, w których głód lokali jest największy – bo nie w Warszawie, we Wrocławiu ani w Poznaniu, lecz w Białej Podlaskiej, Dębicy, Stalowej Woli i innych podobnej wielkości miejscowościach.

Po drugie, nie wiadomo, jak sprawić – i czy to w ogóle jest do zrobienia – by ceny tych mieszkań nie przekraczały zakładanych 2–2,5 tys. zł za 1 mkw. I czy sugerowany brak wind, garaży oraz budowanie bloków z płyt na pewno wystarczą do utrzymania cen w ryzach.

Po trzecie, do dziś nie ma pewności, czy mieszkania te – jeśliby znalazły się odpowiednie lokalizacje pod ich budowę – stawiać będą spółki Skarbu Państwa czy prywatni wykonawcy i podwykonawcy.

Po czwarte – a może to od tego należałoby zacząć tę wyliczankę – instytucja odpowiadająca za realizację programu „Mieszkanie Plus", czyli BGK Nieruchomości, nie ma w tej sprawie specjalnie wielkiego doświadczenia.

Po piąte, Bóg jeden raczy wiedzieć, jak będzie wyglądało przydzielanie mieszkań z programu „Mieszkanie Plus", jeśli jakieś zostaną kiedyś oddane do użytku. Warto przy tym pamiętać, że dotychczasowe postępowanie z mieszkaniami komunalnymi to wprost niewyczerpane źródło pracy dla prokuratorów.

I wreszcie po szóste, państwo w roli budującego mieszkania rodzi w Polsce – po doświadczeniach z PRL – jak najgorsze skojarzenia. I nie ma żadnej pewności, że dzięki „Mieszkaniu Plus" będzie je można szybko zrewidować na korzyść, czyli wymienić na podobno lepsze skojarzenia – z krajów skandynawskich. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Programy szkół do zmian

Polska jest krajem utalentowanych programistów. Zespoły studenckie zajmują czołowe miejsca na światowych konkursach, koncerny międzynarodowe chętnie zatrudniają polskich programistów. Nowe technologie cyfrowe stopniowo zmieniają świat, te zmiany nabierają coraz większego tempa. Internet rzeczy za 10–20 lat będzie obecny wszędzie, powstaną miliony świetnie płatnych miejsc pracy dla osób, które będą znały języki programowania Internetu rzeczy, zagadnienia Big Data i sztucznej inteligencji. Polska może stać się światową potęgą w tej dziedzinie. Trzeba tylko zmienić program nauczania w szkołach. Dzieci i młodzież powinny uczyć się języków C++, Java, R i Python. Powinny poznawać zagadnienia związane z maszynowym rozpoznawaniem tekstu, dźwięku i obrazu.

Osiągnięcie dobrego poziomu w dziedzinie Big Data jest bardzo proste

Osiągnięcie dobrego poziomu w dziedzinie Big Data czy maszynowego rozpoznawania wzorców jest bardzo proste. Istnieje kilkanaście modeli, bardzo łatwych do opanowania, które pozwalają tworzyć większość zaawansowanych aplikacji Big Data i sztucznej inteligencji. To oznacza, że naukę tych zagadnień można rozpocząć znacznie wcześniej, nawet w szkole podstawowej. Warto też dodać, że te programy są darmowe i mogą być uruchomione na dowolnych komputerach, więc wydatki budżetowe na wdrożenie tych zmian programowych byłyby bardzo niskie.

Na przykład gdy młodzież uczy się geografii lub biologii, jednocześnie może uczyć się pozyskiwania wiedzy z Internetu za pomocą maszynowego rozpoznawania wzorców. Pewne trendy historyczne można analizować automatycznie, przeszukując elektroniczne biblioteki książek. Wiedzę o społeczeństwie można zgłębiać, analizując archiwa gazet za pomocą programów komputerowych.

Oczywiście natychmiast pojawia się pytanie, skąd wziąć nauczycieli, którzy będą uczyli tych technik. Związek Nauczycielstwa Polskiego mógłby zorganizować szkolenia dla nauczycieli na dużą skalę. Wystarczy kilka miesięcy, aby osoba bez żadnego przygotowania mogła zacząć stosować podstawowe modele z dziedziny Big Data i programować w języku R lub Python.

Istnieją obawy, że w związku z likwidacją gimnazjum wielu nauczycieli straci pracę. Jeżeli ci nauczyciele przejdą odpowiednie kursy przygotowawcze w opisywanych powyżej dziedzinach, to nie tylko te obawy okażą się bezpodstawne, lecz także dodatkowo wzmocnimy potencjał rozwojowy Polski. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl d2fc640a08

TEST „DO RZECZY": PANASONIC DC-GH5

Możliwość robienia zdjęć w rozdzielczości 20,3 Mpix, stabilizacja obrazu w pięciu osiach, opcja nagrywania wideo w rozdzielczości 4K z prędkością nawet 60 kl./s oraz funkcja 6K Photo – to największe zalety Lumix GH5, najnowszego bezlusterkowca Panasonica.

Ważący 725 g aparat, wykonany ze stopów magnezu, przypomina tradycyjne lustrzanki i sprawia wrażenie solidnego oraz trwałego. Producent zapewnia, że aparat jest odporny na kurz i zachlapania.

Trzymanie go ułatwia dość duża rękojeść. Bardzo wygodny jest też umieszczony nad wyświetlaczem dżojstik, który umożliwia m.in. nawigację po menu i regulację autofocusa.

Komfortowe fotografowanie ułatwiają zarówno bardzo szczegółowy wizjer elektroniczny OLED (o rozdzielczości aż 3,68 mln punktów i powiększeniu 0,76 x), jak i spory dotykowy ekran LCD (o przekątnej 3,2 cala i rozdzielczości 1,62 mln punktów), który jest na tyle jasny, że wyświetlany na nim obraz jest widoczny nawet w ostrym słońcu.

Japońscy inżynierowie usunęli z przetwornika filtr dolnoprzepustowy, dzięki czemu możemy uzyskać obrazy o wyższej ostrości i większej szczegółowości na przestrzeni całego kadru. Szybki autofocus oparty jest na detekcji kontrastu i – według producenta – umożliwia automatyczne ustawienie ostrości w czasie do 0,05 s.

Następca popularnego modelu GH4 bardziej niż do fotografów skierowany jest do miłośników filmowania. Najnowsze dziecko Panasonica umożliwia nagrywanie wideo bez straty kąta widzenia w rozdzielczości 4K z prędkością 60 kl./s lub z prędkością nawet 180 kl./s w trybie Full HD. GH5 umożliwia również m.in. robienie zdjęć w trybie 6K Photo, który pozwala rejestrować fotografie o rozdzielczości 18 Mpix. W tym modelu nie ma też ograniczenia czasu trwania nagrywania ani w jakości Full HD, ani w 4K.

Dużą zaletą dla miłośników filmowania z ręki jest też pięcioosiowa stabilizacja matrycy Dual I.S. 2., co znacząco ułatwia kręcenie filmów oraz robienie nieporuszonych fotografii.

Z praktycznego punktu widzenia świetnym rozwiązaniem jest drugie wejście na kartę pamięci. Dzięki temu możemy równolegle zapisywać zdjęcia i filmy na obu kartach (docenią to wszyscy ci, którzy po powrocie do domu odkryli nagle, że karta jest uszkodzona), płynnie zapisywać na drugiej karcie, gdy na pierwszej skończy się miejsce, lub na jednej karcie zapisywać zdjęcia, a na drugiej filmy. Istnieje też możliwość podmiany jednej z zapełnionych kart na nową podczas filmowania.

Oprócz tego aparat jest wyposażony m.in. w Bluetooth, Wi-Fi, NFC oraz wejście USB typu C. Akumulator o pojemności 1860 mAh pozwala na zrobienie na jednym ładowaniu ponad 400 zdjęć.

DC-GH5 to bardzo dobry aparat do kręcenia filmów w 4K, który świetnie nadaje się dla osób potrzebujących zaawansowanych możliwości, ale niechcących jeszcze inwestować w profesjonalne kamery wideo. Niestety, najnowszy flagowiec Panasonica nie jest tani. Samo body kosztuje ok. 8,7 tys. zł. Za komplet z obiektywem Leica 12–60 mm trzeba zaś zapłacić 11,7 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

STARY CZŁOWIEK I MORZE

A przynajmniej: stary człowiek i ryba. I może mieć z niej niezłą frajdę, nawet jeśli jest już starszą młodzieżą po czterdziestce, patrzącą na tego rodzaju gadżety nieco nieufnie. Już samym filmem reklamowym i hasłem: „First Bionic Wireless Underwater Fish Drone", zachęcającym do inwestowania w projekt na portalu crowdfundingowym, ten gadżet przykuwa uwagę. BIKI to miniaturowy, podwodny dron przypominający nieco małą drapieżną rybę. Zanurza się do 60 m, wyposażony jest w szerokokątną kamerę z opcją nagrywania 4K, ze stabilizatorem obrazu, z modułami do transmisji „live" i czujnikami nagrywającymi. BIKI można sterować z ekranu smartfona i na nim też obserwować aktualne otoczenie naszej rybki. Jak zapewniają pomysłodawcy, dron symuluje sposób rybiego pływania, poruszania płetwami w zależności od prądów wodnych, tak by nie płoszyć ewentualnych podwodnych żyjątek, które chcemy sfilmować. Do tego oczywiście sensory omijania przeszkód, specjalne wyciszenie silniczka, 8,3-pikselowy aparat. Kamera, o której wcześniej wspomniałem, w standardzie nagrywa w rozdzielczości 3840 x 160. To plusy. Minusy są dwa. Po pierwsze, w sprzedaży znajdzie się dopiero pod koniec lata. Po drugie, cena urządzenia wyniesie aż ok. 4 tys. zł. Gdyby ktoś zdecydował się zamówić ją już teraz, zapłaci nieco ponad 1,9 tys. zł.

ZAMASKOWANI

Moda na noszenie w wielkich miastach maseczek mających chronić przed zanieczyszczeniem powietrza nie mija. Daje się ją zauważyć na ulicach Warszawy, zwłaszcza wśród turystów z Japonii. Nie dziwi więc, że producenci masek mają się dobrze. Na rynek niebawem trafi Smart Cambridge Mask wyposażona w zestaw czujników i sensorów pozwalających na monitorowanie stanu zanieczyszczenia powietrza, wymienne filtry i przesyłająca na smartfon sygnał alarmowy. Producent zbiera na razie środki na uruchomienie produkcji na większą skalę, na Kickstarterze można zamówić ją już za ok. 80 zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl d2fc640a08

Spacerkiem przez ulicę

Joanna Bojańczyk

Dyktatura mody runęła. Trendów zrobiło się tak dużo, że ludzie przestali je rozumieć i przejmować się nimi. Stylem rządzi ulica

Kiedyś, w prehistorycznych czasach, czyli jakieś pięć lat temu, kobiety przejmowały się tym, co się dzieje na światowych wybiegach mody: w Paryżu, Nowym Jorku, Mediolanie. Marzyły, że zdobędą coś, co tam pokazano, niekoniecznie tej luksusowej, drogiej marki, ale choćby z sieciówki. I że pokażą się w tym, co właśnie się powinno nosić.

Dzisiaj to zainteresowanie oklapło. Kto chce wiedzieć, co jest modne, ten nie patrzy w tamtą stronę. Wchodzi na jeden z licznych fotoblogów „street style", pokazujących to, co noszą ludzie na ulicy. Nie wszyscy ludzie i nie na każdej ulicy oczywiście. Powiedzmy otwarcie, że wyrocznią w tych sprawach nie jest ulica w Olsztynie ani nawet w Warszawie, lecz raczej w Mediolanie, Nowym Jorku i Londynie.

NOSZĘ TO, CO CHCĘ

Tę największą zmianę mody ostatniej dekady spowodował oczywiście Internet. Trendów zrobiło się tak dużo, że ludzie zaczęli się w nich gubić, dekrety kreatorów przestały być wiążące. Do gry wkroczyła moda vintage. Gdy modne stają się stare ciuchy, do czego potrzebne są nowe? System zachwiał się. O co tu właściwie chodzi? – zaczęto się zastanawiać. I wtedy do akcji wkroczył człowiek ulicy, który do tej pory pokornie słuchał rozkazów dyktatorów. A teraz powiedział:

„W nosie mam trendy i kreatorów, noszę to, co chcę". Lud okazał się nieoczekiwanie kreatywny. Zwyciężył wysoko opłacanych dyrektorów artystycznych domów mody, wyrażenie „dyktator mody" zaczęło mieć posmak archaiczny. Zaczęła się dyktatura proletariatu, a razem z nią pojawiły się rozwiązania praktyczne, niestandardowe i zindywidualizowane.

Weźmy stroje sportowe. Nie tylko buty, bo to już nic nowego. Już kilkanaście lat temu, kiedy nowe, atrakcyjne modele obuwia sportowego zaczęły masowo być noszone „na elegancko". Przez mężczyzn do marynarki, przez kobiety – do sukienki. Od roku mniej więcej 2000 ten trend tylko się umacnia: 80 proc. ludzi chodzi dzisiaj w butach kiedyś uznawanych za nadające się tylko na stadion czy na siłownię. Ta oszałamiająca kariera butów sportowych zaczęła się w roku 1980, kiedy w Nowym Jorku zastrajkowali pracownicy komunikacji miejskiej i mieszkańcy musieli do pracy chodzić piechotą. Wtedy adidasy ujawniły wszystkie swoje zalety i już się z nimi nie chciano rozstać...

Za butami poszły następne części ubrania sportowego: stroje do jogi, aerobiku, dresy z lampasami, jeszcze nie tak dawno utożsamiane z dresiarzami lub raperami. Te wszystkie rzeczy zaczęto nosić jako ubranie na ulicy, jako coś modnego. Działy sportowe domów towarowych część swojej oferty przerzuciły do

FOT. GETTY IMAGES

eprasa.pl d2fc640a08

Torebka z kolekcji LV zaprojektowana przez Jeffa Koonsa. Wygląda to jak tania podróba. Oczywiście nie dla tych, którzy wiedzą, że to bardzo markowe i drogie... Na zdjęciu obok: kolor sezonu – żółty FOT. AP/EAST NEWS

działów z ubraniami – tak jest w Zarze i w H&M. Plastikowe klapki basenowe są ostatnią odsłoną tego trendu, na razie kontrowersyjną. Jednak kto wie – może za jakiś czas i to zostanie zaakceptowane? Już są głosy, że dlaczego by nie dać im równych praw? O bluzach dresowych nawet nie ma co wspominać, weszły do głównego nurtu już w latach 80.

KAPCIE OD GUCCIEGO

Jak adidasy z bieżni przeniosły się na ulicę, tak wschodnie szlafroki czy raczej kimona opuściły sypialnie i buduary, żeby stać się częścią modnego looku na lato 2017. W duże kwiaty, we wschodnie wzory typu węże, smoki, nosi się je jak płaszcz narzucone na dżinsy, szorty lub jako uzupełnienie sukienki. Taki szlafroczek, obowiązkowo długi, jest nieoczywistym uatrakcyjnieniem odwiecznego duetu: dżinsy plus T-shirt.

A co pod szlafrokiem? Nie wszystkich przekonają komplety quasi-piżamowe, które miały swoje pierwsze wejście pięć lat temu (w kolekcji Marni dla H&M). Góra jakby od tradycyjnej piżamy zapinanej na guziki, takiej, którą widzi się już tylko w szpitalach na starszych panach i w serialu „Na dobre i na złe". Większość panów do spania wybiera zwykłe podkoszulki. Piżama musiała więc znaleźć sobie nowe zastosowanie... Jako modny komplet wyjściowy. Wzorzysta, lamowana góra od piżamki wygląda jak luźna bluzka i nikogo specjalnie nie dziwi. Nie takie rzeczy się widziało.

Weźmy kapcie. W funkcji butów naturalnie. Najlepiej futrzane, pod warunkiem że to Gucci oczywiście. No cóż – trzeba odreagować 13-centymetrowe szpilki. Te ostatnie z akcesorium wieczorowego przeszły w stadium butów codziennych. Widać je na wystawach sklepów i na licznych podążających do pracy damskich (obowiązkowo gołych) nogach: żółte, niebieskie, zielone, szare, czarne.

Inny wyróżnik obecnego lata: drogie, markowe torby zastąpione mają być przez wiklinowe koszyczki lub siatki na zakupy, jakie nosiło się w latach 50. i 60. Należy to traktować w kategoriach nieszkodliwego i krótkotrwałego kaprysu mody, nienarażającego nikogo na szkody materialne.

ŻÓŁTY? OCZYWIŚCIE!

Co innego najnowszy hit firmy Louis Vuitton – kolekcja torebek zaprojektowana przez amerykańskiego malarza Jeffa Koonsa. Artysta uprawiający sztukę pop, rozpoznawalny i popularny na świecie, postanowił, przekonany solidnym zapewne wynagrodzeniem, w pełni wykorzystać swobodę, jaką zostawili mu panowie z LVMH, właściciela LV. Tylko po co włączać do tego Leonarda da Vinci, Rubensa, van Gogha? Biedacy, gdyby zobaczyli torebki z umieszczonymi na nich reprodukcjami swoich płócien, przewróciliby się w grobach. Ma to być ironiczne, dowcipne, wygląda jak tania podróba. Oczywiście nie dla tych, którzy wiedzą, że to bardzo markowe i drogie… Gdyby było tanie, nie byłoby zapewne tak atrakcyjne. Popularny model LV Speedy z monogramem kosztuje 760 euro, Jeff Koons – 2,1 tys. euro. I tak wypada taniej niż obraz artysty...

Salomonowe rozwiązanie problemu, jak podczepić się pod tę pożądaną markę, znalazła jedna z naszych celebrytek. Tym, których nie stać na torebkę, nawet nie Jeffa Koonsa, tylko „zwykłego" Vuittona, zaoferowała pudełko po butach tej firmy. Za jedne 500 zł, na otarcie łez… Ciekawe, czy nabywczynie, jeśli się znajdą, będą z tym pudełkiem pozować na ściankach. Wydawać bowiem pięć stówek, żeby trzymać je w szafie, chyba nie warto.

Na koniec kolor sezonu – żółty. Kolor znaków drogowych, barierek, żółtych kartek, żółtych citroenów. Ma raczej ostrzegać, niż kokietować. W modzie pojawia się rzadko, bo nietwarzowy. Tym razem zawładnął nią całkowicie. Widziano go już w zimie: czapki, kurtki, szaliki w szafranowym żółtym błyskały wesoło wśród czerni kurtek. Teraz w letnim słońcu żółty jest oczywisty. W tym przypadku to nie decyzja ulicy, to dekret Instytutu Pantone, globalnego ustawodawcy kolorystycznego dla całego przemysłu… Żółty rules.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d2fc640a08

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Sekrety z „Pana Tadeusza"

Nie przepadam za „Panem Tadeuszem", ponieważ poznałem aż za wielu polityków, którzy z jego lektury, podobnie zresztą jak z „Trylogii" Sienkiewicza, czynią wyznanie polskości. Zwykle w takich sytuacjach na złość i na przekór odpowiadałem, że poemat jest nudny, a fabuła pokręcona jak zawój na tureckim łbie. Po czym okazywało się, że moi rozmówcy nie czytali nic więcej z literatury polskiej niż owe dwa dzieła wtłoczone im do głów w podstawówce. Trzeba jednak przyznać, że Mickiewicz jak nikt inny znał się na kresowej kuchni, a kolejne księgi to prawdziwy rejestr przedziwnych potraw i smaków.

Wystarczy wspomnieć śniadanie u Sędziego, gdzie na stół trafiają tłuste półgęski, kumpie i skrzydliki ozora. Kumpie to specjał kresowy – wędzone na zimno łopatki wieprzowe z kością, wcześniej marynowane w solance przez trzy tygodnie, popularne do dziś np. na Podlasiu. Nasz wieszcz radzi wędzić je w kominie dymem jałowcowym.

Jeszcze inne potrawy zajadają bohaterowie na łowach; „z wozów niosą jarzyny, mąki i pieczyste". Głównym daniem jest bigos, ze „smakiem przedziwnym, kolorem i cudną wonią", aczkolwiek poeta dodaje na wszelki wypadek, że „rymów treści nie pojmie miejski żołądek, gdyż aby cenić litewskie pieśni i potrawy, trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć i wracać z obławy". Bigos przygotowywany jest z kwaszonej siekanej kapusty, wrzuconej do kotła z cząstkami najlepszego mięsa, prażonej dopóty, dopóki „ogień wszystkie z niej wyciśnie soki żywne, aż z brzegów naczynia war pryśnie".

Do bigosu obowiązkowym dodatkiem jest gdańska wódka, wydzielana przez Sędziego, oraz chleb; możemy tylko zgadywać, jaki był smak takiego pieczonego na liściach chrzanowych na Litwie.

Wieczerza na zamku to kolejny przegląd smaków. Po chłodniku idą kurczęta, szparagi, podlewane węgrzynem, czyli tokajem, i malaga. Ciekawe, że przygotowując ucztę na koniec „Pana Tadeusza", Wojski korzysta z księgi „Kucharz doskonały" Wojciecha Wielądka, wydanej w 1783 r. Dalej jednak Mickiewicz myli się, pisząc, że „podług niej hrabia na Tenczynie", czyli Jerzy Ossoliński, dawał w XVII w. „owe biesiady we włoskiej krainie, którym się Ojciec Święty Urban Ósmy dziwił". Księga Wielądka to bowiem zaadaptowane do polskich warunków i skrócone tłumaczenie francuskiej „Cuisinière bourgeoise" nieznane za czasów Ossolińskiego.

Kolejne stronice „Pana Tadeusza" autor poświęca pieczeniom – wołowym, sarnim, combrom z dzika i jelenia, do których przydano stosy ptactwa takiego jak głuszce, cietrzewie (w większości dziś pod ochroną). Na szczęście są też kury. Są królewski barszcz i zadziwiający rosół staropolski, do którego Wojski „dziwnymi sekrety wrzucił kilka perełek i sztukę monety (taki rosoł krew czyści i pokrzepia zdrowie)". Później idą półmiski kontuzów, arkasów i blemasów. Tutaj należy się kolejne tłumaczenie – otóż kontuzy to nic innego, jak tylko XVIII-wieczny krem z mięsa – zwykle cielęcego, przetartego przez sito. Arkas jest galaretą z przegotowanego, słodkiego mleka zmieszanego z cytryną. Blemas to galareta z tłuczonych migdałów, z cytryną, winem, cynamonem albo z rozgotowanych ryb przecedzanych przez gęstą serwetę.

Oczywiście to jeszcze nie koniec uczty z ostatniej księgi poematu, bo potem trafiają na stół: pomuchle, figatele, cybety, łososie suche, dunajeckie, flądry, karpie i inne, o których tak naprawdę należy napisać osobny felieton. ©℗

FOT. FOTOLIA

Kumpia: Bierzemy dużą wieprzową łopatkę. 500 g soli, 20 g saletry i łyżkę cukru rozpuszczamy w zagotowanej ostudzonej wodzie. Nacieramy mięso dwiema łyżkami soli utartymi z czosnkiem, saletrą i cukrem. Mięso odstawiamy w kamionkowym garnku na kilka godzin. Potem zalewamy je solanką, do której możemy dodać: ziele angielskie, czosnek, pieprz, jałowiec, kolendrę, goździki i liście laurowe. Pozostawiamy łopatkę w solance przez dwa tygodnie w chłodnym miejscu. Codziennie jednak przekręcamy ją w garnku. Kiedy kumpia skruszeje, wyjmujemy ją, przemywamy wodą i wędzimy na zimno w jałowcowym dymie. Prawidłowa temperatura to ok. 22 st. C.

Arkas po czerniecku: Bierzemy słodkie mleko, ile tylko chcemy, dosypujemy kilka łyżek cukru na litr, a kiedy zacznie się zsiadać, wyciskamy cytrynę albo łyżkę rozrobionego wodą winnego octu. Kiedy mleko się zsiądzie, przez sitko odcedzamy serwatkę. Podajemy na talerzu polanym wódką różaną. Można też pocukrować z wierzchu albo przydać do mleka szafranu.

eprasa.pl d2fc640a08

CHŁODNIK REPORTERA, CZYLI RELAKS ELŻBIETY JAWOROWICZ

Swoje gotowanie mogę określić jako kreatywne, wykorzystuję w nim pomysły podpatrzone podczas podróży po Polsce i całym świecie. Staram się, by moja kuchnia była przede wszystkim zdrowa i oparta na naturalnych składnikach. Używam ogromnej ilości jarzyn – na bazarku pewnie myślą, że mam w domu hipopotama, bo kupuję ogromne ich ilości.

W ogóle bardzo lubię gotować, dla mnie jest to relaks, nie obowiązek. Może dlatego, że nie robię tego codziennie. Gotuję głównie wtedy, gdy mam wolne, co nie zdarza się często. Ciągle jestem w podróży. Realizując reportaże, przemierzam tygodniowo tysiące kilometrów, ale podczas podróży robię zakupy. Gdziekolwiek jeżdżę, staram się szukać naturalnych produktów u ludzi uprawiających je dla siebie. Chociaż oczywiście nie da się uniknąć robienia niektórych zakupów w sieciach handlowych.

Podczas zawodowych podróży zauważyłam coś jeszcze – bardzo poprawiła się kuchnia hotelowa. Jest mnóstwo młodych ambitnych ludzi, którzy przygotowują niezwykłe potrawy. Obserwowałam to w Chinach, gdzie kuchnia przez lata była dla ludzi formą ekspresji i przez to jest najlepsza na świecie. Teraz i w Polsce jest wśród kucharzy moda, by wymyślać coś autorskiego.

Składniki:

• jarmuż • botwinka • pokrzywy • ogórki (konserwowe lub kiszone) • jogurt naturalny • kefir • bulion jarzynowy • przyprawy

Przygotowanie:

Gotuję kreatywnie, a więc na oko, stąd nie podaję dokładnych proporcji, każdy powinien dobrać je według gustu. Pokrzywę sparzam, z jarmużu wybieram tylko młode liście, odrzucając te „żyłowate". Kroję botwinkę, pokrzywy i jarmuż; duszę na bardzo małej ilości tłoczonego na zimno oleju rzepakowego, aż warzywa będą miękkie. Dolewam trochę bulionu jarzynowego. Kroję kiszone lub konserwowe ogórki, dodaję wraz z zalewą oraz dużą ilością koperku. Do tego dodaję dobry jogurt naturalny i kefir. Przyprawiam odrobiną kajeńskiego pieprzu, pikantnego ketchupu. Jeśli ktoś chce, to może wkroić ugotowane na twardo jajka. Powstaje słodko-kwaśne, orzeźwiające danie. ©℗ ***oprac. raw***

FOT. IRENEUSZ SOBIESZCZUK/PAP

Elżbieta Jaworowicz jest dziennikarką, autorką i prowadzącą program „Sprawa dla reportera".

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jak postępować z herbatą

RAFAŁ PRZYBYLOK „CZAJNIKOWY.PL" NASZA KSIĘGARNIA 2017

To książka dla tych, którzy uważają, że napój ze szczura wrzuconego do kubka nie zasługuje na miano herbaty. Tego zdania jest też oczywiście Rafał Przybylok, autor książki „Czajnikowy.pl", herbaciany ekspert, popularyzator tego napoju. Nie tylko eksperci uważają, że obyczaj zdziczał. Co dziwi, zważywszy na rozkwit tematyki kulinarno-gastronomicznej. O herbacie jakoś zapomniano. Nie powiem, że w słusznie minionym ustroju było z tym lepiej, ale przynajmniej z trudem zdobyty ulung, madras czy wyszarpnięty yunnan parzyło się w porcelanowym czajniczku. Piło w szklankach lub filiżankach. Dzisiaj szklanki zdeprecjonowano, bo kojarzą się z PRL, zastąpiły je gruboskórne kubasy z pływającym w środku szczurem, przybyszem z amerykańskich seriali.

Na szczęście mamy też porządne sklepy z herbatami i oprzyrządowaniem do niej, więc kto chce, ten może do sprawy podejść poważnie. Pomogą też rady autora: nie przegotowujcie wody, wygrzewajcie naczynie, budźcie liście, odmierzajcie w gramach, nie w łyżeczkach, parzcie tak, jak potrzebujecie (zielona zdrowsza, gdy parzona długo; smaczniejsza, gdy krótko), z dobrej wody.

„Dajcie szansę każdej herbacie. Nawet coś, co na pierwszy rzut oka wydaje się niedobre i niskiej jakości, przy odpowiednim parzeniu może okazać się smaczne" – pisze Przybylok.

Ludność generalnie podzieliła się na dwie opozycyjne kasty: wyznawców herbaty czarnej oraz fanów zielonej. Jako członek sekty zielonych odcinam się od czarnych i tylko kataklizm dziejowy może mnie zmusić do napicia się herbaty pu-erh...

Książka przynosi wiele ciekawych historii o herbatach z różnych zakątków świata, udziela też porad praktycznych. Niektóre specjalistyczne – to kurs dla zaawansowanych. Piwo z yerba mate, napój z kory lapacho (drzewa z Ameryki Południowej), ananasowe smoothie z matchą... Kto uzna za niezbędne zaopatrzyć się w cha hai – naczynie służące do wyrównywania i schładzania naparu? Przyznam jednak, że typologia Manshenga – 18 rodzajów czajniczków i związane z nią legendy – wnosi kolejny kamyk do wiedzy o kulturze Chin.

Książka ładnie ilustrowana, przejrzysta i nienudna. Autor, przystojny brodacz, jest chyba mocno świadom własnej urody, zważywszy na liczbę jego zdjęć na kartach tego podręcznika. Tego autolansu mogłoby być mniej.

Wytworna czy pospolita herbata pozostaje jedną z naszych narodowych przyjemności. Nic nie wskazuje, żebyśmy z niej mieli zrezygnować. „Dopóki ciebie, ciebie nam pić / póty jak w niebie, jak w niebie nam żyć / Herbatko, Herbatko". ©℗

eprasa.pl d2fc640a08

NASZ TEST: AUDI Q5

Komfort, luksus i nowoczesne technologie. Z tym kojarzy się jazda drugą generacją modelu Q5. Odświeżona wersja została tak dobrze przygotowana, że jeden z najbardziej popularnych SUV-ów na europejskim rynku może stać się jeszcze popularniejszy. Auto jest nieco większe od poprzednika, ale jednocześnie przeszło kurację odchudzającą, dzięki czemu waży o 90 kg mniej. Jest też dużo bardziej „inteligentne" i już dzisiaj umożliwia niemal autonomiczną jazdę. Na szczęście jednocześnie potrafi dać kierowcy sporo frajdy. I trzeba się z niej cieszyć dopóty, dopóki jeszcze można legalnie samemu prowadzić samochody, nie oddając całej władzy w ręce radarów ani automatów.

W KABINIE

Jakość zastosowanych materiałów, ich spasowanie i dbałość o detale nie pozostawiają wątpliwości, że to wnętrze auta klasy premium. Jest ergonomicznie i minimalistycznie, a jednocześnie luksusowo. Układ deski rozdzielczej jest prosty i intuicyjny, a opcjonalny 12,3-calowy wirtualny kokpit nie tylko wygląda nowocześnie, lecz także jest bardzo praktyczny.

W przestrzennej kabinie w daleką trasę spokojnie może wyruszyć czterech wysokich dorosłych. Trzecia dorosła osoba na tylnej kanapie też się oczywiście zmieści, ale masywny tunel środkowy sprawia, że dłuższa podróż w tym miejscu może nie być szczególnie komfortowa.

Bagażnik ma 610 l pojemności, a po złożeniu tylnych foteli pojemność kufra rośnie do 1550 l.

JAZDA

Dwulitrowy silnik wysokoprężny o mocy 190 KM pozwala rozpędzić ważące niemal 2 t auto od 0 do 100 km/godz. w 7,9 s.

Audi Q5 prowadzi się bardzo pewnie i przyjemnie. Kabina jest dobrze wyciszona. Układ kierowniczy jest precyzyjny, a zawieszenie bardzo dobrze radzi sobie z tłumieniem nierówności. Mimo to auto nie przechyla się zbyt mocno na zakrętach (zwłaszcza jeśli przestawimy tryb jazdy z komfortowego na dynamiczny), a bardzo dobra przyczepność sprawia, że akurat tym SUV-em z przyjemnością można nieco szybciej mknąć po krętych drogach.

Do wyboru jest sześć fabrycznych ustawień (m.in. tryb komfortowy, dynamiczny i off-road), a także opcja indywidualna, w której można najlepiej dostosować auto do własnego stylu. Z dostosowywaniem się do różnych stylów jazdy dobrze radzi sobie też automatyczna skrzynia biegów.

Średnie spalanie w trybie mieszanym wyniosło podczas testu 8 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Audi Q5 zdobyło komplet pięciu gwiazdek. Wysoka pozycja za kierownicą zapewnia doskonałą widoczność. Auto jest również naszpikowane różnego rodzaju cyfrowymi innowacjami, które mają zwiększać bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów. „Elektroniczni asystenci" sprawdzają więc, czy nagle zbyt szybko nie zbliżamy się do samochodu poprzedzającego, i w razie potrzeby alarmują lub nawet automatycznie uruchamiają hamulec. Auto ostrzega również, gdy inne samochody znajdują się w martwych polach lusterek, a także zaalarmuje, jeśli cofając, nie dostrzeżemy innego auta czy nawet rowerzysty. Audi Q5 wykryje również, jeżeli na jezdnię nagle wtargnie pieszy.

Asystent jazdy w korku potrafi zaś przejąć żmudny obowiązek ciągłego ruszania i hamowania, choć zostawia on na tyle bezpieczną odległość, że w polskich warunkach trzeba być przygotowanym na to, że co jakiś czas ktoś będzie się przed nas wciskał. Na autostradzie Q5 potrafi zaś samodzielnie trzymać się pasa i dostosowywać prędkość do samochodów jadących przed nami. Komputer pokładowy pamięta ostatnie mijane znaki z ograniczeniami prędkości. Parkowanie ułatwia z kolei system kamer 360 stopni.

CENA

Audi Q5 w wersji z silnikiem 2.0 TDI (o mocy 150 KM) i sześciobiegową ręczną skrzynią biegów kosztuje 159,2 tys. zł, a w wersji o mocy 190 KM, z automatyczną skrzynią oraz napędem na cztery koła, co najmniej 192,2 tys. zł. Za wersję z silnikiem benzynowym 2.0 TFSI o mocy 252 KM trzeba zapłacić co najmniej 199,2 tys. zł.

KONKURENCI

BMW X3, BMW X4, Jaguar F-Pace, Mercedes GLC, Land Rover Discovery Sport, Lexus NX300h, Porsche Macan ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl d2fc640a08

100 SAMOCHODÓW NA 100-LECIE!

URODZINOWA EDYCJA ASX

MITSUBISHI MOTORS
Drive@earth

Zyskaj: **8 000 zł***

PRZYJDŹ DO SALONU MITSUBISHI I ODBIERZ PREZENT

Oświetlenie ambientowe drzwi

Ładowarka indukcyjna

Przyciemniane tylne szyby

Czarne, matowe felgi

Lampy do jazdy dziennej LED

Emblemat „100-lecie innowacji"

Srebrne ramki nawiewów

Szyberdach***

100 LAT **Innowacyjności** samochodów Mitsubishi.

MADE IN JAPAN

5 LAT GWARANCJI FABRYCZNEJ

* W tym rabat gotówkowy na auto, korzyść wynikająca z dodatkowego wyposażenia oraz promocyjnego finansowania i ubezpieczenia dla modelu Mitsubishi ASX Edycja Urodzinowa: 1.6 Invite, 1.6 Intense Plus, 1.6 Intense Plus Navi.

** Za odbytą jazdę testową samochodem Mitsubishi u Autoryzowanego Dealera Mitsubishi. Do wyczerpania zapasów. Szczegóły u Autoryzowanych Dealerów Mitsubishi.

*** Dla wersji Mitsubishi ASX: 1.6 Intense Plus oraz Intense Plus Navi.

Informacje na temat złomowania samochodów Mitsubishi oraz przydatności do recyklingu są dostępne na www.mitsubishi.pl. Emisja CO_2: 135–136 g/km; zużycie paliwa: 5,8–5,9 l/100 km.

eprasa.pl d2fc640a08

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Comey zawiódł

MARCIN MAKOWSKI: Przesłuchanie byłego szefa FBI Jamesa Comeya za nami. Miał być wielki polityczny show, hipsterzy w Waszyngtonie i Nowym Jorku ustawiali się w kolejce do kawiarni, żeby obejrzeć wszystko na żywo. Zaczęło się radośnie, ludzie krzyczeli: „Comey na prezydenta", a później ich miny posmutniały. Dlaczego?

MATTHEW TYRMAND: To proste. Ci ludzie tak się nakręcili, narobili sobie takich oczekiwań, że właściwie każda konkluzja przesłuchania, poza którą Donald Trump nie okazuje się zdrajcą ani łotrem, który musi podać się do dymisji, była dla nich rozczarowaniem. Z przyjemnością obserwowałem relacje dziennikarzy z drogich knajp – szczególnie na Brooklynie – gdzie 30-latkowie, zamiast jak normalni ludzie iść do pracy, siedzieli od rana z zaciśniętymi kciukami, popijali wódkę i kawę, a z godziny na godzinę ich miny rzedły. Powstało z tego sporo memów i zwolennicy Trumpa tę bitwę wygrali. Jeśli chodzi o fakty, to przesłuchanie Comeya potwierdziło jedynie wersję Białego Domu, w której nie ma mowy o obstrukcji prawnej ani żadnym zachowaniu prezydenta, które uprawniałoby do myślenia o impeachmencie. Owszem, Trump poprosił szefa FBI na prywatną rozmowę, bronił gen. Flynna, sugerował, że to uczciwy człowiek i nie warto prowadzić w jego sprawie śledztwa, ale to nadal nie jest przestępstwo. Moim zdaniem to właśnie James Comey jest największym przegranym ostatnich dni – wypowiadał się bardzo emocjonalnie i przyznał się do tego, że udostępnił służbowe dokumenty „New York Timesowi", żeby uderzyć w prezydenta.

Dobrze, ale chcesz powiedzieć, że w ogóle cię zachowanie Trumpa nie niepokoi?

Nikt rozsądny nie uważa, że prezydent jest święty. Trump zachował się jak bufon, który nie potrafi się przystosować do funkcji, którą pełni. Komunikował się nieprofesjonalnie i to nie powinno się zdarzyć. Tyle tylko, że od sugestii o wygaszeniu pewnego śledztwa do wpływania na jego przebieg jeszcze daleka droga. Tymczasem demokraci przedstawiali przesłuchanie Comeya jako wydarzenie, które zachwieje posadami Białego Domu. Nic takiego się nie stało. To nie jest nawet precedens w amerykańskiej polityce, Bill Clinton również próbował wpływać na prowadzone przeciwko niemu śledztwa. Pamiętajmy, że szef FBI ma tylko jednego przełożonego i choć służby powinny być niezależne od polityki, tym przełożonym jest właśnie prezydent USA. Możemy dyskutować, jak ich wzajemne relacje powinny przebiegać, gdzie popełniono błędy, ale od tej dyskusji do miejsca, w którym chcieliby ją widzieć hipsterzy z Waszyngtonu, daleka droga.

Zostańmy jeszcze przy Trumpie. Wiemy już, że przyleci na początku lipca z krótką wizytą do Polski.

To już pewne, że prezydent odwiedzi Warszawę i – co znamienne – zrobi to przed Berlinem. Spodziewam się, że zostanie na miejscu kilka godzin, wygłosi płomienne i pełne symboliki przemówienie, na które zaproszone zostaną tłumy warszawiaków. To będzie obrazek znacznie różniący się od zachodniej Europy, która nie podziela tego wspólnego Polsce i USA punktu widzenia na politykę i wartości. Dzisiaj Waszyngton i Warszawę łączy znacznie więcej niż tylko wojska NATO na flance wschodniej. Myślenie o suwerenności, polityka migracyjna, konserwatyzm, walka z globalizmem – Trump na pewno te rzeczy podkreśli. Wiem, że kluczowy wpływ na zorganizowanie wizyty mieli minister Witold Waszczykowski oraz ambasador Piotr Wilczek, którzy skutecznie argumentowali za przylotem Donalda Trumpa u Rexa Tillersona. To właśnie MSZ, a nie Kancelaria Prezydenta, pomimo licznych spotkań, akurat w tym przypadku stanęło na wysokości zadania. Warto docenić, że wreszcie coś w tym resorcie zaczęło się zmieniać na lepsze. Kujmy żelazo, póki gorące. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl d2fc640a08

republika

Piątek 20:40

Teraz Telewizja Republika NA ŻYWO i ZA DARMO on-line www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl d2fc640a08

OKIEM BLOGERKI

Legendarni

KATARYNA

WŁADYSŁAW FRASYNIUK: ***Co zrobić z tym szaleństwem? Psychiatra? Czy lepiej wysadzić się w powietrze? Ja zaczynam rozumieć terrorystów i zaczynam rozumieć zorganizowaną przestępczość.***

Tak 12 lat temu Władysław Frasyniuk komentował to, że Instytut Pamięci Narodowej chciał odkłamać życiorys Lecha Wałęsy. Jeśli więc dziś ten sam Frasyniuk popycha policjantów i krzyczy, że ma w dupie prawo, to wiedzcie, że macie do czynienia z Frasyniukiem jak na Frasyniuka bardzo łagodnym. Nie rozumiem tylko, dlaczego przepychający się z policjantami podczas nielegalnej blokady legalnego zgromadzenia Frasyniuk jest w mediach przedstawiany jako „legendarny opozycjonista", a nie jako ktoś, kim dzisiaj faktycznie jest – agresywny przedsiębiorca transportowy z Wrocławia.

Stan wojenny był tak dawno temu, że zatarł się w pamięci samego Frasyniuka, który uprzejme wyniesienie z nielegalnej blokady porównuje do stanu wojennego

Stan wojenny był tak dawno temu, że zatarł się w pamięci samego Frasyniuka, który uprzejme wyniesienie z nielegalnej blokady porównuje do stanu wojennego. Po co do tego wracać, zwłaszcza jeśli można przy okazji urazić uczucia dzisiejszego sojusznika Frasyniuka – niejakiego Mazguły, w stanie wojennym wzorowego oficera wspominającego tamte lata z pewnym sentymentem. „Stan wojenny... Czy oprócz tego, że byli ludzie internowani, to przecież byli internowani w sposób... No, nie powiem, oczywiście były tam jakieś bijatyki, były jakieś ścieżki zdrowia, ale generalnie rzecz biorąc, najczęściej jednak dochowano jakiejś kultury w tym całym zdarzeniu". Jeśli było tak, jak mówi Mazguła, to bohaterstwo ówczesnej opozycji nie było takie znowu wielkie. A jeśli Mazguła kłamie, to co Frasyniuk robi w jego towarzystwie, pozwalając obrażać pamięć prawdziwych ofiar komuny?

Wotum nieufności dla założyciela KOR", „Opozycja w ostrych słowach atakuje legendarnego opozycjonistę". Widzieliście kiedyś podobne tytuły w mediach, gdy relacjonowane są działania Antoniego Macierewicza? Ja też nie, bo też jakie znaczenie dla oceny jego obecnych decyzji, zachowań i wypowiedzi jako ministra ma to, że 40 lat temu był jednym z założycieli Komitetu Obrony Robotników i bohaterem antykomunistycznej opozycji? Dlaczego zatem we wszystkich relacjach z kontrmanifestacji smoleńskiej Władysław Frasyniuk występuje jako „legendarny opozycjonista", gdy dzisiaj jest nim tylko przez te kilka dni w roku, kiedy jest zapraszany jako uczestnik historycznych wydarzeń do ich wspominania, we wszystkie pozostałe dni w roku jest tylko dość chamowatym w obejściu biznesmenem i politycznym nieudacznikiem o groźnych dla demokracji poglądach. Bohaterowie antykomunistycznej opozycji byli bohaterami kilkadziesiąt lat temu, przez kilka lat swojego życia. Nie widzę żadnego powodu, żeby w dzisiejszej Polsce przywoływać stare dzieje, gdy są już tylko politycznymi awanturnikami, tak jak Frasyniuk, łapówkarzami, tak jak Pinior, czy fatalnymi ministrami, tak jak Macierewicz. ©℗

PODSŁUCHANE

Listy od zdolnych drwali

Panie Janku, pan nie może tak tych listów roznosić.
Ale dlaczego, pani premier? Przecież to nic złego. Ludzie mnie proszą, a ja lubię ludziom przysługi robić.

Ale ja prosiłam już miesiąc temu. Tylko akurat wtedy kamer nie było, a pan chyba ze trzy listy miał.
No miałem, miałem. Do Gowina chyba, do Adamczyka i do Zalewskiej.

Tak nie można, panie ministrze. Mówiłam.
Ale, pani Beatko, takiego miałem zdolnego drwala, sam się chłop uczył, nad książkami siedział. Prosił, żeby Gowinowi list oddać, bo on by wykładać chciał gdzieś. Może być jakaś uczelnia malutka nawet, byle sobie dorobić. Pani premier, człowiek pracy, zwykły Polak – miałem odmówić? Do Adamczyka to z kolei gajowy z Puszczy Noteckiej pisał. Szwagier jego firemkę ma małą, słupki robi takie drogowe. Z pytaniem uprzejmym pisał, czyby gdzie tych słupków nie dało się sprzedać. Dla bezpieczeństwa przecież. A do Zalewskiej to z kolei zastępca leśniczego spod Grójca pisał, bo on tam szkółki zakładał w lesie. Tu szkółka i tam szkółka, żona jego trochę się na tym zna, w szkole jakiej by popracowała.

Panie Janie!
A, a przy okazji: tu mam dla pani taki list, robotnik leśny z Bieszczadów pisze, zdolny chłopina. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Słupsk to jest miasto, które tworzą uchodźcy, przecież my tu wszyscy skądś przyjechaliśmy. Jeśli tu mieszka, to już niestety garstka autochtonów – Niemców, którzy tworzyli to miasto przez kilkaset lat. Dzisiaj mieszkają tutaj Polacy".

ROBERT BIEDROŃ,
prezydent Słupska, w TVN24

eprasa.pl d2fc640a08

Cztery razy mea culpa

fot. Jerzy Gumowski

Błędów nie popełniają tylko ludzie, którzy już nie żyją. Nie przyznają się do błędów kobiety oraz zniewieściali mężczyźni, trzeba wszakże genderowo to rozróżniać, gdyż u dam taka strategicznie amnezjopochodna bezbłędność ma swój urok wzmacniający białogłowią „prawdomówność" (Leopold Staff pisał: *„Cóż za jej prawdą świadczy bardziej niż to, że błąd ma więcej czaru?"*), natomiast u pseudofacetów jest ona żenującym gówniarstwem (notabene: kobiety, aczkolwiek nie przyznają się do błędów — często przyznają się do grzechów, co może zaświadczyć każdy konfesjonał). Ja moje niniejsze *„confessio culpae"* chcę zacząć od przeproszenia mojego Wydawcy (a i Czytelników) za to, że w dwóch ostatnich edycjach moich książek (**„Królewicz i minstrel"** oraz czwarte wydanie **„Szachisty"**) została umieszczona fałszywa ***„Lista książek Waldemara Łysiaka"***:

Późną jesienią ubiegłego roku szef edytorskiej firmy Nobilis, Krzysztof Sobieraj, nękany był takimi pytaniami dociekliwych internautów: *„Czy pan Łysiak wstydzi się swoich dwutomowych **«Bajek»** wydanych w roku 2014? A może z jakichś względów, np. tyczących praw autorskich, wstydzi się ich wydawca?"*. Wydawnictwo ponosiło tutaj winę tylko formalną, nie zaś praktyczną (źródłową), edytor bowiem do opracowania rejestru wszystkich sześćdziesięciu książek Łysiaka (czyli zestawienia drukowanego rytualnie na końcu każdej edycji) zatrudnił podwykonawcę (redakcję techniczną), a ta omyłkowo pominęła **„Bajki"**, niestety dwukrotnie. Wszelako ja to okaleczenie rejestruję jako m ó j duży błąd, winienem był bowiem sprawdzić ów rejestr osobiście przed wypuszczeniem do druku obu książek wyżej wspomnianych. Nie zrobiłem tego, i mam za swoje. A nie zrobiłem, gdyż zaufałem pracownikowi technicznemu, co mi przypomina pewną żelazną regułę, która z niewiadomych dla mnie przyczyn nie należy do *„Praw Murphy'ego"*, chociaż ewidentnie powinna: jeżeli jakiejś ważnej pracy służącej twoim interesom nie wykonasz sam lub nie dopilnujesz skrupulatnie, zleciwszy ją komuś innemu — nie będzie wykonana tak dobrze jak chciałeś, a w większości przypadków zostanie po prostu spieprzona (notabene: jeszcze bardziej mnie dziwi, że do *„Praw Murphy'ego"* nie należy bezwzględna oczywistość: *„Za każdy dobry uczynek spotka cię zasłużona kara"* — doświadczyłem tego wiele razy).

Gdy już mowa o edytorskich błędach, muszę napomknąć, że główny mnie obciążający (i, niestety, nieodwracalny) jest nazewniczy, bo w końcu nikt inny tylko autor wymyśla tytuły swoich książek, a ja tutaj sam sobie wbiłem w plecy zębaty nóż. Od końca tę anegdotę zaczynając: wielokrotnie słyszałem (z eteru radiowego/telewizyjnego lub z czyichś ust podczas rozmowy), że ***„Trylogia łotrzykowsko–heroiczna"*** Łysiaka to **„Dobry"**, **„Lepszy"**, **„Najlepszy"**, a tymczasem owa trylogia to **„Dobry"**, **„Konkwista"**, **„Najlepszy"**. Oczywiście ta pierwsza (mniemana) wersja tytularna brzmi dużo fajniej, ale nie mogłem jej użyć, gdyż wcześniej, kiedy jeszcze nie planowałem trylogii, wydałem pod tytułem **„Lepszy"** pamiętnik o moich bojach z peerelowską cenzurą. I było *„po balu"*: sam siebie ograbiłem z pięknego tytułowego brzmienia trylogii, którą za literacki cymes uważa (co wiem dzięki korespondencji) sporo Czytelników.

> *Franciszek Zabłocki (XVIII/XIX w.): „Zewsząd nas błędy tłoczą pod prawdy pozorem"*

Kolejny mój błąd, do którego chcę się dziś przyznać, ma również związek z literaturą, a konkretnie: z Noblem literackim. Byłem przez parę miesięcy entuzjastą Nobla dla Boba Dylana, ponieważ całe lata zachwycałem się jego piosenkarską (balladową) maestrią. Przyznanie mu tej literackiej meganagrody wzbudziło, jak wiadomo, dużo kontrowersji, bywałem więc pytany co o tym sądzę, i za każdym razem wyrażałem gorące *„tak"* (zwłaszcza że długoletnia tradycja nagradzania Noblem lewackich bzdur burzy mi od dawna krew) — ba, kilka razy pokłóciłem się o to ze znajomymi, dla których Dylanowski Nobel był kolejną głupotą Sztokholmu. Wszystko to się zmieniło gdy przeczytałem w **„Rzepie"** opinię Krzysztofa Cieślika, że ten Nobel jest rażąco niesłuszny, *„o ile bowiem teksty Dylana bronią się jako piosenki, o tyle w zapisie tracą swoją moc"* (2017). Postanowiłem to sprawdzić, zaczynając od mojej najświeższej fascynacji Dylanem — od piosenki **„Things Have Changed"**, za którą Dylan dostał muzycznego Oscara parę lat temu. Zięć ściągnął mi z internetu tekst owej piosenki i... osłupiałem. Krzysztof Cieślik miał rację absolutną: to, co w wersji wokalnej (samego Dylana lub interpretatorów tego standardu, pośród których wyróżnia się Curtis Stigers) brzmiało jak lekko szyderczy, lekko cyniczny, lekko melancholijny traktacik parafilozoficzny (coś à la Szekspir pop) — w zapisie okazało się quasi–grafomaństwem, zbitką pseudoperełek posklejanych bez ładu ni składu w chaotycznych, przypadkowych kontekstach. Wszystkie te *„miała białą skórę i oczy zabójcy"*, *„rozliczne prawdy tego świata to jedno wielkie kłamstwo"*, *„nie możesz wygrać mając słabe karty"*, *„następne sześćdziesiąt sekund może się okazać wiecznością"*, *„jeśli Biblia mówi prawdę to świat eksploduje"*, *„tylko głupiec stara się coś udowodnić"*, itp. — są tu tanimi banałami pływającymi w sosie bełkotu. Mam sporo płyt Dylana, przyjrzałem się więc oczami (a nie jak dotąd wyłącznie uszami) różnym jego *„librettom"*, i przestałem oklaskiwać literacki Nobel 2016.

Dotarłszy do tego miejsca niejeden Czytelnik zdziwił się dlaczego Łysiak zawraca mu... głowę... takimi duperelami. Już wyjaśniam. Felieton niniejszy powstał z obowiązku. Czuję się bowiem zobowiązany odszczekać pod ławą dwie frazy (*„Millerowska lalka Barbie"* i *„lalka Barbie premiera Millera"*) użyte przeze mnie niegdyś felietonowo à propos kandydowania kobiety na urząd prezydencki w 2015 roku. Zawiódł mnie radar fizjonomiczny (zakłócany partyjną bazą kampanijną pretendentki, chociaż ona sama nie należała do SLD). Jak wielu innych ludzi uważam się za *„fizjonomistę"*, czyli za bystrzaka, co po samej buzi odgaduje czyjś charakter, i na ogół trafiam bez błędu. Na ogół nie znaczy: zawsze. Moja rekordowa w ostatnich latach pomyłka to właśnie pani Magdalena Ogórek. Brałem ją za wydmuszkę postkomunistów, tymczasem okazało się, że jest to kobieta świetnie wykształcona i dobrze wychowana, dystyngowana dama o niebagatelnej kulturze i zdrowym rozsądku, co razem jest dzisiaj wielką rzadkością wśród niewiast, a przy tym nie anachroniczna (żaden *„female'owy"* skansen), tylko nowoczesna (choć daleko od pejoratywnego postmodernizmu), że o urodzie nie wspomnę. Niskie moje ukłony i szczere przeprosiny za tę *„lalkę Barbie"*. Przy okazji *„szacun"* dla Leszka Millera jako selekcjonera (wysunął kandydatkę świetną), równie solenny co uznanie za to, że wprowadził podatek liniowy.

Formuły *„więcej grzechów nie pamiętam"* nie mógłbym przełożyć na moje błędy, bo pamiętam ich trochę więcej, jednak z braku miejsca, jak również z braku *„nieprzymuszonej ochoty"*, dzisiejsze *„confessio"* uważam za skończone. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl d2fc640a08

PGNiG POMAGA ODKŁAMYWAĆ POLSKĄ HISTORIĘ

XV Międzynarodowa Konferencja Naukowa
RECOVERING FORGOTTEN HISTORY

CEL: ZMIANA WIZERUNKU POLSKI W ANGLOJĘZYCZNYCH PODRĘCZNIKACH AKADEMICKICH

70 ZREWIDOWANYCH PODRĘCZNIKÓW I MONOGRAFII

PONAD **14** MLN STUDENTÓW KORZYSTAJĄCYCH Z OMAWIANYCH PODRĘCZNIKÓW

74 ZAANGAŻOWANYCH PROFESORÓW

9-24 czerwca 2017 r.

Warszawa / Toruń / Kraków

KANCELARIA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Fundacja Przestrzeni Obywatelskiej i Polityki Społecznej

www.civicspace.org.pl

rozgrzewamypolskieserca.pl
pgnig.pl

PGNiG

ROZGRZEWAMY POLSKIE SERCA
Fundacja PGNiG

eprasa.pl d2fc640a08